

**Cathy  
Yardley**

**Dziewczyna  
w Mieście  
Aniołów**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### *Waiting For The Sun (Czekając na słońce)\**

Sara rozejrzała się nerwowo po mieszkaniu.

- Wiesz co, zupełnie nie tak to sobie wyobrażałam.

Usłyszała westchnienie Benjamina.

- Jestem w biurze, kotku. Masz ochotę pogadać dłużej?

- Ja... po prostu czułam się trochę samotna. Musiałam do ciebie zadzwonić.

- No dobrze, jesteś tam już tydzień. Jak nastrój? Oswoiłaś się z wielkim Los Angeles?

- Mieszkanie jest zawałone kartonami, ale mam już przynajmniej swoje łóżko. Dzięki Bogu, że Judith i David mogli mi pomóc. - Urwała. - To nie było... Rozumiem, że w ostatni weekend też musiałeś pracować.

- Lepiej nie zaczynajmy od nowa... - Usłyszała szelest niecierpliwie przekładanych papierów. - Judith... Co to za jedna?

- Moja przyjaciółka. Z college'u. Wyszła za Davida i przeniosła się tutaj, jakieś trzy lata temu. Nie pamiętasz? Zabrałam cię na jej ślub.

- To ta Chinka?

Sara przewróciła oczami.

- Właśnie.

\* Wszystkie tytuły rozdziałów są tytułami piosenek zespołu The Doors na podstawie książki „Jim Morrison and the Doors. Piosenki w przekładach Marka Zgaińskiego i Jędrzeja Polaka”, Wydawnictwo Britannica - Biblioteka Junior Journal, Poznań 1991.

- No tak, czyli nie jesteś taka samotna.  
- To nie to samo, dobrze o tym wiesz - fuknęła, zerkając w okno. Jakby za chwilę miało lunąć. A myślała, że w Los Angeles nigdy nie pada. Miała nadzieję, że nie będzie burzy.  
- Po prostu nie mogę się doczekać chwili, kiedy tu będziesz, przytulony do mnie w łóżku... Kupilibyśmy trochę mebli, strasznie tu pusto... no wiesz, trzeba ten dom jakoś urządzić.

Skrzywiła się, ledwie wypowiedziawszy te słowa. Nie chciała mówić o urządzaniu domu. Tu nie chodziło o ponaglanie go do małżeństwa... mimo że byli zaręczeni od czterech lat. Była jego dziewczyną i chciała zrobić wszystko, żeby go wesprzeć. Nic więcej.

- No dobrze, rozumiem, że za mną tęsknisz.... ale od tego się raczej nie umiera. - Zaśmiał się ciepło.

Przeszły ją ciarki. Znała ten śmiech. Była kiedyś na biznesowym przyjęciu i on zaśmiał się tak do menedżera firmy komputerowej, któremu próbował sprzedać półprzewodniki. Wyszedł z zamówieniem.

- Jasne, że nie umrę tutaj bez ciebie, ale będę się czuła podle. - Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt żałośnie. Swoją drogą, znalazła się w ogromnym mieście, w którym żyły miliony nieznanym jej ludzi. To, że chciała się trochę pożalić, nie było chyba nie na miejscu! - Powiedz mi, jak Richardson przyjął wiadomość, że starasz się o przeniesienie. Spodziewałeś się, że będzie wściekły, ale uważałeś, że kiedy już dogadasz się z biurem w Los Angeles, nie będzie miał nic do powiedzenia.

- Myliłem się - oznajmił z głębokim westchnieniem.

Ciarki przeszły w zimny dreszcz.

- Co się stało?

- Richardson to niezły kutas. On wiedział. Wiedział, że będę próbował wyrwać się z jego biura. Przy takiej wartości zamówień, które im ściągają... nie przewidziałem jednak, że będzie tak ostro walczył. Nie chce wypuścić z Kalifornii północnej do południowej jednego ze swoich najlepszych agentów.

- Ale on nic nie może zrobić, prawda? - naciskała. - Przecież ustaliłeś już wszystko z menedżerem sprzedaży, jak mu tam?

- Saro, on przyparł do muru wiceprezesa... a ten mi powiedział, prosto z mostu, że jeśli spróbuję wyjechać z Fairfield, to

nie będzie przeniesienia do innego okręgu - będę musiał się przenieść do innej firmy.

- Przecież... podpisałeś już tutaj umowę najmu!

Inaczej bym się nie przeprowadzała!

- On o tym wie. - Z głosu Benjamina sączyła się gorycz.

- Potem wziął mnie na bok i powiedział, już tak prywatnie, rozumiesz, że popracuje nad Richardsonem, ale oni są przyjaciółmi. - Ostatnie słowo wypowiedział niemal tak, jakby nim splunął. - Prosił, żeby dać mu trochę czasu.

- To znaczy ile czasu? - Sara próbowała mówić spokojnie. Ścisnęła bezprzewodowy telefon jak koło ratunkowe. - Kilka tygodni?

- Raczej ze dwa miesiące.

- Dwa miesiące!

- Myślisz, że mnie to cieszy?

Zaczęła chodzić po pokoju.

- Dwa miesiące. Okej... To jak letnie wakacje. Nic strasznego.

- Może trzy - poprawił się. - Wszystko zależy od Richardsona. Niech to szlag! - Urwał, a potem zniżył głos, przypominawszy sobie widocznie, że jest w pracy, nawet jeśli to był weekend. - Niech to szlag. Jak ja mam dość tej dziury!

Wyjrzała przez okno. Ciężkie chmury zdecydowanie zapowiadały deszcz i kilka pierwszych kropel zabębniło w szyby. Zapaliła światło.

- Wydaje mi się... Posłuchaj, nie mógłbyś po prostu rozejrzeć się tutaj za inną pracą? Musisz trzymać się Bear Electronics?

- Oszalałaś? Sytuacja na rynku pracy jest fatalna. A tu się już sprawdziłem, mam pewną pozycję. Nie mam zamiaru wszystkiego rzucać i zaczynać od początku!

- Tak tylko zapytałam... Chcę, żebyś tu był, to wszystko. Mogłabym zerwać umowę i wrócić...

- Zrezygnowałaś już ze swojego mieszkania.

- Mogłabym się wprowadzić do ciebie...

- Saro, mieszkanie jest na moje nazwisko. Nie chcę, żebyś spięrzyła mi w ten sposób opinię, rozumiesz?

Ale to nie ja wymyśliłam, żeby podpisywać wcześniej umowę, prawda?

Nie chciała się kłócić. Musiała rozegrać to jak najmądrzej.

- W porządku. Trzy miesiące sama. To jeszcze nie tragedia

- powiedziała, chociaż im dłużej o tym myślała, perspektywa wydawała jej się coraz bardziej upiorna. - Może uda mi się w tym czasie sporo rzeczy zaplanować. - Na przykład ślub. Benjamin obiecał, że pobiorą się przed końcem tego roku. Nie wspominał o szczegółach, ale wiedziała, że nie ma sensu go naciskać - zwłaszcza że miał na głowie przeprowadę z Richardsonem.

- Góra cztery - powiedział, nie poprawiając jej nastroju.  
- Rany, jak ja ci zazdroszczę.

- Naprawdę? - Sara uśmiechnęła się. - Czego?

- Kiedy ja tam dojadę, ty będziesz się czuła jak ryba w wodzie. Poznasz do tego czasu miasto, będziesz miała już pracę, będziesz naprawdę...

- Zaraz, zaraz - przerwała mu. - Nie wiem, czy w trzy miesiące znajdę ciekawą pracę - taką, żebym mogła nie mieć przy tobie kompleksów!

Zaśmiał się - to znów był ten profesjonalny śmiech sprzedawcy.

- Wiem, że chciałaś mieć trochę czasu na zastanowienie się, co naprawdę chcesz robić, ale to teraz mało realne, prawda?

- Ale to była część naszej umowy. - Zaczęła chodzić trochę szybciej. - Przeniosłam się do Los Angeles, żeby przygotować dom na twój przyjazd, a ty miałeś przez kilka miesięcy pokrywać rachunki, dopóki nic zdecyduję... o swojej przyszłości.

- Kotku, w ciągu czterech lat pracowałeś w trzech miejscach, więc czy naprawdę coś się stanie, jeśli i teraz pójdziesz do pracy, której nie będziesz lubiła? - przekonywał ją łagodnym głosem.

- Później, kiedy w końcu przyjadę, w każdej chwili będziesz mogła ją rzucić.

Miała uczucie, jakby waliła głową o ścianę.

- Rzecz w tym, Benjaminie, że ja nie chcę wciąż zmieniać pracy. Czuję się jak... plankton!

- Plankton? - Tym razem jego śmiech zabrzmiał bardziej naturalnie.

- Tak. Mam dosyć dryfowania. Potrzebuję jakiejś stabilizacji.

Westchnął, teraz już bardziej zirytowany.

- Saro, zapewnienie ci stabilizacji to nic jest chyba dokładnie to, czego się po mnie spodziewasz. Prawda?

- Źle mnie zrozumiałeś. Zwykle czułam się w pracy jak kupka nieszczęścia. Chodzi o to, że muszę znaleźć coś, co będzie mi sprawiało przyjemność.

- Nikomu, tak naprawdę, praca nie sprawia przyjemności - odparował z miejsca. - Może poza mną. Tak czy inaczej bez pracy nie będziesz w stanie zapłacić czynszu, prawda? Więc nie jest to najlepszy moment na wybrzydzenie. A rachunki zaczną przychodzić już niedługo.

- Ile będziesz mógł się dołożyć?

Znowu długa chwila ciszy. Naprawdę zaczynało ją to wkurzać.

- Saaroo... - powiedział wolno. - Ja tam nie mieszkam, prawda?

- Ale mówiłeś...

- Sytuacja się zmieniła. - Jego ton stawał się szorstki. - Nie liczysz chyba na to, że będę płacił czynsz, mimo że tam nie mieszkam.

- Na razie - zjęzyła się. - Nie mieszkasz tu na razie.

- Nie wierzę, żebyś na coś takiego liczyła - ciągnął z uporem.

- Masz rację - powiedziała zimnym głosem. - Na pewno przyjechałabym tutaj, ze swoimi drobnymi oszczędnościami, tak po prostu, gotowa płacić czynsz, mimo że powiedziałaś, że bierzesz to na siebie, i nie wiedząc, że ty się nie przenosisz - dopóki się nie rozpakowałam i nie podpisałam rocznej umowy najmu! Oczywiście! Na co ja liczyłam?

- Zapłaciłem kaucję i czynsz za pierwszy miesiąc, więc proszę cię, nie wciskaj mi kitu w stylu „o ja biedna, nieszczęśliwa!”. To ty ciągle powtarzałaś: „W L.A. to nareszcie będzie życie!”. Ty mi mówiłaś, że marzysz, żeby się tam przenieść!

Bo ty tego chciałeś, idioto!

Za bardzo ją poniosło. Nie chciała iść w zaparte... zwłaszcza że dzieliło ich ponad trzysta kilometrów i jedyne, co mogła zrobić, to pogadać sobie przez telefon.

- Przepraszam. Ja... zaskoczyłeś mnie. Nigdy nie liczyłam na to, że będę twoją... utrzymanką.

- Taaak, no wiesz, wyobraź sobie, jak ja się poczułem.

Próbowała sobie wyobrazić. Usilnie. Trzy miesiące - i do tego szukanie pracy. W mieście, w którym nie znała nikogo poza Judith.

Zamknęła oczy, oddychając głęboko. Nie miała zamiaru ryczeć. On nienawidził jej płaczu i natychmiast wyczuwał go w jej głosie.

- Więc masz zamiar mnie odwiedzić?

- Posłuchaj, jesteśmy w lesie z tegorocznym planem...

Czyli nie.

- Saro, wiem, że to wszystko cię podłamało. Ale wierz mi, będziesz tak zajęta, że nawet o mnie nie pomyślisz.

Biorąc pod uwagę, że wszystkie decyzje, które dotąd podjęła, zmierzały do tego, żeby Benjamin z nią zamieszkał - co miało ich tak bardzo zbliżyć do ołtarza - wydawało się to mało prawdopodobne.

- Już teraz za tobą tęsknię.

- Wiesz co? - Westchnął. - Tak sobie myślę, że może to nam obojgu dobrze zrobi.

- W jakim sensie?

- Do tej pory spędzałaś tyle czasu ze mną. Właściwie cały czas byliśmy razem.

- Jak to: cały czas? - zaprotestowała. - Przecież ty całymi dniami pracujesz.

- Ale zawsze byłaś, kiedy wracałem do domu. Teraz będziesz miała szansę zajmować się różnymi rzeczami, poza domem.

- Mam to traktować jak... coś w rodzaju szkoły przetrwania?

- Chciała, żeby to zabrzmiało jak żart, ale zawiódł ją własny głos.

- W każdym razie przekonam się, ile czasu wytrzymasz beze mnie.

- Słucham? - Trochę ją zatkało. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic... nic. Prawda jest taka, że czasami potrafisz być trudna. Czuję się, jakbym był twoim opiekunem. Teraz wyskakujesz z tym: „ile się dołożysz do czynszu?” i „kiedy przylecisz mnie odwiedzić?”, więc zastanawiam się po prostu... w jaki sposób chcesz przetrwać w L.A. beze mnie?

- Nie miałam pojęcia, że będę do tego zmuszona - odwróciła się.

- Widzisz? Właśnie o tym mówię!

- Benjamin... - Westchnęła.

- Muszę kończyć. Moje arkusze rozliczeniowe same się nie wypełnią liczbami. - Widocznie tak jak ona próbował być dowcipny. I jemu też to nie wyszło.

- Znajdę jakąś pracę - powiedziała szybko. - Poradzę sobie.

- Naprawdę muszę już kończyć.

- Ben... Wiesz, że cię kocham.

- Wiem, Saro. Pogadamy za tydzień. Cześć.

Wpatrywała się w telefon, aż usłyszała to denerwujące bip-bip-bip i wcisnęła klawisz kończący połączenie.

Leżąc nago na plecach, czując delikatne muśnięcia jego palców na skórze, Martika czuła się autentycznie, kompletnie znudzona.

- O czym myślisz? - spytał, wpatrując się w nią ciekawie ogromnymi niebieskimi oczami.

- To kobiece pytanie.

- Jesteś taka tajemnicza...

To miał być pewnie komplement. Lepiej by zrobił, gdyby przestał się tak romantycznie roztkliwiać.

- Bez przerwy się zastanawiam, o czym myślisz - szepnął.

Myślę, że nie wiadomo po jaką cholere jeszcze tu jestem.

Mieszkała u... Andre. Miał na imię Andre, przypomniawszy sobie, patrząc na jego jasną czuprynę, opadającą lekko na oczy. Kiedyś wydawało jej się to czarujące. Teraz aż świerzbiły ją ręce, żeby sięgnąć po nożyczki. Więc mieszkała z tym facetem już pięć miesięcy. Zaczął przypierać ją do muru pytaniami w stylu: „jak to dalej z nami będzie?” i luźnymi napomknięciami o „trwałych związkach”. Pomyślała sobie, że jest od niej o jakieś dwa lata młodszy kalendarzowo, o pięć lat młodszy emocjonalnie - i około pięćdziesięciu lat starszy, jeśli chodzi o stosunek do takich spraw jak małżeństwo. Usiłowała nie zrobić znudzonej miny.

- No więc o czym myślisz? - nalegał.

- Myślę - westchnęła - że mam ochotę wyskoczyć do jakiegoś klubu. Może do „Sunset”.

- Balowałaś trzy noce w tym tygodniu. Myślałem, że dzisiaj wieczór spędzimy w domu. - Uśmiechnął się, czarując ją dołeczkami w policzkach. - W łóżku.

To też zaczynało ją nudzić... a nuda w łóżku oznaczała sygnał do natychmiastowego odwrotu.



- Naprawdę mam ochotę gdzieś wyjść.
- W porządku. - Wściekły grymas wykrzywił **mu twarz**.
- Nie musisz się tak nadymać - fuknęła, zniecierpliwiona.
- Wiesz co, Martika, czasami wyłazi z ciebie straszna dziwka.

Wciągnęła na siebie czarną jedwabną podomkę.

- Żadne „czasami” - zgodziła się i chwyciwszy papierosy, ruszyła w stronę balkonu. Dzieliły ją od niego dwa kroki, kiedy usłyszała przenikliwy tryl telefonu komórkowego. Złapała go po drodze i zamykając za sobą oszklone drzwi, wcisnęła zielony guzik.

- To ja. A ty kim jesteś?
- Idziemy do baru coś łyknąć?

Uśmiechnęła się, oparła o drzwi i stuknąwszy w pudełko papierosów, wyjęła jeden ustami. Pachniało deszczem... i wyglądało na to, że pada. Grube krople uderzały o chodnik. Miała nadzieję, że będzie z tego burza.

- Taylor, jesteś moim białym rycerzem. Myślałam, że będę musiała odgryźć własną nogę, żeby się stąd wyrwać.

- Och, Tika, Tika - powiedział z lekką nutą nagany. - Więc jesteśmy już na tym etapie?

- Jeśli masz na myśli etap odwrotu, tak, zdecydowanie do tego dojrzeliśmy.

- Cholera. On ma takie fantastyczne ciało.

- Wiem. - Zapaliła papierosa, zaciągając się głęboko. - Szkoda, że nie jest niemową. Zresztą, nawet gdyby nie gadał, to jego uduchowione spojrzenia są po prostu niestrawne. - Zerknęła za siebie przez oszklone drzwi. Andre wciąż siedział na łóżku, goły, z nadąsaną miną.

- No więc? Jaki jest spodziewany termin ewakuacji?

- Data jeszcze nieustalona, Taylor... ale niedługo. Czuję, że jestem na wylocie. Kurczę, jak ja nienawidzę się przeprowadzać.

- Dziwne, jak na taką łazęgę jak ty - wypomniał jej oschle.

- Może powinnaś spróbować pomieszkać z kimś, z kim nie sypiasz?

- Mieszkałam już z ludźmi, z którymi nie sypiałam.

- Rodzina się nie liczy. Zresztą, kiedy to było?

- Racja. Ale był taki jeden facet... jak on miał na imię? Robbie?

Taylor roześmiał się.

- Jeszcze jedno: powinnaś mieszkać z kimś, z kim ja na pewno nie będę spała. Pamiętasz?

- Uhu - zachichotała. - Racja. Boże, ale to był obciach.

- Może następnym razem powinnaś spróbować z dziewczyną.

- W łóżku?

- Mówię o współlokatorce, głuptasie. Chociaż...

- Ciężka sprawa - ucięła Martika. - Dziewczyny mnie nie lubią. - Drapieżny uśmiech przemknął po jej twarzy. - I chyba nie bez powodu.

Usłyszała stuknięcie w okno. To był Andre i oczywiście nie miał zachwyconej miny.

- Będziesz stała tam całą noc? - wyszeptał bezgłośnie przez szybę.

- Możliwe - odpowiedziała w taki sam sposób i odwróciła się. - Taylor, cerber stoi mi za plecami. „Coś łyknąć” to mało, skarbie. Idziemy do klubu. Do „Sunset”?

- Może spuścimy z tonu i dziabniemy kilka martini w „Viper Room”.

- Właśnie za to cię kocham, skarbie! Chyba tym razem pójdę na całość, więc musisz dać mi godzinę więcej niż zwykle na wyguzdranie się.

- Nie ma sprawy, i tak muszę najpierw coś zjeść, a potem wpadnę do Kita.

- Dobra. Czyli jesteśmy umówieni - „Viper Room”, koło jedenastej. Baj. - Cmoknęła, przerwała połączenie i otworzyła drzwi.

- Ciekawe, co mi powiesz. - Andre skrzyżował ręce na nagim torsie. - Że zadzwonił ten drugi i musisz do niego lecieć?

- Wierzyć mi się nie chce, że jesteś zazdrosny o geja.

- Zaczynam myśleć, że tylko takiego faceta byłabyś w stanie pokochać.

- Rozumiem. - Spojrzała na niego z okrutnie słodkim uśmiechem. - Więc to dlatego mizdrzysz się jak ciota? Żebyś pomyślała, że zmieniłeś orientację, i straciła dla ciebie głowę?

- Spadaj. - Kiedy zacisnął szczęki, jego pięknie zarysowana broda lekko się zmarszczyła. Wyglądał jak zawodowy model, którym faktycznie był.

No, dalej, pokaż, jak się złościsz! Śmiało! Martika omal nie wybuchnęła śmiechem.

- Martiko, myślę, że cię kocham. Ale nie chcę, żebyś wychodziła dzisiaj z Taylorem.

Rzuciła mu powłóczyście spojrzenie. Zwykle zyskiwał w jej oczach, kiedy stawał okoniem, ale teraz trafił w jej czuły punkt. Taylor był jej najlepszym przyjacielem. A nikt nie miał prawa wtrącać się w jej układy z przyjaciółmi - ani mówić, z kim może albo nie może się zobaczyć.

- Nie będę siedziała dzisiaj w domu, Andre. Jak chcesz, możesz ze mną... Nie. Nie możesz ze mną iść. Wychodzę z przyjaciółmi, bo mam dosyć tego idiotycznego cyrku. Możesz się wściekać albo zrobić coś pożytecznego. Pospać. Pooglądać telewizję. Napisać jakiś przejmujący sonet. Naprawdę guzik mnie to obchodzi.

Poszła do łazienki. Odkręciła wodę, zdjęła podomkę i weszła pod prysznic, regulując temperaturę wody. Czysta przyjemność i relaks: tego jej było trzeba.

Andre wszedł za nią do środka, otwierając szeroko drzwi. Zobaczyła go, jego przystojną twarz przysłoniętą obłokiem pary.

- Może... może nie powinnaś tu dłużej mieszkać - powiedział ze złością i błaganiem w oczach. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby zaczął płakać.

- Wyprowadzę się do końca tygodnia.

Stojąc w deszczu, Sara podniosła wzrok na szyld: „Basix Cafe”. Skoro miała zacząć poznawać miasto i oswajać się z nim na własną rękę, uznała to miejsce za równie dobre, jak każde inne. Co prawda, oddaliła się od domu zaledwie o dwie przecznice, ale fakt, że znalazła się na ulicy wśród obcych ludzi, był krokiem we właściwym kierunku.

Próbowała dodzwonić się do Judith, żeby namówić ją na kolację w mieście, ale odpowiadała jej automatyczna sekretarka. Następne pół godziny, nie dłużej, zbierała się na odwagę, żeby przyjść tutaj sama.

Knajpka była ciasna, z przylegającym patio, osłoniętym przezroczystymi parawanami, i z charakterystycznymi gazowymi grzejnikami, wyglądającymi jak pochodnie. Zastanawia-

ła się, czy spotka kogoś sławnego. W końcu to Hollywood. Co prawda Zachodni Hollywood, ale zawsze... Czuła się nieswojo.

Mężczyzna przy wejściu zlustrował ją czujnym okiem, lekko się uśmiechając.

- Dobry wieczór. Stolik dla ilu osób?
- Dla jednej.
- Rozumiem.

Czy tylko jej się zdawało, czy znów rzucił jej szybkie taksujące spojrzenie? Nic w rodzaju zaczepki seksualnej, nie przypominało to nawet sposobu, w jaki mężczyźni patrzą na kobiety w domu. To było raczej... zdziwienie, jakby coś było z nią nie tak.

Dyskretnie sprawdziła suwak spodni.

Może to dlatego, że przyszłam tu sama, pomyślała. Zauważyła, że przy większości stolików siedziały co najmniej dwie osoby, zwykle więcej.

Następnym razem zamierzała wziąć ze sobą książkę. Gdyby zdarzył się następny raz.

Zaprowadził ją do maleńkiego stolika w kącie, zasłoniętego do połowy rośliną w doniczce. Wzięła menu i usiadła.

Z tak dogodnego punktu obserwacyjnego mogła sobie przy najmniej pozwolić na rozglądanie się po sali, co było miłe. Na razie nikogo sławnego, ale była dopiero ósma. Przypuszczała, że zaczną schodzić się później. Nie przymierzając jak wampiry.

Zauważyła niemal natychmiast, że restaurację wypełniają głównie mężczyźni... wszyscy dobrze ubrani, w śmiałym, nieco ekstrawaganckim stylu prezenterów MTV. Nie spotyka się tak ubranych facetów w Fairfield. W każdym razie nie w restauracjach, na kolacji.

Zajęła się studiowaniem menu. Burczało jej w brzuchu. Miejsce pachniało cudownie, a desery... To, co widziała w oszklonej gablocie, wyglądało tak zachęcająco, że przez moment zastanawiała się, czy nie poprzestać na torcie czekoladowym z dodatkiem ekierek. Ale na pusty żołądek? Rozsądek jej podpowiadał, że jeśli nie zje najpierw normalnego posiłku, dostanie skrętu kiszek i całą noc będzie zwijała się z bólu na dywanie.

- Jak to: nie ma dla mnie stolika? - Krzykliwy głos przebił się przez gwar rozmów. Wszystkie oczy zwróciły się na nowego

gościa. Sara też wlepiła w niego oczy, momentalnie tracąc zainteresowanie menu.

Niewielu tak ogromnych mężczyzn widziała w swoim życiu. Miał krótkie włosy, w swoim naturalnym stanie na pewno kręcone - nad czołem były lekko falujące, na pewno potraktowane jakimś żelem. Poza tym miał duże ciemne oczy, barczyste ramiona i - najwyraźniej jak wszyscy inni bywalcy tego miejsca - świetne, stylowe ciuchy. Był w czarnych błyszczących bojówkach i czerwonej koszuli o metalicznym połysku. Zauważyła dwa kolczyki w prawym uchu i, ku swojemu zdumieniu, polakierowane na czarno paznokcie.

- Zrozum, Mitch, ja zdycham z głodu - jęknął z melodramatycznym zacięciem, a potem mrugnął do szefa sali. - Umówiłem się w klubie z Tiką, nie mogę czekać na stolik dwie godziny!

Olbrzym rozejrzał się dokoła i nagle zatrzymał wzrok na Sarze.

- Czy ktoś z tobą siedzi?

Z wybałuszonymi oczami, pozbierała się na tyle, żeby potrząsnąć głową.

- Świetnie. W takim razie zjemy razem kolację. Cześć - powiedział, odsuwając krzesło i sadowiąc się ciężko po przeciwnej stronie stolika. - Mam na imię Taylor.

Kiwnęła głową, czując obezwładniające zakłopotanie.

- S-sara...

- Co za głos! Słodki, jakbym słyszał jedną z „Atomówek” \*. Kocham je. A wiesz, że ten film w pierwotnej wersji, kiedy był tylko studencką wprawką, miał tytuł „Łoidupki”? Oczywiście Cartoon Network by tego nie kupił... ale oszczędłem od tematu. Zamówiłaś coś?

- Eee... nie. Nigdy tu jeszcze nie jadłam - zaczęła nieśmiało - więc nie mogę się zdecydować.

- Nigdy? - ucieszył się. - No to przygotuj się na ucztę. Zacznij od *corn bisque* \*\*, potem pizza... z pieczonym kurczakiem i goudą. Jest fantastyczna.

\* „Atomówki” - tytuł oryg. „Powerpuff girls”. Serial animowany Cartoon Network, którego bohaterkami są trzy dziewczynki ratujące świat od zagłady, zwalczające zło i występki.

\*\* *Corn bisque* - zupa krem z warzyw i kukurydzy, z dodatkiem wina, śmietany i przypraw; może być posypana płatkami mięsa krabów.

Naprawdę burczało jej w brzuchu. Przycisnęła do niego rękę, zażenowana.

- Brzmi nieźle.

- Jasne! - Prześliznęła się po niej badawczym wzrokiem.

On też? O co chodzi?

Ale jego spojrzenie było mniej lekceważące. Spojrzał na nią życzliwie.

- Nie jesteś stąd, prawda?

- Już jestem. - Uśmiechnęła się blado. - Właśnie się przeprowadziłam. Dwie ulice wyżej.

- Naprawdę?

Zaczęła się zastanawiać, czy cokolwiek jest w stanie go rozczarować.

- Fantastycznie. Ja też mieszkam kilka kroków stąd! Och, poczekaj sekundę. To mój przyjaciel. - Manewrując między stolikami ku wyjściu, zdołał sprawić, że wszystkie oczy zwróciły się na niego. I o to, jak podejrzewała Sara, chodziło. - Michael! Tyle czasu bez znaku życia. Dlaczego nie przyszedłeś do „Beer Bust”?

Przyglądała się w zdumieniu, jak Taylor ściska wylewnie przyjaciela, a ten przedstawia mu innego mężczyznę. No cóż, lepsze to niż jeść w samotności.

Podszedł do niej kelner.

- Decyzja podjęta?

- Tak. *Corn bisque* - powtórzyła jak grzeczna uczennica - i pizza z pieczonym kurczakiem.

Znów się uśmiechnął, tym swoim uprzejmym, chytrym uśmieczkiem.

- Och, ale on siedzi ze mną - powiedziała, widząc, że kelner zbiera się do odejścia. - Jeszcze nic nie zamówił.

- On nie musi - odpowiedział z lekką drwiną w głosie. - Zawsze bierze to samo.

- Ooo... - Może tu rzeczywiście cholernie dobrze karmią, pomyślała, bo obsługa pozostawia wiele do życzenia.

Taylor wrócił po kilku minutach.

- Świetny facet ten Michael.

- Wygląda na miłego. - Nic innego nie przychodziło jej do głowy.

- Następnym razem będę musiał cię przedstawić. Właściwie jesteśmy sąsiadami. - Westchnął przeciągle. - Nawijam jak

opętany. Bez urazy, ale wyglądasz jak zmokła myszka, zupełnie sama, zagubiona w obcym świecie. Śmiało, dziewczynko, opowiedz mi o sobie.

- Nie wiedziałam, że w L.A. padają deszcze - powiedziała na swoją obronę - dlatego nie wzięłam parasola.

- Więc nie znasz L.A. - Uśmiechnął się pobłaźliwie. - Skąd jesteś?

- Z Fairfield.

Uniósł brwi. Zastanawiała się, czy je wyskubuje - wyglądały jak nakreślone cyrklem.

- Fairfield? Gdzie to jest? Gdzieś w dolinie?

- Nie. W północnej części stanu, niedaleko Sacramento. Bliżej... mniejsza o to, w północnej Kalifornii.

- No tak, północna Kalifornia - powiedział, przewracając oczami. - To przynajmniej tłumaczy twój strój. Więc przyjechałaś tu dzisiaj? Jesteś... nie, nie jesteś aktorką.

- Skąd wiesz?

- Mało wyzywający wygląd, mówiąc szczerze. Nic z przebojowej laski. Zresztą może jesteś aktorką, ale wątpię, żebyś miała duże wzięcie... oczywiście w Los Angeles pełno jest i takich. Poza tym sprawiasz wrażenie, jakbyś miała za dużo pieniędzy.

Nie wiedziała, czy powinna czuć się urażona wywoodem Taylora, czy nie, wybrała więc to drugie. Gdy *corn bisque* pojawił się na stole, spróbowała go, wzdychając głęboko.

- Mówiłem ci - powiedział z satysfakcją.

- Pycha - mruknęła, starając się nie jeść zbyt łapczywie. Wołała nie wiedzieć, co Taylor sądzi o prostackim zachowaniu przy stole.

Taylor patrzył na nią z przechyloną na bok głową.

- Wiesz co - powiedział, smakując pierwszą łyżkę swojej zupy - postanowiłem cię polubić.

- Dzięki. To miło z twojej strony. - Uśmiechnęła się, natychmiast zapominając o żalu z powodu przeprowadzki.

- A ty polubisz mnie, na to wygląda.

Roześmiała się... tak po prostu. Taylor gestem ręki przywołał kelnera.

- Lubię ją - powiedział z egzaltacją, na co kelner uśmiechnął się bez słowa, znacznie bardziej życzliwie, zauważyła Sara, i prostodusznie. - Będziemy potrzebowali trochę wina.

- Och, nie, naprawdę... - zaprotestowała - ja nie mogę...  
Zmusił ją wzrokiem do milczenia.

- Nonsens. To na powitanie w Los Angeles. Możesz nam przynieść butelkę caberneta ravenwood? Dziękuję - odprawił kelnera, który skinął tylko głową i odszedł. - No dobrze. - Taylor zatarł ręce. - Skoro jesteśmy takimi dobrymi przyjaciółmi i w ogóle, musisz mi opowiedzieć historię swojego życia, od początku do końca. Bez żadnych skrótów. Chcę wiedzieć wszystko.

Łazienka małżeńska w domu Judith i Davida miała dwie umywalki: jego i jej. Co było oznaką tego, jak świetnie David prosperował. Lada dzień miał zostać partnerem kancelarii adwokackiej. Jego część łazienki świadczyła o tym wymownie: starannie wyeksponowany komplet przyborów toaletowych, od srebrnego uchwyty wymiennej szczoteczki do zębów i srebrnej maszynki do golenia (jednorazówki w przypadku Davida nie wchodziły w grę) po małą srebrną miseczkę, w której spieniał swój krem do golenia, nie mówiąc o pedantycznie złożonym ręczniku, który wisiał na jego własnym wieszaku, do jego wyłącznego użytku. Pastę do zębów i inne bardziej tandetne drobiazgi chował do szuflady, mimo że używał pasty marki Rembrandt, a nie jakiejś taniocy typu Colgate.

Kącik Judith robił wrażenie szpitalnej sterylności. Królował w nim kompletny zestaw kosmetyków do pielęgnacji skóry Dr. Hauschki, ustawionych jeden obok drugiego, wyglądających niemal pospolicie ze swoimi białymi etykietami z wąskim pomarańczowym paskiem. Mleczko i krem do demakijażu, tonik, krem nawilżający - na dzień, i krem różany, do partii twarzy wymagających szczególnej troski. Szczoteczka do zębów stała w ceramicznym kremowobiałym kubku.

Poddała się codziennemu rytuałowi: mycie zębów, mycie twarzy, tonik, krem nawilżający. Wypatrywanie zmarszczek, mimo że miała dwadzieścia pięć lat, mimo że jej dziecięco gładka azjatycka cera budziła zachwyt koleżanek z pracy. Zdjęcie opaski, szczotkowanie lśniących czarnych włosów, piętnaście płynnych pociągnięć. Wrzucenie ubrań do kosza, włożenie bawełnianej nocnej koszuli. Wejście do małżeńskiego



łóża typu California King, od prawej strony, przy ścianie. David lubił spać na lewej połowie, od strony drzwi. Przekreśliła się na bok i sięgnęła po książkę, którą zostawiła na jego nocnej szafce.

„Zasada Oz”\*. Coś pożytecznego. Chciała się w to wgrzyść - kilka najbliższych tygodni zapowiadało się pracowicie. Jej terminarz był solidnie wypełniony.

Ledwie docierały do niej z łazienki odgłosy wieczornego rytuału Davida: długie posiedzenie z książką uwieńczone pozbyciem się kolacji (w tym przypadku przystawki z tuńczyka i duszonych kotlecików jagnięcych z „Chinois”), potem mycie zębów i ogłędziny zmarszczek, bardziej uzasadnione, zważywszy na to, że miał trzydzieści dwa lata. Wyczuwała bardziej, niż słyszała, jak sprawdza, czy linia jego włosów nie ustępuje pola powiększającemu się czołu - chwila strachu, i szybkie odwołanie alarmu. Nie zniżyłby się do wykonania pełnego repertuaru zabiegów pielęgnacyjnych, łącznie z wklepywaniem w twarz kremu, ale Judith przyłapała go kiedyś na wypróbowaniu specyfiku Dr. Hauschki. Na wszelki wypadek planowała powiększyć domowy zapas o kilka słoiczków. Była pewna, że David trzymałby swoje w oddzielnej szufladce albo w apteczce.

Kiedy przyczłapał do łóżka, w samych bokserkach, podała mu książkę. Odstawił ją na najbliższą półkę. David w samych bokserkach oznaczał seks. Zdjęła koszulę i majtki. On je odłożył, potem ściągnął bokserki i wszedł do łóżka, moszcząc się pod pościelą.

Zwykle wystarczało mu pięć, dziesięć minut rozmowy, i był gotów.

- Dzwonił ktoś, kiedy nie było nas w domu?

- Sara - odpowiedziała Judith. - Chciała spytać, czy mogę się z nią jutro spotkać na lunchu. Myślę, że powinnam... wydaje się trochę samotna.

- To jedna z twoich przyjaciółek z college'u, prawda?

- Pomiętosił jej ramię, potem zaczął bawić się piersią.

- Moja najlepsza przyjaciółka z college'u. - Uśmiechnęła się.

- Była dla mnie jakby młodszą siostrą. Na pierwszym roku mieszkaliśmy w jednym pokoju.

\* „Zasada Oz” Rogera Connorsa; pełny tytuł: „Zasada Oz: osiągnięcie celów dzięki indywidualnej i zbiorowej odpowiedzialności”.

- Młodsza siostrą? Naprawdę jest od ciebie młodsza?  
Judith wzdrygnęła się. Głaskała ją trochę za mocno.
- Zawsze wydawała się młodsza. Cztery razy zmieniała profil zajęć - powiedziała ze śmiechem. - Ciągłe musiała coś... Nie wiem. Jakoś nie mogła dojść ze sobą do ładu.  
Zaśmiała się, przerywając na chwilę leniwe karesy.
- Musiałyście być jak jakaś damska wersja „Odd Couple” \*.
- Trochę jej pomagałam. Jest miła. Po prostu chce się wyciągnąć do niej rękę. - Judith westchnęła. - Bardzo się ucieszyłam, kiedy związała się z Benjaminem. Jest dla niej silnym oparciem. Gdyby tylko potrafiła zaciągnąć go do ołtarza...
- Zabawnie wymówiłaś jego imię. Jak gdyby to był tytuł czy coś w tym rodzaju.
- Naprawdę? - Zastanowiła się nad tym. - Jest doskonałym handlowcem, to wiem na pewno. Nie spotkałam w swoim życiu bardziej przebojowego człowieka.
- Bardziej od ciebie? - Znów zaczął ją gładzić. Poczowała łąskotanie, kiedy przebiegł ręką po jej brzuchu, ale ani drgnęła. Przesunęła się tylko nieznacznie, żeby łąskotał ją gdzie indziej. Nie zorientowała się.
- Zrobił MBA \*\* w rekordowym tempie, ale i tak najbardziej interesują go transakcje handlowe - to chyba sprawa jego osobowości. Typ charyzmatyczny.
- Jednym słowem, facet ma swoje zalety, tak?  
To wyglądało na zazdrość. Od pewnego czasu ego Davida było nieco bardziej podatne na urazy.
- Myślę, że jest lojalny. - Właściwie wcale nie była tego pewna. - Przynajmniej mam taką nadzieję, bo życzę Sarze jak najlepiej. Podobno lada dzień Benjamin przeprowadza się do niej na stałe. Mężczyzny nie powinno się zostawiać zbyt długo poza zasięgiem wzroku.
- Dlaczego?
- On jest młody, atrakcyjny, ma niezłe dochody, dobry samochód, na pewno daleko zajdzie. Kobiety polują na takich

\* „Odd Couple” - film i show telewizyjny, na podstawie sztuki Neila Simona, o mieszkających razem dwóch rozwodnikach, Feliksie i Oskarce.

\*\* MBA - tytuł naukowy: Master of Business Administration.

mężczyzn - i zdaje się, że tacy mężczyźni dość łatwo ulegają kobietom, które na nich polują. Gdyby Sara była mądra, nie spuszczałaby z niego oka, dopóki się nie pobiorą.

Jego erekcja wciąż była tylko półerekcją. Judith przyglądała mu się bacznie, żeby ocenić ewentualne trudności.

Patrzył na nią wzrokiem, w którym wyczuwała i fascynację, i niesmak.

- Polują, mówisz? Niesamowite. Wiesz, jak to brzmi?

- Nie ja ustalam reguły gry.

- Ty ich tylko przestrzegasz, co?

Odsunęła się od niego, zirytowana. Zamiast gadać, mógłby zrobić swoje i pójść spać.

- Tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś.

Wyraźnie potrzebował dopieszczenia. Powinna była wybrać odpowiedniejszy temat rozgrzewającej konwersacji, ale od jakiegoś czasu za bardzo wyczerpywała ją praca. Musiała wrócić do swoich medytacji. Westchnęła, usiłując się skoncentrować. Pochyliła się i pocałowała go, z zaangażowaniem.

- Ja upolowałam ciebie, prawda? - spytała zadowolona, czując twardą męskość napierającą na jej udo. Jeśli to okazało się takie łatwe, nie mógł być na nią bardzo zły.

- Zgadza się. Upolowałeś mnie. I to był cholernie dobry wybór - powiedział swoim napuszonym tonem aroganckiego prawnika.

Przypływ energii, pomyślała. Istniała szansa, że będzie względnie szybki.

Zgasił światło. W całkowitej ciemności czuła, jak wyciąga do niej rękę, i pozwoliła przewrócić się na wznak. Chwilę później została wciśnięta w miękką, otulającą, łagodnie sprężystą piankę materaca. Postękiwała z wyczuciem, coraz głośniej, w miarę jak David przyspieszał oddech.

Kiedy jęknął, zamknęła oczy.

Sturlał się z niej i bez słowa podał jej koszulę i majtki. Czuła, jak łóżko ugina się pod jego ciężarem, jak miota się niezdarnie, wciągając z powrotem bokserki.

Niedługo czekała, aż jego oddech przejdzie w chrapanie.

Ubrała się, ograniczając do minimum ilość ruchów, żeby go nie obudzić. Przeglądając w myśli swój terminarz, zaplanowała

telefon do specjalisty od medytacji, tuż po spotkaniu wyznaczonym na dziesiątą rano. Odwołać wizytę u manikiurzystki. Sprawdzić, czy nie znalazłby się gdzieś wakat dla Sary... może w obsłudze klientów albo w dziale personalnym.

Kiedy dotarła do punktu „iść do łóżka”, zapadła w sen.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### *Take It As It Comes (Będzie, jak ma być)*

Następnego dnia rano Sara przez kilka minut zastanawiała się, gdzie jest. Słońce wdzierało się bezlitośnie przez okno sypialni. Los Angeles, pomyślała na wpół przytomnie. Była w łóżku, w swoim nowym mieszkaniu.

Zupełnie nie pamiętała, jak się tu znalazła. Ani dlaczego huczy jej w głowie. Ani dlaczego zasnęła w ubraniu.

Jęknęła na dźwięk dzwonka i wygrzebała się z łóżka. Na szczęście drzwi były zamknięte - nie na zasuwę, ale dobre i to. Wcisnęła guzik domofonu.

- Słucham? - zachrypiała.

- Sara, kochanie? To ja, Taylor.

Taylor? Przebiegła w myślach listę swoich znajomych.

- Boski facet, który przyholował cię wczoraj do domu. Hej, bądź grzeczną dziewczynką i wpuść mnie... och, już nie musisz, pewien dżentelmen otwiera drzwi. Zaraz będę na gorze.

Stała jak wryta, słysząc, jak drzwi zatraskują się z hukiem. Serce zaczęło jej bić trochę szybciej.

Jak mogłaś być tak głupia?

Wczorajszy wieczór był tylko mglistym wspomnieniem, ale pamiętała wystrzałowego olbrzyma, z którym jadła kolację. Pamiętała go do pewnego momentu. Zachwiała się lekko, zamykając oczy, żeby przypomnieć sobie coś więcej. Wypiła butelkę caberneta z obcym człowiekiem, który miał jakieś dwa metry wzrostu. Podprowadził ją pod drzwi... przez część drogi niósł ją chyba na rękach - a może jej się śniło?

Pamiętała jeszcze, że zapakował ją do łóżka. Pocałował w czoło jak dziecko i powiedział, że przyjdzie rano.

W panicznym pośpiechu przetrząsnęła torebkę. Nie zginęły ani karty kredytowe, ani pieniądze.

Jak mogłaś być tak głupia? Upiła się z kompletnie obcym człowiekiem, co z tego, że był „miły”. A potem wpuściła go do domu!

Mocne uderzenie w drzwi wyrwało ją z zamyślenia. Serce skoczyło jej do gardła.

Ten facet może być seryjnym mordercą. Nie otwieraj mu!

- Sara? Skarbie, otwórz drzwi, to ja. Hej, przecież wiem, że tam jesteś. Mam coś, co postawi cię na nogi.

Zastanawiała się, czy nie pójść do kuchni po nóż albo coś w tym rodzaju. Nie mogła zasunąć zasuwy, bo to by było...

Co by było? Niegrzeczne z jej strony?

- Och, kotku, nie bądź taka - odezwał się po długiej chwili ciszy, wyraźnie niższym głosem. - Myślałem, że jeśli poszłaś ze mną wczoraj do łóżka, to...

Zachłysnęła się z oburzenia i gwałtownie, bez chwili namysłu, otworzyła drzwi.

- Nie poszłam z tobą do żadnego łóżka! - Podniosła wzrok i zobaczyła jego uśmiechniętą twarz.

- Oczywiście, że nie. Ale czułem, że otworzysz, jeśli to powiem.

Zaczerwieniła się. Wiedziała, że się zaczerwieniła.

- Mogę na chwilę wejść? To trochę waży.

Nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka, a za nim drugi mężczyzna. Przypatrywała się im nerwowo.

Taylor robił niesamowite wrażenie - w połyskującym białym T-shircie i džinsach, które wyglądały na świeżo uprasowane, z dziurami na kolanach, z pewnością wyciętymi rozmyślnie, dla artystycznego efektu. To, co trzymał oburącz, wyglądało na dwa kartony jakiegoś napoju.

- Wydawało mi się, że jedenasta to nie jest za wczesna pora na odwiedzinę. Kit? Możesz dać jej tę kawę?

Drugi mężczyzna był chudy jak tyczka, miał jasnobrązowe włosy schowane pod baseballową czapką, założoną tyłem na przód. Był w szarym T-shircie, przetartych na kolanach, ale w całkiem naturalny sposób, bojówkach khaki, i w równie

znoszonych sportowych butach. Wyglądał na niższego od Taylora, ale Sara oceniała jego wzrost na ponad metr osiemdziesiąt.

- Witamy... w Parku Jurajskim - powiedział, wręczając jej styropianowy kubek z wieczkiem.

Rzuciła nerwowe spojrzenie Taylorowi, a ten przewrócił oczami.

- Przywykniesz do Kita. On jest moim MNP.

- MNP?

- Mianowanym Normalnym Przyjacielem.

- Miło jest wypełniać jakąś lukę - powiedział Kit, wzruszając ramionami.

Uśmiechnęła się blado i wypita łyk kawy. Od razu poczuła się lepiej. Poczłaby się o wiele lepiej, gdyby akurat w tym momencie nie zadzwonił domofon.

- Tak?

- To ja, Judith. Byłam niedaleko, więc pomyślałam, że zabiorę cię na lunch.

Sara spojrzała na Kita i Taylora, którzy byli już w salonie. Mocny tandem.

- Yyy... potrzebuję trochę czasu, żeby się wygrzebać...

- Więc wpuść mnie. Mogę poczekać.

Sara wcisnęła guzik, potem spojrzała na mężczyzn.

- To moja przyjaciółka, Judith.

Taylor uśmiechnął się, jakby nie rozumiał, co chciała przez to powiedzieć - że mają się po prostu wynieść.

- Więc to jest twoje mieszkanie?

- Są jeszcze dwie sypialnie i łazienka.

- Cudo. - Nieproszony, zajrzał do obu pokoiów. - Przestronne. Nie szukasz przypadkiem współlokatorki? Znam kogoś, kto...

- Nie - odpowiedziała stanowczo i natychmiast potarła skronie. Okej, spokojnie, z mniejszym naciskiem. Nie jesteś dziś w formie. - Ja mam... niedługo przyjeżdża mój chłopak.

- Aaa, no tak. Facet, o którym mi wspominałaś. - Rzucił sceptyczne spojrzenie Kitowi.

Sara jęknęła.

- Jestem pewna, że on...

- Sara? - Judith stanęła w półotwartych drzwiach. - Cześć.

Myślałam, że jedenasta to nie będzie... - Urwała, gdy jej wzrok padł na Taylora i Kita. - Och, nie wiedziałam, że masz gości.

- Ściągnęta kruczczarne brwi. - Twój przyjaciele?

- Yyy... to jest...

- Przepraszam, powinienem się przedstawić. Prezentacje to moja spe'alność - powiedział Taylor, wyciągając do niej wielką rękę. - Jestem Taylor, jeden z sąsiadów Sary. A to Kit. - Kit skinął tylko głową. - Kit to po prostu Kit.

- Rozumiem. Jak poznałeś Sarę?

Twarz Taylora przybrała wyraz pogodnego rozbawienia.

- Och, całkiem dobrze, mniej więcej tak, jak można poznać kogoś, z kim człowiek zaleje się w pestkę. Sara jest słodkim stworzeniem! - Gdyby wyciągnął rękę, żeby uszczypnąć ją w policzek, wcale by się nie zdziwiła. - Myślę, że ją zatrzymamy.

W spojrzeniu Judith było teraz więcej niepokoju niż nagany.

- Taylor jest w porządku - powiedziała Sara i zdała sobie sprawę, że naprawdę w to wierzy. - Taylor, dzięki, że wpadliście i, eee... za kawę i w ogóle.

- Nie ma sprawy. - Ignorując błyski w oczach Judith, przysunął się bokiem do Sary i zniżył głos do teatralnego szeptu. - Bez urazy, kochanie, ale może byś wskoczyła pod prysznic i przebrała się, zanim wyjdiesz z Mamuską. Poczujesz się znacznie lepiej.

- Miałam taki zamiar.

- Aha, proszę. - Wyjął puszkę z kartonu, który wniósł wcześniej do kuchni i postawił na stole.

- Co to jest?

- Morderca Kaca - rewelacja. Sprzedają to w Chinatown, na kartony. Wytrąbisz całą puszkę do dna jak grzeczna dziewczynka. Bywasz w nocnych klubach?

- Yyy... - Zrobiła okrągłe oczy.

Uśmiechnął się i było to niezwykle, jakby opromienił ją uśmiech jakiegoś opiekuńczego bóstwa.

- Jesteś naprawdę słodka! Na razie zostaniemy przy kolacjach, ale lubię cię - powiedział z wylewną sympatią. - Proszę. - Wyjął z tylnej kieszeni służbową wizytówkę.

„Taylor Mayerling. Dyrektor do spraw marketingowych technik komunikacyjnych, Demille Plastics Company” - przeczytała szybko.



- Plastik? - mruknęła.  
- Plastik ma przed sobą wielką przyszłość - mruknął z uśmiechem Kit.

- „Absolwent”. Łatwizna. - Taylor rzucił mu lekceważące spojrzenie i zwrócił się z powrotem do Sary. - Może to nie jest seksowne zajęcie, ale daje się z tego żyć.

- Słyszę cię dobrze - powiedziała z bolesnym grymasem.

- Musimy już lecieć. Zadzwoń do mnie, to umówimy się na kolację. Poprosiłbym cię o telefon, ale... - Spojrzał z uśmiechem na Judith. - Może innym razem. - Wyjął jej z ręki wizytówkę, chwycił ze stołu długopis i napisał coś na odwrocie.

- Martika? - odczytała nabazgrołone imię.

- To numer jej telefonu. Gdybyś zmieniła zdanie - w sprawie współlokatorki - zadzwoń do niej.

Uścisnął ją i było to całkiem miłe - choć Judith patrzyła na nich spode łba. Kit skinął na pożegnanie głową i w końcu wyszli obaj, zamykając za sobą drzwi.

- Co to za typy? - spytała Judith.

- Znajomi. - Sara uśmiechnęła się, zerkając na wizytówkę.

- Moi pierwsi znajomi w tym mieście.

- Naprawdę powinnaś być trochę bardziej ostrożna. Oni mogli być groźni!

- Naprawdę tak myślisz?

- Saro! - Teraz, kiedy zostały same, niepokój ustąpił miejsca jawnemu oburzeniu. - Zrozum, to nie jest Fairfield.

- Idziemy na ten lunch? - Nie miała ochoty być strofowana ani pouczana.

- Wiem, że szukasz idealnej pracy, ale pomyślałam sobie, że może byś spróbowała w reklamie. Masz doświadczenie w public relations i akwizycji ogłoszeń, więc spokojnie mogłabyś się załapać w agencji reklamowej.

W normalnej sytuacji Sara rozważałaby możliwość pracy w reklamie z równym entuzjazmem jak dyżurowanie w pogotowiu kanalizacyjnym. Ale nie miała wielkiego wyboru.

- Myślałam, że będę bardziej wybredna, ale nie stać mnie na to.

- Pójdziemy coś zjeść - powiedziała z uśmiechem Judith - i zastanowimy się nad twoim CV. Wiem, że szukają kogoś do działu account management. - Jej ton stał się bardzo rzeczowy.

- Nie miałam na myśli żadnej konkretnej restauracji, ale jestem pewna, że znajdziemy coś niedaleko. W końcu to Zachodni Hollywood.

- Chcesz powiedzieć, że ta część miasta słynie z dobrych restauracji?

- Saro... naprawdę nie wiesz, co to za dzielnica?

- A co jest w niej szczególnego?

- Twój przyjaciel Taylor jest wzorcowym mieszkańcem Zachodniego Hollywoodu.

- I co z tego? - fuknęła niecierpliwie. - Lubię Taylora. Swoją drogą, on miał rację, muszę wziąć prysznic i przebrać się...

- Zauważyłaś, ilu w tej okolicy jest mężczyzn? - przerwała jej Judith. - Przystojnych, dobrze ubranych...

- Zaraz... - Coś zaczęło docierać do jej przyćmionej kaczem świadomości. - Chcesz powiedzieć, że mieszkam...

- W dzielnicy gejów. Myślałam, że każdy to wie.

- Ooo. - Benjamin nie będzie tym zachwycony.

Musisz dostać tę pracę, Saro.

Stała w gabinecie Becky Weisel, w agencji reklamowej - tej samej, w której pracowała Judith, tyle że piętro wyżej. Był to narożny gabinet z widokiem na miasto, z wielkimi oknami zamiast ścian. Poza rozłożystym biurkiem z wiśniowego drewna znajdowały się w nim regały z książkami i kredens. Sara zwróciła uwagę na różne tabliczki i gadżety z wrytymi sentencjami. Jak grzeczna uczennica trzymała przed sobą teczkę i czekała, aż Becky skończy rozmawiać przez telefon.

Rozmowy kwalifikacyjne to było coś, czego nienawidziła. Ale jak zauważył Benjamin, rachunki same się nie zapłacą.

Nie musi ich płacić za mnie.

Gdy Becky niecierpliwym gestem pokazała jej krzesło, posłusznie usiadła.

- John, ja nie prosiłam, żeby sprawozdanie z pierwszego kwartału znalazło się na moim biurku w czwartek. Kazałam cije przynieść dzisiaj. - Przerwała, zniżając głos. - Chodziło o dziś rano. Przestań marudzić, wiem, która jest godzina. Po prostu zrób to, okej? - Westchnęła i przez chwilę spokojnie słuchała. - Może dogadałbyś się ze Stefanem? Spacyfikuję go jakoś, kiedy zadzwoni następnym razem... - Znowu przerwała, a potem

uśmiechnęła się, zadowolona. - Dobra. Mam nadzieję, że dostanę to dziś wieczorem.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Sarę, jakby usiłując pozbiierać myśli.

- No dobrze. Kim jesteś i co tu robisz?

Zanim Sara otworzyła usta, Becky strzeliła palcami.

- Aha. To ty jesteś... poczekaj... Sara. - Pochyliła się nad biurkiem i uściśnęła dłoń Sary tak mocno, że niemal sprawiła jej ból. - Becky Weisel. Account supervisor w firmie Salamanca Advertising.

Sara wyprostowała się, usiłując zrobić jak najlepsze wrażenie. Jej skupione spojrzenie i gesty wyrażały jedno: „Daj mi tę pracę! Przyjmij mnie!”. Uśmiechnęła się, a Becky, jakby pod wpływem jej przyjaznego gestu, spuściła nieco z tonu.

- A więc... dlaczego chcesz u nas pracować?

Bo lubię mieć pieniądze na czynsz.

- Czytałam, że to wspaniała firma, z ogromnymi perspektywami, która słynie z błyskotliwych reklam i ma wielu poważnych klientów, zwłaszcza w branży zaawansowanej technologii... - Przynajmniej tyle się dowiedziała ze strony internetowej. Na jej przejrzenie miała kilka minut.

- W porządku. Praca domowa odrobiona. Podobasz mi się. Jesteś miła. A to zawsze pomaga.

- Dziękuję.

- I uprzejma. - Becky zrobiła minę, jakby kupowała samochód. Sara miała nadzieję, że nie zechce jej kopnąć w opony - albo zajrzeć w zęby, gdyby wyrazić to inną przenośnią. - No dobrze. Muszę przyznać, że jesteś lepsza od większości kandydatów, z którymi dotąd rozmawiałam. - Zerknęła na kopię CV, które Sara przesłała jej faksem. Wydała kilka nieartykułowanych dźwięków. Sara czekała w milczeniu. - Hm. Public relations... jakieś kursy... to tu, to tam, słomiany zapał, co?

Ścisnęło ją lekko w żołądku.

- Wciąż szukam swojego miejsca - wyjaśniła. - Mam wiele zainteresowań...

- Ile masz lat?

Zamrugała. To było niedozwolone pytanie - ta kobieta powinna o tym wiedzieć!

W oczach Becky pojawił się chytry uśmiech.

- Nie masz mi za złe, że cię o to pytam, prawda?
- Nie, oczywiście, że nie - powiedziała, myśląc o swoich topniejących oszczędnościach. Termin zapłacenia czynszu zbliżał się nieuchronnie. - Dwadzieścia pięć.
- To nie tak dużo - powiedziała Becky, a potem się roześmiała. - Pewnie masz mnóstwo czasu. I może tym, czego szukasz, jest praca w reklamie.
- Mam taką nadzieję. - Wzięła głęboki oddech, czując, że zdała jakoś ten test.
- To świetnie. Jak sobie radzisz z Excelem i Powerpointem? Przygotowujemy tu mnóstwo prezentacji.
- Skinęła głową. Teraz stała na pewnym gruncie.
- Mam spore doświadczenie w obsłudze całego pakietu Microsoft Office.
- A jak z dyspozycyjnością? Realizujemy wielkie projekty dla ważnych klientów. Potrzebuję kogoś, na kogo będę mogła zawsze liczyć.
- Jestem skłonna pracować po godzinach, jeśli trzeba będzie skończyć na czas jakiś projekt. Chcę się sprawdzić w tej pracy najlepiej, jak potrafię. - Zastanawiała się, czy nie przesadziła z wazeliniarstwem, ale doszła do wniosku, że nie ma się czym przejmować, poza tym korona jej z głowy nie spadnie, jeśli zostanie czasem w firmie trochę dłużej. Nie groziło jej w tym mieście bujne życie towarzyskie, więc co za różnica.
- Wyczytała z oczu Becky, że drugi etap sprawdzianu wypadł pomyślnie. Ciekawe, co jeszcze...
- Zlecamy też swoim ludziom prace wykraczające poza zakres ich podstawowych obowiązków. Będę wymagała od ciebie wszechstronności i kreatywnego myślenia. Jesteś gotowa przyjąć takie warunki?
- Oczywiście. - Kreatywne myślenie. Skąd my to znamy? Zaraz powie: „Potrzebujemy kogoś, kto jest otwarty na ludzi, umie pracować w zespole i wykazuje się ogromnym poczuciem odpowiedzialności”.
- Becky poprawiła się w fotelu, założyła ręce za głowę i uśmiechnęła się tryumfująco.
- Zwykle tego nie robię, ale w twoim przypadku mam naprawdę dobre przeczucie. Co byś powiedziała, gdybym zaproponowała ci pracę, od zaraz?

Sara wybałuszyła oczy, ale natychmiast się pozbierała.

- Może powinniśmy porozmawiać o wynagrodzeniu - powiedziała przytomnie, chociaż wszystko w niej dygotało.

Becky roześmiała się.

- Oczywiście! Brawo, potrafisz trzeźwo myśleć. - Wymieniła sumę.

Sara zrobiła błyskawiczną kalkulację. Wystarczyłoby na czynsz, gdyby żyła bardzo, bardzo skromnie. I gdyby nie korzystała z prądu.

Nie mam pojęcia, jaka będzie następna oferta. I jak długo będę jej szukać. A Benjamin mi nie pomoże.

- Dobrze.

Krótki uśmiech Becky przypieczętował umowę.

Sara miała zacząć pracę od poniedziałku. **Był** czwartek. Czynsz musiała zapłacić we wtorek. Potrzebowała pomocy.

„W jaki sposób chcesz przetrwać w L.A. beze mnie?” Słowa Benjaminu dudniły jej w głowie.

Musiała znaleźć pomoc gdzie indziej.

W domu, na małym stoliku w jej przeraźliwie pustym salonie leżała służbowa wizytówka Taylora, z dopisaną na odwrocie „Martiką”. Przyjaciółka Taylora, Martika - ta, która szukała współlokatorki. Może to był ratunek.

W końcu wykręciła numer Martiki. Odczekała pięć sygnałów. Po szóstym, gdy już miała odłożyć słuchawkę, usłyszała głęboki, zmysłowy głos.

- To ja. A ty kim jesteś?

- Słucham? - Sara spojrzała na numer. - Być może się pomyliłam...

- Być może. Tu Martika.

Sara skrzywiła się. Zapowiadało się nie najlepiej.

- Taylor prosił, żebym do ciebie zadzwoniła...

- Taylor! Nie zadzwonił do mnie i nie przyszedł do „Beer Bust”! Niemożliwe, żebyś była jego nową flama, chyba że wydarzyło się coś niesamowitego, co radykalnie odmieniło jego życie, o czym ja nie wiem - powiedziała jednym ciągiem. - No więc po co kazał ci do mnie zadzwonić?

- Chodzi o to, eee... Zdaje się, że on myśli, że ty szukasz mieszkania, a ja szukam współlokatorki...

- No i dobrze się składa! Gdzie jesteś?

- Santa Monica przy Robertson.

Martika pisnęła tak głośno, że Sara musiała odsunąć od ucha słuchawkę.

- Genialnie! Jestem za rogiem... i to jest dokładnie mój rewir. Nie przypuszczałam, że Taylor mi coś tak... zaraz, a skąd ty znasz Taylora?

Sara zdążyła tylko coś bąknąć.

- Głupie pytanie. Będę u ciebie za dziesięć minut. Podaj mi adres.

Wydukała go drętwym głosem.

- Dobra, zaraz tam będę. Baj!

Boże, żeby to nie była jakaś psycholka.

Wciąż nie wiedziała, dlaczego tak bardzo ufa Taylorowi... może ze zwykłej wdzięczności za to, że poznanie go było jej jedynym pozytywnym doświadczeniem w tym dziwnym obcym świecie. Przeżyłaby naprawdę ponury wieczór, gdyby nie trafiła na tego oryginała.

Nie upłynęło nawet dziesięć minut, kiedy zadzwonił domofon i Martika zameldowała swoje przybycie. Kiedy Sara otworzyła drzwi, z wrażenia opadła jej szczęka.

W przeciwieństwie do niej Martika wyglądała bardzo wyzywająco i przebojowo. Miała jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu i ciemnokasztanowe kręcone włosy opadające bujną kaskadą na ramiona. Była w czarnych dzwonach z obniżonym stanem, w bordowym lśniąącym topie, wykończonym od dołu indyjskim haftem, i w czarnym skórzanym płaszczu. Kreację dopełniały okulary przeciwsłoneczne, zasadzone na głowie, jak gdyby służyły głównie do ujarzmiania jej loków. Twarz trudno byłoby nazwać piękną, w każdym razie nie w stylu „dziewczyny z okładki”. Miała wielkie orzechowe oczy i perkaty nos, który przy jej atletycznej budowie wyglądał dość osobliwie. Do tego mocno zarysowany podbródek kontrastujący z okrągłą twarzą. Zmierzyła się wzrokiem z Sarą.

- Nie bój się, nie ugryzę cię. Przynajmniej nie wcześniej, niż się poznamy.

- Och, przepraszam! Ty jesteś na pewno Martika.

- Na pewno - wycedziła i krokiem modelki na wybiegu Weszła do środka. Rzuciła Sarze pytające spojrzenie, potem

skoncentrowała uwagę na samym mieszkaniu i cicho gwizdnęła. - Nieźle. Puste, ale to żaden problem. Sama wynajmujesz całość?

- Yyy, tak. Ale musi być umowa z miesiąca na miesiąc.

- Inna nie wchodzi w grę - odpowiedziała szybko Martika, eliminując potencjalną kość niezgody. Podeszła do balkonu.

- Tu byłaby moja palarnia... Może to dziwne, ale nie znoszę kopcić w domu. Nienawidzę smrodu dymu w mieszkaniu.

- W porządku.

Martika odwróciła się i znów zmierzyła Sarę taksującym wzrokiem. Sara poczuła się... jak prowincjonalna myszka. I jakoś staro, choć przypuszczała, że ta kobieta jest od niej starsza.

- Więc jesteś przyjaciółką Taylora? - spytała Martika.

- Wiem, mnie samej trudno w to uwierzyć.

Martika roześmiała się, dzikim śmiechem pasującym do jej wyglądu. Budziła w Sarze mieszane uczucia, oscylujące między podziwem a lękiem.

- To który pokój byłby mój?

Sara pokazała jej.

- Wyniosłabym oczywiście te pudła...

- No, wygląda całkiem nieźle. Super! To kiedy mogłabym się wprowadzić?

- Eee... Nie chcesz się o mnie czegoś dowiedzieć?

Na wyrazistej twarzy Martiki pojawił się cień drwiny.

- Wyglądasz jak... - Musiała się zastanawiać nad właściwym sformułowaniem. - Powiedzmy, że ufam ci wystarczająco, żeby płacić na czas swoją działkę, skarbie, i nie zwracajmy sobie tym głowy.

- Ale ja wolałabym mieć trochę czasu na przemyślenie...

- Nie lubisz mnie, co? - Martika patrzyła na nią z ciekawością i rozbawieniem.

- Nawet cię nie znam - zaprotestowała Sara. - Dlaczego miałabym cię nie lubić?

- Ja to w ludziach wyczuwam. Robią wtedy taką minę chytrego kundla, która mówi: „może cię i nie znam, ale zdecydowanie nie jesteś w moim typie”. U ciebie jeszcze tego nie widzę... - Martika pochyliła się, żeby zajrzeć Sarze w twarz.

- Ale jesteś na dobrej drodze.

- Nie wiem, o czym mówisz - skłamała. - Ja po prostu... dopiero przyjechałam do L.A. Jestem tu nowa.

- Domyślam się, skarbie - powiedziała ze śmiechem.

Sara rozejrzała się dookoła, próbując zyskać na czasie. Potrzebowała współlokatorki, ale w tym tygodniu podjęła już jedną desperacką decyzję. Zaczynało jej to wchodzić w nawyk.

- Jestem po prostu bardzo... poukładana - powiedziała wolno, patrząc na Martikę. - A ty, mam wrażenie, jesteś bardziej... żywiołowa.

Martika wlepiła w nią oczy, a potem zaniosła się ochrypłym śmiechem.

- Och, skarbie, jeśli wyskoczysz z jeszcze jedną taką perełką, będę musiała z tobą zamieszkać! Nic dziwnego, że przyjaźnisz się z Taylorem. Jesteś taka słodka, że mogłabym cię jeść łyżkami.

Sara nie była pewna, jak potraktować to wyznanie. Sytuacja rozwijała się w sposób coraz bardziej żywiołowy.

- To będzie świetny układ - powiedziała z entuzjazmem Martika. - W sobotę Taylor z chłopcami pomogą mi w przeprowadzce. Masz zapasowy klucz?

- Poczekaj chwilę. Jeszcze się nie zdecydowałam.

- Czynsz płacisz pierwszego?

- Tak.

- To w jaki sposób chcesz szukać innej współlokatorki?

- Jeszcze nie... Na razie robię wstępne rozeznanie - powiedziała na odczepnego.

- Jednym słowem, nic wiesz. To pozwól, że cię oświecę: jeśli dasz ogłoszenie w „L.A. Times”, ściągniesz sobie na głowę śmietankę popieprzeńców z całej dzielnicy. Jeżeli zgłosisz się do agencji, będą ci nasyłali popieprzeńców gotowych przekupić jakiegoś urzędnika z poczty, żeby umieścić ich nazwisko na liście... i będziesz musiała zapłacić prowizję. Jeśli chcesz kogoś na umowę z miesięcznym wypowiedzeniem, może trafić ci się amator gorących оргietek z azjatyckimi chłopcami. - Zrobiła wolny obrót. - Albo możesz mieć mnie - facetkę, za którą ręczy Tylor, któremu zaufałaś na tyle, żeby wpuścić go do domu i pozwolić, żeby zapakował cię do łóżka.

Sara skrzywiła się na samo wspomnienie.

- Myślisz, że jest się nad czym zastanawiać? - spytała łagodnie Martika.



- Ja... uff... - westchnęła ciężko. - Mam gdzieś zapasowy klucz.
- Mądra decyzja. - Martika uśmiechnęła się promiennie.
- Dobrze, że chociaż jedna z nas tak myśli.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### *People Are Strange (Ludzie są dziwni)*

- No - mruknęła Martika - niedużo tego, ale zawsze to jakiś dom.

- Myślę, że załatwiliśmy ci tę przeprowadzkę w rekordowym tempie - powiedział przeciągle Taylor, lustrując jej nowe lokum z lekko znudzoną miną.

- Pozbyłam się mnóstwa gratów od ostatniego razu.

- Nie licząc Andre?

Martika pokazała mu język, a potem ułożyła swoje pawie pióra w wysokim wazonie w kącie pokoju. Od razu zrobiło się przytulniej. Ta dziumdzia Sara miała taki gust, że chciało się wyć. Przypominało to hotel robotniczy, a nie dom. Aż dziw, że nie zakładała na deskę klozetową opaski higienicznej.

Kit rozglądał się wkoło, mamrocząc coś pod nosem.

- Co mówisz?

Uśmiechnął się do niej półgębkiem. Nigdy nie widziała jego pełnego uśmiechu.

- Powiedziałem, że nie ma to jak dom.

- „Czarnoksiężnik z Krainy Oz” - odgadł natychmiast Taylor.

- Nie znudziła wam się ta zabawa?

Kit wzruszył ramionami. Taylor zaczął coś dukać. Martika chwyciła ostatnie pudło opatrzone wielkim napisem „prywatne” i pomaszerowała do sypialni. To był zawsze ostatni punkt przeprowadzki - szafki nocne. Odkąd skończyła dwadzieścia dwa lata, miała trzy własne meble, z którymi nigdy się nie

rozstawiała: wielkie łoże typu California King i dwie szafki nocne. Dziewczyna powinna mieć swój niezbędny ekwipunek, pomyślała. Po prawej stronie łóżka ustawiła szafkę z kondomami, różnymi olejkami i żelami nawilżającymi, parą kajdanek i kilkoma innymi drobiazgami, których dorobiła się przez lata samodzielnego życia. Ta po prawej stronie była dla gości. A w tej po lewej... przechowywała swój sekretny dziewczyni dziennik, wypełniony obrzydliwie płaczącymi, najżałośniejszymi wierszami pod słońcem, kilka wafelków Chunky, kilka paczek papierosów, wibrator i paczkę gumy do żucia.

Do tej szuflady nikt inny nie miał dostępu.

Zamknęła ją, kiwnąwszy głową, i wyszła. Chłopcy siedzieli na kanapie. Sara podawała im lemoniadę. Istna Martha Stewart\*, pomyślała Martika z ironicznym uśmiechem.

Czuła się dziwnie. Nie pamiętała, kiedy ostatnio mieszkała z dziewczyną; i to jaką dziewczyną - miejscową wersją F.O.B. \*\*. Podejrzewała, że Sara była „prosto z Fairfaksu \*\*\*”. Czy z jakiegoś innego Pipidówka, mniejsza o jego nazwę.

- No, wygląda na to, że mogę czuć się jak u siebie w domu.

Sara kiwała głową, rozglądając się po pokoju, wyraźnie oszołomiona.

- Jest tego więcej... niż się spodziewałam.

To miał być zarzut? Martika uśmiechnęła się. Miała taką nadzieję.

- Kiedy zmieniam lokum, lubię się...

- Wygodnie urządzić? - wtrącił z nosowym pomrukiem Luis, chłopak Taylora.

Martika zbyła go uśmiechem, czując, że powoli przechodzi jej złość. Zwykle nie mogła znieść Luisa dłużej niż, och, góra piętnaście minut. Dzisiaj była z nim od ponad szesnastu godzin, i gdyby ten facet zdawał sobie sprawę, jak bliski był śmierci...

Odsunęła od siebie złe myśli i sięgnęła po lemoniadę. W końcu ten dupek pomógł wnieść jej łóżko. Coś za coś.

\* Martha Stewart - gospodyni popularnych programów telewizyjnych o gotowaniu, prowadzeniu domu, dekoracji wnętrz itd.

\*\* F.O.B.(Fresh off the boat) - „prosto ze statku”; ktoś łatwowierny i ufny jak nowi emigranci.

\*\*\* Fairfax - miasteczko w Wirginii.

- Wszystko wygląda wspaniale - odezwała się za jej plecami Sara.

- Dzięki. - Martika uśmiechnęła się swobodniej. Panienska jest zahukana, pomyślała, ale można nad nią popracować.

- Jestem graficzką, nie mówiłam ci?

- Nie.

- Lubię się otaczać ładnymi przedmiotami. Chodzi o nastrój, artystyczny klimat... no wiesz. - Zauważyła, że prawie wszystkie ryciny na ścianach są jej dziełem.

Sara skinęła głową, chociaż Martika wątpiła, czy zrozumiała choć jedno słowo. Zrobiła minę w stylu „niech ci będzie”.

- Ale ciekawa jestem, co ty o tym myślisz, wiedząc, jak wyglądało to mieszkanie wcześniej?

- Yyy... - Sara zamrugała, kompletnie zbita z tropu. - Te gołe ściany do wynajęcia?

Martika zaśmiała się. Zdecydowanie obiecujący materiał. Jeszcze będą z niej ludzie.

- Wiecie co? Zdycham z głodu! - Czytaj: natychmiast wychodzimy coś zjeść.

Taylor wydawał się zachwycony, Luisowi, sądząc po jego kwaśnej minie, nie uśmiechała się perspektywa spędzenia z nią więcej czasu (och, a ja wprost marzę, żeby się z tobą poprzyjaźnić! - pomyślała z uśmiechem), a Kit... cóż, Kit wyglądał tak jak zwykle. Próbowwała go kiedyś zaciągnąć do łóżka, podejrzewała jednak, że skłaniał się raczej ku drużynie Taylora - wbrew temu, co sugerował Taylor, nazywając go swoim Normalnym Przyjacielem. W takich sprawach ufała własnej intuicji.

- No więc? Dokąd idziemy?

- Może do „Trader Vic”? - zaproponował Luis.

Łypnęła na Taylora. Zmieszany, uniósł bezradnie ramiona. Przewróciła oczami, wysyłając mu jasny komunikat: „przecież to ty go bzykasz”.

- Dobra, spróbuję jeszcze raz. Dokąd idziemy coś zjeść?

- Co? Co jest...

- Tandeta - wyjaśnił Taylor.

- Gdybym chciała wydać taką kasę, żeby patrzeć na stado białych ramoli, poszłabym do „Le Dome”

- „Le Dome”... dlaczego by nie? - zadrwił Kit.

Martice wydało się, że słyszy kobiecych chichot, bardzo

łagodny, ale kiedy odwróciła głowę, twarz Sary była pozbawiona wyrazu.

- Hm... ja na pewno idę do... już wiem! Co byście powiedzieli na „L.A. Farm”? Dają tam fantastyczne wegetariańskie żarcie.

- W tym tygodniu jesteś wegetarianką? - spytał Kit.

- Jakby ci nie było wszystko jedno. Przecież nie idziesz z nami.

- Nie. Mam dyżur w kawiarni.

- Nikt ci nie mówił? Grunge się przeżył.

- To retro.

Taylor pokręcił głową.

- Pracować w kawiarni w sobotni wieczór to naprawdę przesada. Idziesz potem z nami do klubu? Myślałem o „Asylum”, tak dla jaj.

- Dobra. Złapię was później.

- Cudnie. Czyli „L.A. Farm” - powiedziała Martika, na wszelki wypadek piorunując wzrokiem Luisa.

- Jasne - Taylor odezwał się pierwszy. - Muszę tylko wpaść do domu, żeby się przebrać... Nie pójdę przecież nigdzie spocony i cuchnący.

Roześmiała się, a potem spojrzała na Sarę. Stała sobie cicho, jak jakaś bidula podpierająca ściany na szkolnej zabawie. No cóż, dobry moment na wypróbowanie nowicjuszki.

- A ty co? Masz czterdzieści minut na wygrzebanie się.

- Nie... Przykro mi. Chętnie bym z wami poszła, ale nie mogę.

- Gadanie - mruknęła Martika. Sara była uprzejma aż do bólu. - Nie daj się prosić. Będzie wesoło, a ja naprawdę chcę, żebyś z nami poszła. Potraktuj to jak rytuał inicjacyjny.

- Jakotrzęsiny - podpowiedział Kit. - Nadaję ci imię... Pinto.

- „Animal House” - wtrącił Taylor.

- Zamknijcie się. - Martika wpatrywała się w Sarę. - No więc?

- Naprawdę nie mogę. - Jej głos zabrzmiał bardziej stanowczo. - Mój chłopak, to znaczy mój narzeczony, ma zadzwonić wieczorem.

- Ach tak? - Uniosła brwi, potem zerknęła na Taylora, który uniósł na sekundę wyprostowaną dłoń, co oznaczało „odpuść”. Na pewno zamierzał wtajemniczyć ją w szczegóły przy najbliższej

okazji. - Trudno. - A więc jej nowa współlokatorka była nudziarą. Chrzańić to. Na szczęście nie musiała z nią spać. - Nie będę stawać na drodze prawdziwej miłości. Zajmuję łazienkę, myszko, więc jeśli musisz się wysuszać, zrób to teraz... Trochę mizejdzie...

- Będę tu za godzinę, Tika - rzucił Taylor ostrzegawczym tonem.

- Będę gotowa - odpowiedziała, wymiatając chłopców za drzwi. Kiedy się odwróciła do Sary, ta wciąż na nią patrzyła.

- Jesteś pewna? Przecież mogłabyś oddzwonić do niego później. Albo jutro.

Sara odpowiedziała jej chłodnym uśmiechem.

- W każdym razie dziękuję za zaproszenie.

Martika zniknęła w łazience, przypominając sobie w porę, zanim zaczęła się rozbierać, o zamknięciu drzwi. Wątpiła, czy Sara skłonna byłaby zaakceptować jej dość ekshibycyjny sposób bycia.

Nieźle, pomyślała, wchodząc pod prysznic, spiknęłam się z zakonnica, która usycha z tęsknoty za jakimś nieobecny narzeczonym. Ale jajo.

Dwa wyjścia: przygotować się do następnej ewakuacji, co byłoby przykre. Albo zacząć dziewczynę korumpować. Uśmiechnęła się, wystawiając twarz pod mocny strumień wody. Jakby się było nad czym zastanawiać.

Była sobotnia noc... a raczej niedzielny ranek, pomyślała Sara, patrząc błędnym wzrokiem na zegarek. Obudziła się, w pierwszej chwili nie wiedząc dlaczego. Trzecia nad ranem. Co, u diabła?

Nie udał jej się ten sobotni wieczór. Czekwała na telefon od Benjamin, potem nagrała się na jego automatyczną sekretarkę, w domu i w pracy, i dalej czekała.

Na pewno było przed jedenastą, kiedy zrobiła sobie gorącą czekoladę, pomyślała chwilę, dolała do filiżanki trochę rumu i poszła do łóżka. Przeczytała kawałek „Dziennika Bridget Jones”, nawet z przyjemnością, potem zabrała się do „Harry’ego Pottera”. Zasnęła, zwinięta w kłębek, koło jedenastej.

- Och... och... och tak, skarbie, tak...

Sara skuliła się jak przerażona mysz. Dźwięki były coraz głośniejsze. Przypominały jej śpiew Martiki pod prysznicem, niski i gardłowy.

Wstała i przeszła na palcach do półotwartych drzwi. Wyrzała do przedpokoju. Było ciemno, drzwi do sypialni Martiki były zamknięte. Usłyszała rytmiczne skrzywienie łóżka, coraz głośniejsze i szybsze.

Okropnie zażenowana, zamknęła cicho drzwi. Wróciła do łóżka. W martwej ciszy wczesnego świtu wciąż słyszała wzmagający się hałas. Nakryła głowę poduszką, przyciskając ją mocno do uszu, i miękkim wełnianym pledem z Costco \*, który podarowała jej na Gwiazdkę matka, mówiąc, że noce stają się naprawdę zimne.

Obecność Martiki, pomyślała Sara, nie była chyba najlepszym z pomysłów Taylora.

W czwartek wieczorem, mając za sobą prawie cały tydzień pracy w Salamanca Advertising i opłaceniu miesięcznego czynszu, Sara była cała w skowronkach.

- Benjamin Slater.
- To ja. Sara.
- Sara. - Jego głos brzmiał pogodnie. - Cześć, kochanie. Jak ci się układa w L.A? Miałem zamiar zadzwonić do ciebie w sobotę.
- Postanowiłam cię uprzedzić. Wiesz co? Mam pracę!
- Wiedziałem, że coś znajdziesz. No więc co robisz?
- Dostałam etat assistant account executive w agencji reklamowej Salamanca Advertising. Tam, gdzie pracuje Judith, ale jesteśmy w innych działach - ona w produkcji, a ja w obsłudze klientów.
- To fantastycznie, kotku.
- Mam mnóstwo pracy, a to dopiero pierwsze dni...
- Ja też jestem urobiony po uszy - powiedział z ciężkim westchnieniem.
- Wskurałeś coś z Richardsonem? Nie pytam, żeby cię naciskać.
- Nic. Muszę założyć, że Andrew - wiceprezes, wiesz który - naprawdę robi wszystko, żeby dotrzymać obietnicy i wyciągnąć mnie stąd. Żeby Kalifornia zyskała kogoś takiego, jak ja. Tak powiedział.

\* Costco - nazwa sieci hipermarketów.

- To wspaniale, Jam.
- Jeszcze kilka miesięcy i będę mógł się przenieść. Muszę tylko uporządkować wszystkie sprawy tutaj.
- Jestem pewna, że ci się uda - powiedziała ciepło.
- Nie mogę teraz długo rozmawiać. Odwiedził nas Paul Jacobs i kilka osób z biura w L.A., obiecałem, że pójde z nimi na piwo. Rozumiesz, chcą się trochę wyluzować.
- Uhm... - Przygryzła wargę. - Rozumiem, w porządku.
- Kilka piw, nic więcej, Saro. - Westchnął znowu, tym razem z większą irytacją. - Przecież nie idę do baru, żeby molestować jakieś małolaty.
- Wiem! - Przecież nie spodziewała się, że będzie siedział codziennie w domu, tylko dlatego, że jej tam nie ma. Chociaż... nie zaszkodziłoby, gdyby trochę bardziej tęsknił.
- Sara! Saaara! - zawołała Martika z progu sypialni. - Idziesz z nami na drinka?
- Sara zmarszczyła brwi, wskazując palcem słuchawkę telefonu. Martika przewróciła oczami i wycofała się do salonu.
- Przepraszam - mruknęła Sara.
- Hej, kto to był?! Myślałem, że jesteś w domu.
- Jestem. To była... no wiesz, nie utrzymałabym mieszkania ze swojej pensji. Wzięłam sobie współlokatorkę.
- Benjamin przetrawiał tę nowinę w milczeniu.
- To nie był mój pomysł - zapewniła go na wszelki wypadek. - Poza tym Martika wie, że to umowa z miesiąca na miesiąc...
- Martika? Co to, do cholery, za imię?
- Nie wiem. Chyba duńskie - strzeliła w ciemno.
- Saro, powiedziałem ci, że przenoszę się do Los Angeles, jak tylko Richardson zmięknie. Nie mówiłem, żebyś brała jakąś współlokatorkę.
- Natychmiast zrzędała jej mina.
- Pamiętam, co mówiłeś: że muszę sama płacić czynsz - bo ty tu nie mieszkasz. Więc niby co, tak naprawdę, miałam twoim zdaniem zrobić?
- Saro, do jasnej cholery, ja nie... przestań się czepiać! Nie mam teraz ochoty na przepychanki.
- A ja mam?
- Tłumaczę ci tylko, że nie miałam wielkiego wyboru.



- Rozumiem - powiedział niskim, zrędlwym głosem.  
- Masz oczywiście rację. Dobrze, że masz współlokatorkę.  
Tylko... Czy sprawdziłaś dokładnie, co to za jedna?

Skrzyżowała palce - czysta dziecinada.

- Jasne, to przyjaciółka jednego z moich przyjaciół.

- Uhm. Jaka ona jest?

Pomyślała o nocnym seksmaratonie Martiki.

- Eee, bardzo towarzyska.

- Towarzyska?

- Tak, ale odpowiedzialna. Zapłaciła na czas swoją połowę czynszu. Jest graficzką.

- Rozumiem. - Jego ton kazał w to wątpić. - Czy ona mówiła coś o piciu?

- Chyba chce, żebym wyszła z... nimi. - Miała powiedzieć: „z nią i z Taylorem”, ale ugryzła się w język, bo wolała nie opowiadać Benjaminowi, jak poznała Taylora.

- Myślę, że zanim wyjdiesz, powinnaś się dobrze zastanowić.

- Nad czym mam się zastanawiać? - Poczowała, że wzbiera w niej gniew. - Ty idziesz z kumplami na piwo. A ja mogę wyjść na jeden czy dwa drinki z Martiką.

- L.A. to nie Fairfield, zdajesz sobie z tego sprawę? To niebezpieczne miasto.

- Myślę, że nic mi się nie stanie.

- Czasami jesteś taka naiwna. Dobrze. Rób, jak uważasz. Muszę już iść.

- Na pewno nie będę molestować żadnych małych.

- Chciała zakończyć tę rozmowę w trochę weselszym nastroju.

Benjamin nie zawiódł jej nadziei i roześmiał się.

- Odezwę się w przyszłym tygodniu.

- Kocham cię - powiedziała szybko.

- Ja ciebie też.

Co to wszystko miało znaczyć? Odłożyła słuchawkę, zamysłona. Chciała wierzyć, że zwyczajnie troszczył się o nią - ale coś jej mówiło, że po prostu stosował nierówną miarę do niej i do siebie.

On wychodzi z kumplami na piwo. Dlaczego ja miałabym siedzieć w domu?

W końcu to on jej powiedział, że ma bluszczowatą naturę

i nie potrafi się bez niego obejść. Choćby dlatego powinna wyjść... żeby udowodnić swoją niezależność.

Wyszła do salonu. Martika była całkowicie pochłonięta sznurowaniem swoich czarnych, sięgających kolan, skórzanych botek.

- Martika?

- Mmm?

- To zaproszenie jest aktualne?

- Naprawdę? - Martika podniosła głowę. - Naprawdę idziesz?

- Ale tylko na trochę - zastrzegła się. - Mam jutro ciężki dzień w pracy.

- W piątek? Kto w piątki haruje?

Sara zagryzła wargi. Może to jednak nie był dobry pomysł.

- Przez pierwszy tydzień niewiele się robi - powiedziała Martika, łagodnie próbując przełamać opór Sary. Potem błysnęła krótkim, zawadiackim uśmiechem. - Zresztą i tak powiedziałam Taylorowi, że się nigdzie nie ruszysz. Wyciągniesz się z książką na łóżku i pójdiesz lulu o dziesiątej.

Martika traktowała ją jak głupią gęś. A tak naprawdę wcale jej...

- Hej, czy ja mam może wypisane na czole „Shirley Tempie”?

- Jakbyś miała. Genialnie wczuwasz się w rolę. To co, zabierasz się z nami do „5140”? Kilka drinków i obiecuję, że odstawiemy cię wcześniej do domu, żebyś nie umoczyła jutro w szkole.

- Zgoda - powiedziała, ignorując sam koniec deklaracji Martiki. - Włożę tylko płaszcz.

- Historyczna decyzja! Ani się obejrzysz, złotko, jak będziesz tańczyć ze striptizerami. Moja w tym głowa.

- Tylko kilka drinków - powiedziała stanowczo. Nie chciała zrobić niczego, co potwierdziłoby opinię Benjamina o jej naiwności. - Żadnych striptizerów.

- Uważaj, Shirley. - Martika uśmiechnęła się szatańsko. - Schodzisz na złą drogę.

- Może, jak na jej pierwsze wyjście, „5140” nie było najlepszym pomysłem - powiedział Taylor z nutą niepokoju w głosie.

Martika rozparła się na kanapie z lśniącego czerwonego skaju. Oświetlenie było tak skąpe, że wszyscy mieli źrenice jak talerze. Sara siedziała wciśnięta w kąt, starając się najusilniej wtopić w scenerię.

Martika westchnęła. „5140” był dość obskurnym, zapuszczonym barem z relaksowym klimatem, takim, do którego nie zaglądały szpanujące w nocnych klubach małolaty z Hollywoodu ani żadna hołota z college'ów z zachodniego L.A. i Santa Moniki. Równie dobre miejsce na wypróbowanie nowicjuszek jak każde inne.

- Mogę ci przynieść jeszcze jednego drinka? - spytała Martika najuprzejmiej, jak potrafiła, z poprawką na to, że musiała przekrzyczeć ryczącą na cały regulator szafę grającą.

Sara, z bladym uśmiechem, pokręciła głową, ściskając kurtkę swoję pina coladę.

- Niczego mi nie trzeba, dziękuję - powiedziała grzecznie, znów jak wierna kopia Marthy Stewart.

Taylor przysunął się do niej szybkim, kocim ruchem.

- Nie przejmuj się, aniołku, ona po prostu lubi speluny. - Uśmiechnął się promiennie do Martiki. - Tandeta.

- Dramat - dopowiedziała, posyłając mu całusa. - Jasne, że lubię speluny. Są mniej pretensjonalne. - Odwróciła się do Sary. - A ty?

- Tu jest... zaskakująco przestronnie - rzuciła, z pełnym nadziei wzrokiem.

- Przestronnie - powtórzyła Martika, gdy Taylor ryknął śmiechem. - Dobre określenie. Przestronnie. No to idę sprawdzić, czy uda mi się pokonać rozległą przestrzeń dzielącą nas od baru. Zbieram zamówienia. Taylor?

- Poproszę następną currant martini.

Z uśmiechem pomaszerowała do baru, widząc, że przygląda jej się kilku stojących tam facetów. Przywykła do tego. Zwykle posyłała jednemu z drugim zabójczy uśmiech i na tym się kończyło.

Skorzystała z rady Taylora i postanowiła zamieszkać z kimś, z kim na pewno nie zamierzała sypiać. No i trafiła jej się cnotliwa pensjonarka. Ironia losu. Kosmiczny żart.

Z drugiej strony, ten dzieciak nie był przypadkiem beznadziejnym - a ona miała przeczucie, że Sara rozmawiała

dzisiaj ze swoim chłopakiem. I że coś poszło nie tak, skoro dała się wyciągnąć z domu.

- Bill? Watermelon shot i currant martini - zwróciła się do barmana, który skinął głową i błyskawicznie przyrządził drinki. - I jeszcze jedna pina colada. Mocna.

Postawił przed nią trzeci kieliszek.

- Zapłacisz niedługo, Tika?

- Dostanę kasę w przyszły piątek. - Puściła do niego oko i przebalansowała z wdziękiem przez salę, kręcąc jak zwykle biodrami, mimo że niosła trzy drinki. Postawiła je na stole przed pochłoniętymi rozmową Sarą i Taylorem. - Do dna, dzieci.

- Ja mam jeszcze - zaprotestowała Sara.

- To może byś się trochę pospieszyła, co?

Sara zrobiła wielkie oczy.

- Taylor... pokażesz jej, jak to się robi?

- Raczej nie, robię za kierowcę. Poza tym umówiłem się z Luisem, a on nienawidzi, jak jestem narąbany bez jego udziału. - Pociągnął delikatnie łyka martini i miękki gestem wskazał jej kieliszek. - Sama jej pokaż. W końcu to ty jesteś mistrzynią.

- Chcesz, żebym to dziabnęła, tak? - spytała z westchnieniem Sara.

- Dziabnęła? - Martika się uśmiechnęła.

- Nie jestem aż tak ograniczona. Ale ostrzegam, że nie mam w tym doświadczenia.

- Dobrze, pokaż, na co cię stać.

Sara zebrała się na odwagę, podniosła szklanekę z wypitą do połowy pina coladą i skończyła ją ośmioma długimi łykami. Martika, łypiąc wesoło na Taylora, patrzyła, jak pękają pierwsze lody.

- No. Zrobiłam to. - Sara wzięła głęboki oddech. Jej blade dotąd policzki natychmiast się zarumieniły.

- Brawo. - Taylor uprzejmie klasnął.

- Teraz następna - powiedziała Martika. - Trochę szybciej.

- Ale... ja muszę iść jutro do pracy!

- Nie wpadniesz pod stół po dwóch drinkach. - Martika westchnęła z politowaniem. - Poza tym mamy jeszcze przed sobą klub. To tylko rozgrzewka.

Gdy Taylor zaczął protestować, tłumacząc, że musi wrócić

wcześnie do domu („obiecałem Luisowi!"), Sara z powrotem zbladła.

- Czuję, że muszę dojść do siebie po tej jednej.

- A dochodź sobie. - Martika sięgnęła po swój kieliszek i wychyliła go jednym szybkim ruchem nadgarstka, rozkoszując się intensywnym smakiem melona, zanim poczuła lekkie uderzenie alkoholu. Odstawiła kieliszek, uśmiechając się do Sary. - Jedna pina colada i jesteś dętka. Niesamowite!

- Nie powiedziałam, że jestem dętka. Powiedziałam, że muszę iść jutro do pracy.

- A co ty takiego robisz?

- Pracuję w reklamie. - Jej oczy były trochę rozbiegane.

- W agencji Judith... to moja przyjaciółka. - Pociągnęła następny łyk, trochę bezwiednie, jakby chciała po prostu zaspokoić pragnienie. - Moja przyjaciółka Judith, której nie poznałaś.

- A ja owszem - powiedział Taylor, również zauważając, że Sara powoli opróżnia swoją szklankę. - Judith ma coś takiego w oczach jak ty.

- Ooo. To będę musiała ją poznać.

W ciągu godziny Sara poradziła sobie z następną pina coladą i stała się zadziwiająco rozmowna. Pomysł z klubem upadł - dziewczyna zataczała się, kiedy prowadzili ją do samochodu, co Martika uznała za komiczne, a Taylorowi wydało się „czarujące”.

- Tak przywykłem do twojego „irlandzkiego łba", że prawie zapomniałem, jak wygląda normalna, po kobiecemu ubzdryngolona dziewczyna.

- Uważaj, ja też jestem normalną dziewczyną.

- Jasne. - Poklepał ją po policzku. - A ja jestem Keanu Reeves.

- Dobranoc, Keanu! - odezwała się Sara, i raptem zaczęła czkać. - O rany. Mam nadzieję, że się nie zrzygam.

- Jestem z tobą, siostrzyczko. - Martika wepchnęła ją do windy. - Cztery drinki i po tobie. Zabawne.

Gdy doprowadziła ją pod drzwi, Sara wciąż paplała tym swoim dziecięcym głosem.

- No więc wiesz: czekam, aż wróci Jam... Nie... nie wróci, bo on tu nigdy nie mieszkał. Ale wiesz, o co mi chodzi.

- Jasne. - Uśmiechając się, Martika otworzyła dwa górne

zamki i w końcu nacisnęła klamkę. - Chociaż gdyby Taylor nie opowiedział mi szczegółów, myślałabym, że Jam jest twoim niewidzialnym przyjacielem, a nie narzeczonym.

- Kimś w rodzaju niewidzialnego narzeczonego - powiedziała z urywanym czkawką śmiechem.

- To ty powiedziałaś. - Martika zamknęła drzwi za chwiejącą się na nogach Sarą.

- Wiem. Nie mam zamiaru się uskarżać. Po prostu za nim tęsknię. A czasami nie wygląda na to, żeby on za mną tęsknił.

Powiedziała to tak rzeczowym tonem, że Martice zrobiło się jej naprawdę żal. Zastanawiała się, czy gdyby Sara była trzeźwiejsza, mówiłaby o tym z większym bólem. I nagle zdała sobie sprawę, że gdyby Sara była trzeźwiejsza - w ogóle by o tym nie mówiła.

- Więc po co jesteś z tym facetem?

Martika wiedziała, że raczej nie powinna doradzać swojej współlokatorce w sprawach sercowych - ale co tam, doradzała wszystkim przyjaciołom. A jeśli ktoś naprawdę potrzebował doradcy, to właśnie ta drobna pijana dziewczyna - prawdziwy życiowy rozbitek.

- Co: po co? - Sara zatrzymała się przy oparciu kanapy i w bardzo zabawny sposób usiłowała zrzucić z jednej nogi pantofel.

- Jeżeli jest niewidzialny, a ty za nim tęsknisz, to po co z nim jesteś?

- Nie mogę odejść - wymamrotała. - Przecież nie można wykreślić z życia czegoś takiego. Poza tym ja go kocham. Nie mogłabym odejść od kogoś, kogo kocham.

- To mogę zrozumieć. - Martika nie miała na myśli typowych związków z mężczyznami. Ale taki Taylor - nigdy by go nie zostawiła. - Jest tylko jedno pytanie: czy on kocha ciebie? Wygląda na to, że cholernie cię rani.

Sara na moment jakby wytrzeźwiała - zupełnie jak licealistka w czasie przyjęcia w domu, która nagle zauważyła, że wrócili jej rodzice.

- On mnie nie rani - powiedziała, walcząc z drugim butem. - On po prostu... po prostu jest zapracowany. Potrzebuje mojego zrozumienia. Staram się, bardzo staram się go zrozumieć.

Martika skrzywiła się. Ten facet był zwyczajnym dupkiem. Sara naprawdę powinna go rzucić. I może należało jej w tym pomóc.

- No dobrze, ale dopóki go tu nie ma... Nieważne, jak często będziesz wychodzić z domu, prawda?

- Jasne, że nie - odpowiedziała po chwili. - Mógłby mieć mi za złe, gdyby to się działo codziennie, albo przeszkadzało mi w pracy...

- Ale nie będzie.

- Mówię tylko... - Sara urwała, opadając na kanapę. - Chyba się tu prześpię.

- O nie, nic z tego. - Martika chwyciła ją za ręce i posadziła. Nigdy nie widziała, żeby kogoś tak szybko ścięło. - Cholera jasna. Hej, Saro, weź się w garść. Posłuchaj rady Martiki: kilka witamin, kilka aspiryn i duża szklanka wody. Potem umyj zęby i do łóżka.

- Jaki jest dzisiaj dzień?

- Czwartek, kochanie. Nie pamiętasz?

- Zdaje się, że jutro mam coś ważnego... ale nie pamiętam.

- Przypomnisz sobie jutro. Daję ci słowo, kotku. A teraz wstań i wyszoruj zęby.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### *Unhappy Girl (Nieszczęśliwa dziewczyna)*

- Walker! Gdzie cię, do cholery, wzięło?

Sara zamarła, jakby ktoś ją postrzelił.

- Słucham?

- Mówiłam wszystkim, że mają przyjść dzisiaj wcześniej! Wiesz, co to znaczy wcześniej?! Która jest godzina?

- Ósma? - bąknęła, ciesząc się w duchu, że zanim wyszła wczoraj, nastawiła budzik.

- Właśnie, pieprzona ósma. Jacob jest od siódmej. Michelle od szóstej.

Jacob i Michelle nie mieli otrzęsin w „5140”, pomyślała Sara. Wiedziała, że miała coś dzisiaj zrobić!

- Przepraszam. - A przecież tak się starała dobrze wypaść! Potrzebowała tej pracy. Naprawdę potrzebowała tej pracy!

- Masz to wszystko wprowadzić do komputera, podwójnie sprawdzić i odebrać z pralni mój kostium, bo Raquel będzie zajęta kopiowaniem. Od tej cholernej prezentacji zaczynamy jutro dzień, a nie mamy jeszcze nic, co nadawałoby się do pokazania, więc muszę dokonać jakiegoś pieprzonego cudu. Jeżeli nie zaczniesz się pilnować, wylecisz stąd! Z głowy, ot tak, mogę wymienić dwadzieścia osób, które dałyby sobie rękę uciąć, żeby pracować w takiej firmie jak Salamanca.

Nie, tylko nie to. Sara poczuła, że oblewa się zimnym potem.

- Strasznie mi przykro - stęknęła. - Wiem, że masz mnóstwo rzeczy na głowie, i postaram się, żeby wszystko było zrobione.



Bez względu na to, jak długo będę musiała tu zostać po południu. Dostaniesz wszystkie materiały na czas.

Jacob i Michelle patrzyli na nią ze zgrozą. Tymczasem Becky wyglądała na intensywnie zamyśloną.

- To rozumiem, przypomniałaś sobie, że grasz w drużynie - powiedziała zadowolonym tonem, który przyprawił Sarę o drżączkę. - Wpadnij potem do mojego gabinetu, jak tylko skończę rozmowę konferencyjną, to omówimy wszystko dokładnie.

- Oczywiście - odpowiedziała, ale Becky ruszyła już do wyjścia. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Jacob zwrócił się do Sary:

- Czyś ty kompletnie oszalała?

Wzruszyła ramionami.

- Próbuję zapracować na małą podwyżkę. - Potarła nerwowo skronie. - Nie udowodnię niczego, przychodząc tu na kacu.

- Nie wylaliby cię, nawet gdybyś tu przyszła uzbrojona po zęby - powiedziała Michelle. - Wpuściłaś się w straszny kanał.

- Nie masz pojęcia, co cię czeka. - Jacob jęknął grobowym tonem. - Zbliża się przegląd marki. Będziesz miała takie piekło, że ci się odechce.

- Nie przesadzacie trochę?

- Chojraczka, co? - Michelle spojrzała wymownie na Jacoba.

- Żebyś potem nie mówiła, że nikt cię nie ostrzegął - powiedział Jacob. - Zakładam się o piątkę, że pęknieš najdalej za dwa tygodnie.

- Ja daję jej miesiąc - dodała Michelle. - Wygląda na twardą sztukę.

Sara westchnęła.

- Idę zdobyć jakiś tylenol, zanim ona skończy tę rozmowę. I możecie wierzyć albo nie, ale zrobię to.

Sara była już na korytarzu, kiedy usłyszała za plecami głos Ernesta:

- Stawiam na dwa miesiące.

Pod koniec piątego tygodnia Sara prawie się słaniała ze zmęczenia. Wyszła z biura o ósmej, w piątek wieczorem, zdziwiona, że jest już kwiecień. Bogu dzięki, że w tym roku

wysłała wcześniej swoją deklarację podatkową... nie miała pojęcia, że zbliża się termin.

- Dobranoc - powiedziała do Schuylera, ochroniarza, który już jej nie prosił o pokazanie przepustki. Spędziła tu pięć kolejnych weekendów i codziennie pracowała do wieczora. Znał ją z widzenia i zawsze pytał „jak leci”.

- Niech pani trochę odpocznie, panno Walker! - zawołał za nią.

Wsiadła do samochodu, kompletnie wykończona. Z Mid-Wilshire do Zachodniego Hollywoodu miała najwyżej dwadzieścia minut drogi, ale dzisiaj były wyjątkowe korki. Jutro miała przyjść do pracy na dziesiątą - Becky pozwoliła im trochę odespać przed zabraniem się ostro do następnej bezcelowej prezentacji, uzupełnionej odpowiednią ilością załączników i bindowanych sprawozdań. Boże, nienawidziła bindowania!

Zaparkowała przed domem i podziękowała opatrności, gdy zauważyła, że nie ma tam samochodu Martiki. Pewnie wyszła z Taylorem, by zaliczyć weekendową „bzykankę na chybił trafił”, jak to barwnie nazywała. Nie najlepiej układało jej się z Martiką. Po tym, jak się okazało, że może stracić pracę, Sara twardo odmawiała udziału w nocnych rajdach. Martika była urażona i odnosiła się do niej z demonstracyjnym chłodem, ale nie było na to rady. Benjamin miał rację - Sara była naiwna.

Wpadały na siebie, kiedy Sara wracała do domu, a Martika właśnie zbierała się do wyjścia albo również wracała, w towarzystwie lub sama. Rozmawiały tylko o sprawach konkretnych, związanych z domem. Decydując się na współlokatorkę, Sara liczyła, że będzie miała z nią bardziej przyjacielski kontakt. Teraz modliła się tylko, żeby Martika jęczała trochę ciszej i może naoliwiła sprężyny w łóżku.

Zamknawszy drzwi swojego saturna, przeszła z garażu parkingowego do windy, wcisnęła trójkę, a potem jadąc powoli na górę, z głową opartą o drzwi, myślała o kąpieli. Nie, najpierw coś zje. Nie, na początek kąpiel, a potem jedzenie. Gdyby najedzona weszła do wanny, mogłaby się utopić.

Wyszła z windy i stanęła jak wryta. Ktoś, jakiś mężczyzna, czekał pod jej drzwiami. Był w ciemnym płaszczu, a te jasne włosy...

- Jam?

Odwrocił się do niej, z twarzą jak chmura gradowa.

- Stoję tu od godziny - powiedział bez żadnego wstępu.

- Przepraszam! - Odpowiedź wyrwała jej się automatycznie jak okrzyk, kiedy ktoś kopnie cię w palec. - Nie wiedziałam. Dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że masz zamiar przyjechać?

- Sam nie wiedziałem. Dali dupy w tutejszym biurze, spadła sprzedaż... i wezwali mnie, żeby „przekonsultować” ewentualne rozwiązania ich kłopotów. Już niedługo, zobaczysz. Odloty były opóźnione, więc pomyślałem, że zostanę na noc i zobaczę się z tobą.

Wolałaby się czuć bardziej uradowana, ale grzebiąc w torbie w poszukiwaniu klucza, czuła po prostu znużenie. Wpuściła go do środka.

- Tak się cieszę, że jesteś - powiedziała, zastanawiając się, czy ma coś w lodówce. Mogliby oczywiście pójść do restauracji. No tak, tylko że w piątek w Zachodnim Hollywood można dostać szału, czekając na stolik. Lepiej chyba zamówić pizzę.

- Więc to jest to mieszkanie... Widziałem je tylko przy podpisywaniu umowy.

- Nareszcie w domu. - Odwiesiła klucze, zastanawiając się, co mógł oznaczać jego ton.

- Uhm... - Rozglądał się wkoło, potem wzruszył ramionami. - Nieźle położenie. Okolica wygląda na sympatyczną.

- Mnie się podoba. - Dopiero gdy wypuściła z płuc powietrze, zdała sobie sprawę, jak długo wstrzymywała oddech.

- A wiesz, że jakiś facet wdzięczył się do mnie w korytarzu? - Skrzywił się ze wstrętem.

- Naprawdę? - Nie był to oczywiście dobry moment na wyjaśnianie mu, jakiego rodzaju dzielnicą jest Zachodni Hollywood. - Dziwne.

Stanęło na tym, że zostali w domu i zamówili pizzę. Sara nie mogła się doczekać gorącej kąpieli, ale jemu zebrało się na gadanie. Rozmawiali długo o sytuacji w jego firmie, potem ona ponarzekła na swoją piekielną szefową i harówkę w agencji.

- Jutro też muszę iść do pracy - powiedziała smętnie, ale jakoś nie wzbudziła w nim współczucia.

- Kotku, mówiłem ci... Każdy musi zapłacić frycowe. Nie

spodziewałaś się chyba, że prosto po szkole dostaniesz wymarzoną pracę i będziesz zarabiała krocie?

Nie znosiła, kiedy traktował ją z protekcjonalną wyższością.

- Nie, tego się nie spodziewałam. Ale też nie spodziewałam się, że będę musiała dzień w dzień, przez cały miesiąc, chodzić do pracy, w której od rana zbiera mi się na wymioty.

- Normalne. Gdyby to była zabawa, nie płaciliby ci za nią.

- Ale nie sądzisz, że to smutne?

- Taka jest rzeczywistość. - Pokręcił głową, uśmiechając się pobłaźliwie. - Kotku, tobie się po prostu marzy życie jak z bajki.

- Zdaje się, że jestem we właściwym mieście - odpowiedziała i poszła do łazienki.

Wszedł za nią z ciężkim westchnieniem.

- Nie bądź taka - powiedział łagodnie perswadującym głosem, w którym - o czym dobrze wiedziała - w każdej chwili mogła zabrzmieć surowsza nuta. - Przeleciałem szmat drogi, żeby się z tobą zobaczyć. Naprawdę chcesz zmarnować te kilka godzin na głupie słowne przepychanki?

- Nie, przepraszam - powiedziała skruszonym głosem.

- Więc dajmy temu spokój.

Pogłodził ją po karku, przesunął dłonie na dekolt i zabrał się do rozpinania bluzki. Kilka minut później leżała, rozebrana, na plecach. On był gotów szybciej, niżby jej to odpowiadało, choć w gruncie rzeczy była tak zmęczona, że w ogóle nie miała do tego nastroju. Udawała najlepiej, jak mogła, podczas gdy jedyną rzeczą, która ożywiała jej wyobraźnię, była głęboka wanna z gorącą wodą. I z lawendowym olejkiem. Mmm, uśmiechnęła się nad jego ramieniem. Kąpiel w pianie. Boże, co za rozkosz...

A jednak dobrze, że jest, pomyślała, kiedy zadrżała i jęknęła, przywierając do niej z całej siły. Tak długo się nie widzieli. Poza tym to tylko dwadzieścia minut, niewiele jak na bardzo długi skądinąd dzień.

Następnego dnia rano Sara przewróciła się na drugi bok i nagle jęknęła z przerażenia. Niech to szlag, dziesiąta godzina, dziesiąta! Modliła się, żeby Becky nie przyszła dziś do biura. Mało prawdopodobne... Becky miała zwykle jakieś plany na weekend, a pracę zostawiała swojej „zdolnej drużynie”. Sara wpadła do łazienki, wycisnęła trochę pasty na szczoteczkę do

zębów i odkręciła prysznic. Wskoczyła do wanny i zmoczyła włosy, myjąc jednocześnie zęby. Wycierała się już, kiedy zdała sobie sprawę, że czegoś jej brakuje. Nie było rzeczą niezwykłą, że obudziła się sama, ale dzisiaj powinno być inaczej... Kiedy zasypiała, około pierwszej w nocy, Benjamin chrapał jej prosto w ucho.

Wyszła z łazienki owinięta w ręcznik.

- Misiu?...

Stanęła jak wryta. Martika siedziała na stole kuchennym, jedząc łyżeczką twarożek prosto z opakowania.

- Kotku? - odezwała się, parodiując głos Sary.

- Przepraszam, myślałam, że... Widziałas tu mojego narzeczonego? Wysoki blondyn...

- Kawał skurwiela? - Martika z beznamiętną miną pochłonęła jeszcze trochę twarożku i dodała do reszty odrobinę miodu. - Wychodził, kiedy wróciłam do domu. Próbowałam się przedstawić, ale gapił się na mnie jak na złodziejkę, dopóki nie załapał, że tu mieszkam. Burknął coś pod nosem i wyszedł w pośpiechu.

Sarze zamarło serce.

- Książę z bajki, nie ma co.

- Widziałas go z pięć minut - powiedziała Sara ostrym tonem. - Nie znasz go. Nie znasz nawet mnie, chociaż tu mieszkam.

- No, wreszcie! - Martika uśmiechnęła się, słodko-wrednym szerokim uśmiechem. - Zaczęłam się zastanawiać, czy ty w ogóle żyjesz. Wiesz, że po raz pierwszy powiedziałaś coś tak głośno i wyraźnie? Więc co takiego wspomniałego jest w panu Ważniaku, czego mogłam nie zauważyć?

Nie raczyła odpowiedzieć. Jest dziesiąta, była spóźniona do pracy, a jej chłopak zostawił ją bez słowa pożegnania. Wyobraziła sobie Benjamin, potykającego się w ciemności, ubierającego się cicho, żeby jej nie obudzić, całującego ją delikatnie... Nie, Martika go nie znała - a ona tak. Po pięciu latach narzeczeństwa powinna go znać, do diabła. Wciągnęła na siebie dżinsy i T-shirt, cisnęła na podłogę ręcznik. Niech to szlag.

Sara wciąż myślała o niedzielnej zamianie w pracy, pierwszym wolnym dniu, który dostała od... szkoda gadać, niech to

diabli. Testowali budynek na zawartość azbestu, czy coś w tym rodzaju, więc Becky nie mogła jej zmusić do przyjścia. Chociaż próbowała.

Umówiła się z Judith na lunch w „Il Trattorio on Melrose”. Miło było widzieć przyjazną twarz kogoś, kto nie poganiał jej do biurowej harówki.

Sara grzebała widelcem w sałatce.

- Judith? Czy myślisz, że Benjamin... To znaczy... powiedz, czy on nie działa na ciebie...?

Judith westchnęła, odkładając na stół widelec.

- To robota twojej współlokatorki Martiki. Na czym polega rzekomy problem z Benjaminem?

- Ty nie uważasz, że on jest skurwielem, prawda?

Judith wybałuszyła oczy. Sara zdała sobie nagle sprawę, że nigdy nie słyszała z ust swojej przyjaciółki słowa „skurwiel”.

- Nie, z pewnością nie uważam, żeby Benjamin był... kimś takim. - Wyprostowała na kolanach serwetkę. - To, że człowiek nie jest jakimś nawiedzonym postrzelencem ani kandydatem do cyrku Jima Rose'a \*, nie znaczy, że... - Judith rozejrzała się na boki, sprawdzając, czy przypadkiem ktoś nie zauważył, że ich rozmowa przybrała niestosowny charakter. - Nie, po prostu nie jest.

Sara uśmiechnęła się, walcząc z pokusą, żeby powiedzieć: „Skurwiel! Skurwiel! Skurwiel!” i zobaczyć, jak Judith pąsowieje ze wstydu.

- Dlaczego pytasz? Czy ty sama tak o nim myślisz?

Sara spuściła wzrok.

- Nie jestem ostatnio zbyt szczęśliwa.

- To zrozumiałe - uspokoiła ją Judith. - Ta rozłąka już trochę trwa, a pamiętaj, że od czasów college'u ciągle byliście razem.

- Wiem, wiem - westchnęła. - Tylko że...

- No wyrzuć to z siebie wreszcie.

- Nie sądzisz, że to jednak... draństwo z jego strony, że sam parł do tego, żebym się tu przeniosła pierwsza, w jego interesie, i nagle, ni stąd, ni zowąd, umywa ręce i mówi, że nie może mi pomóc w utrzymaniu mieszkania?

Cyrk Jima Rose'a - słynie z szokujących przedstawień ulicznych, w swoim zamiarze demaskujących brutalność, deprawację i chaos współczesnego świata.

- To znaczy wtedy, gdy się dowiedział, że awans, na który liczył, jest nieaktualny?

- Dobrze, ale on... w ogóle do mnie nie dzwoni, wpadł tylko raz, i jakby wszystko ciągle kręciło się wokół niego.

- A powinno kręcić się wokół ciebie?

- Powinna być jakaś równowaga - odpowiedziała z wściekłością.

Judith wypić łyk mrożonej herbaty.

- Saro, co on ci tak naprawdę zrobił, że nazywasz to draństwem?

- On nie jest dla mnie żadną podporą. Rozumiem, że jest zapracowany i tak dalej - i że ma ustalone plany zawodowe, podczas gdy ja wciąż się miotam, ale... wiesz, ja naprawdę ciężko haruję...

- Tak jak on od dawna.

- Judith, ty mi wcale nie pomagasz!

- Staram się. Próbuję cię namówić, żebyś spojrzała na to z dystansu. - Mówiła z chłodną logiką Mr. Spocka\*, podczas gdy Sara milczała, z odętymi wargami, czując się jak kompletna idiotka. - On naprawdę ciężko pracuje, żeby załatwić w końcu to przeniesienie i być z tobą. Haruje jak wół od lat, tymczasem ty zmieniasz pracę jak rękawiczki. Sama zgodziłaś się przeprowadzić tutaj pierwsza...

- Myślałam, że będziesz po mojej stronie - burknęła. - Ale okazałam się naiwna jak dziecko, prawda? - Paradoksalnie, poczuła się trochę lepiej. Jak gdyby uwierzyła, że jej chłopak nie jest żalosnym palantem, co dawała jej do zrozumienia Martika.

Judith uśmiechnęła się.

- Po prostu tracisz trochę dystans, i tyle. Stałaś się ostatnio naprawdę niezależna, a to wielka zmiana.

- Ta praca naprawdę działa mi na nerwy.

- Przyzwyczaisz się.

Ale ja nie chcę się do tego przyzwyczaić!

- Czy kiedyś staje się to trochę łatwiejsze? - Pociągnęła łyk swojej coli light.

- Oczywiście. Po pewnym czasie jest tak, jakbyś robiła to całe życie. Będziesz to traktowała jak... mycie zębów. I zapom-

\* Mr. Spock - jeden z bohaterów filmu „Star Trek”.

nisz czasy, kiedy żyłaś inaczej. Pamiętam taką sentencję z kartki z życzeniami, którą kiedyś dostałam. „Nie szukaj schronienia przed burzą, tylko spokoju mimo burzy”. Trzeba patrzeć na życie w ten sposób. Ogarnąć rzeczywistość i pogodzić się z nią.

Było to na tyle przygnębiające, że Sara udała się do tacy z deserami z myślą o Czekoladowym Samobójstwie.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

### *Break On Through (Przebić się)*

Spokój mimo burzy, powtarzała w myśli, kopiując materiały do prezentacji. Trzecia nad ranem. W biurze była tylko ona i wynajęty „czasownik” z CompuPro. Pracował jak szalony na jednym z najlepszych komputerów do projektowania, montując jakąś skomplikowaną prezentację, z wykorzystaniem muzyki, animacji i klipów filmowych. Nucił na okrągło melodię ze „Star Treka”, jadł chrupki Cheetos i opijał się Mountain Dew.

- W tym jest najwięcej kofeiny. - Pokazał jej wystającą z plecaka dwulitrową butelkę. - Nie lubię smaku Jolta. Od groma masz tych kopii - zauważył, kiedy komputer bzycał, przetwarzając jakąś stronę. - Nie mogliście tego wysłać do Kinko?

Sara potarła zaczerwienione oczy, czekając przez moment, aż jej wzrok odzyska normalną ostrość.

- Moja szefowa chciała, żebym sama tego dopilnowała. W Kinko spieprzyli jej ostatnie zlecenie.

- Musiał być niezły pasztet.

- To nie była do końca ich wina - powiedziała, starając się nie pomylić w liczeniu. Ta rozmowa ratowała ją przed zasnieniem. - Ale... no wiesz, poznałeś moją szefową.

- Co nieco... Zawsze jest taka?

- Jest zestresowana... - Szukała w głowie jakiegoś usprawiedliwienia, w końcu westchnęła. - Tak. Zawsze jest taka. - Wzięła głęboki oddech, naciskając trochę za mocno zszywacz. Wyjęła pogiętą zszywkę i spróbowała jeszcze raz, ostrożniej. - Zrobiła

takie piekło, że dyrektor Kinko nie tylko nie przyjął reklamacji, ale powiedział, że wyśle jej zdjęcie, coś w rodzaju listu gończego, do wszystkich firm z tej branży w promieniu trzydziestu kilometrów. Myślałam, że Becky dostanie apopleksji.

- I to wszystko spadło na ciebie.

Kiwnęła głową. Przygotowywała wszystkie materiały, sprawdzała arkusze kalkulacyjne, notatki na prezentację i pilnowała, żeby wszystkie zaplanowane przez Becky spotkania zespołu odbywały się w terminie. Raquel, sekretarka, podczas ostatniego weekendu wpadła w amok i złożyła wymówienie - zatemperowawszy bardzo ostro ołówek, chwieżną czerwoną kreską napisała pożegnalne ODCHODZĘ na biurku Becky. Sara żałowała, że to nie był atrament.

- To musi być wkurwiające.

- Nie jest tak źle - powiedziała ze stoickim spokojem, marszcząc brwi. Pomyliła się. Zaczęła liczyć posortowane kopie od początku.

Starała się wytrzymać. Naprawdę się starała. Rozmawiała co sobotę z Benjaminem, jak przykładowa narzeczona, i nie zawracała mu głowy w ciągu tygodnia. Powiedział jej, że awans jest prawie przesądzony, właściwie spodziewa się go lada dzień. A więc przyjedzie do L.A. I, jak powiedziała gąsienica w „Dawno temu w trawie”: „Wtedy sprawy przybiorą znacznie lepszy obrót”. Musiała tylko skorzystać z rady Judith, wydorosnąć i nie załamywać się.

- Rany, jaki jestem zmęczony. - Facet z CompuPro rozparł się na krześle, zdjął okulary i przetarł oczy.

- Jak myślisz, do której ci z tym zejdzie? - spytała z nadzieją w głosie. Gdyby skończył niedługo, mogłaby zrobić proofy i klisze, i w końcu się trochę przespać.

- Do szóstej powinienem się wyrobić.

- Do szóstej?

- Tak. Powiedziałaś, że musisz mieć to gotowe do rana - powiedział obronnym tonem, zerkając na jej śmiertelnie bladą twarz. - Może trochę wcześniej.

- Boże, błagam - wymruczała.

Dotrzymał słowa i skończył, gdy zaczęło świtać. Była punkt szósta.

- Przyślę im rachunek - powiedział, ziewając. - O rany, jak to dobrze, że nie mam na dzisiaj żadnej roboty.

Odpędziła go od komputera, żeby przejrzeć prezentację. Nieźle ją wzięło po tym napoju dopingującym... Koło piątej poczuła się zawiana i cały czas działała na lekkim, przyjemnym haju. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie pojechać do domu, ale postanowiła zostać. Jakby obudziła się w niej dusza męczennicy. Kiedy Becky zobaczy, że siedziałam tu całą noc, rozważyła w swoim pozbawionym snu umyśle, przekona się, na co mnie stać. Frycowe będzie zapłacone i w końcu mi odpuści.

Z tą nadzieją Sara odfajkowała mnóstwo pozycji na swojej liście rzeczy do zrobienia. Przed siódmą w gorączkowym pośpiechu wycierała biurko, kiedy do pokoju wszedł Jacob.

- Siedziałaś tu całą noc? - spytał, patrząc jej podejrzliwie w oczy.

- Tak. - Zauważyła, że drżą jej lekko ręce, jak tylko przestaje coś robić. Pociągnęła kolejny łyk Mountain Dew, odetchnawszy z ulgą, kiedy kofeina i cukier dotarły do jej krwiobiegu. Ten chłopak z CompuPro wiedział, co mówi. - Sporo zrobiłam.

- Na pewno - powiedziała Becky.

Czy to był zadowolony ton? Sara uśmiechnęła się, przekonana w swoim delirium, że tak.

- Tam są komplety materiałów - powiedziała z dumą. - A tu wykresy, raporty, wyniki sprzedaży i dane mediowe, o które prosiłaś. A to jest prezentacja. - Wręczyła Becky skopiowany projekt, gwóźdź programu. A teraz, czy mogłabym wrócić do domu i pójść...

- A to co, u diabła? - Becky spojrzała na płytę CD jak na źródło zarazy.

- To jest... prezentacja. - Nie dostrzegła w tęym spojrzeniu Becky śladu reakcji. - Chciałaś, żeby to było naprawdę na poziomie, prawda? Zgodziłaś się na wynajęcie człowieka z CompuPro, żeby dodał animację i... muzykę, i...

- Tak, tak. - Machnęła niecierpliwie ręką. - Ale gdzie są slajdy?

Sara patrzyła na nią jak na osobę niespełna rozumu.

- Niepotrzebne są do tego slajdy. - Całą siłą woli postrzymywała się, żeby nie dodać: „ty głupia krowo”. - Wystarczy rzutnik LCD połączony bezpośrednio z laptopem.

Powinna mieć więcej rozumu w głowie. Na sam dźwięk słowa „laptop” Becky przewróciła oczami.

- O nie! Nie używam do prezentacji żadnych cholernych laptopów. Dlaczego nikt ci o tym nie powiedział? Muszę być gotowa na drugą, dlaczego, do cholery, nikt ci o tym nie powiedział?!

Niby jak Becky wyobrażała sobie dodanie animacji do kawałka zadrukowanego plastiku?

- Ja... nie miałam pojęcia, że nie korzystasz z rzutnika LCD - mówiła wolno, czując, że euforia zaczyna ją opuszczać, ustępując miejsca zimnej, twardej rzeczywistości.

- Słuchaj no... Masz mi wydrukować slajdy, rozumiesz? Slajdy!

Sara zrobiła w myślach szybką kalkulację. Spotkanie było wyznaczone na drugą. Była ósma. Mniej więcej jedna minuta na slajd... sto dwadzieścia slajdów... wyrobi się godzinę przed czasem. Spokojnie.

- Dobrze, Becky - odpowiedziała. Spokój mimo burzy, spokój mimo burzy...

Becky wzięła do ręki jedną z broszur, tę z wydrukowanymi zdjęciami. Przekartkowała ją szybko... i ku przerażeniu Sary, sięgnęła po długopis.

- Tu też trzeba zrobić kilka poprawek.

Sara wyobraziła sobie, jak stos oprawionych materiałów, slajdy, cała jej robota, idą na przemiał. Spokój mimo... Niech to szlag!

Do południa stan ducha Sary przeszedł z euforii w historię. Dwa razy, ni stąd, ni zowąd, przykuta do komputera, wybuchnęła płaczem. Na szczęście miała przy sobie Jacoba, który jak opiekuńczy anioł donosił jej Jolta i Mountain Dew. Podłączyłby ją do kroplówki i szprycował dożylnie, gdyby wiedział jak. Wprowadziła błyskawicznie zmiany, których zażądała Becky, potem kazała mu wydrukować strony do notatek i zbindować materiały do prezentacji. Wypuściła slajdy, usuwając wszystkie animowane wstawki, które zostawiłyby na wydruku ikonki programu do animacji. Głupia krowa, głupia krowa, myślała. Mantra „spokój mimo...” już nie działała, a „głupia krowa” Podgrzewała w niej złość na tyle, że była jakoś w stanie

funkcjonować. Zupełnie poważnie zastanawiała się, czy nie zamówić taksówki do domu... albo powiedzieć, że ma to w dupie, i przespać się pod biurkiem. Skłaniała się ku wersji z taksówką. Przynajmniej byłaby poza zasięgiem Becky.

- Saro, jak wygląda sytuacja?

Spojrzała na drukarkę, która jęczała przeraźliwie, jakby zbliżała się chwila jej elektronicznej agonii. Podniosła ostatni arkusz folii.

- Ostatni slajd - powiedziała, kładąc go zamasztyrnym ruchem na ostatniej kartce białego papieru. - Rzutnik jest przygotowany w sali konferencyjnej.

- I zamówiłaś lunch, oczywiście? Wiem, że cię o to nie prosiłam, ale powinnaś chyba wiedzieć...

Sara uśmiechnęła się z ponurą satysfakcją.

- Zamówiłam lunch. W „Maria's”. Dostarczą go za piętnaście dwunasta.

- Jesteś zmęczona, prawda? - Becky spojrzała na jej twarz zmrużonymi oczami, jakby dopiero teraz to zauważyła.

- Tak. - I zdecydowana temu zaradzić, pomyślała.

- Nie powinnaś dalej siedzieć przy komputerze.

- Też tak myślę.

- Przejdź się i koniecznie coś zjedz - powiedziała Becky z troską w głosie. - Ja będę wolna o trzeciej, to może zdążymy pogadać o spotach dla Veggiround TV.

- Słucham? Mam rozumieć, że... chcesz, żebym została?

Becky spojrzała na nią jak na UFO.

- Saro, jest południe. Zrobiłaś dobrą robotę, nie da się ukryć, ale nie było mowy o darowaniu ci połowy dnia.

- Połowy dnia?! - wrzasnęła nieswoim głosem. - Pracowałam całą noc!

Becky zamrugała, wyraźnie zaskoczona.

- Doceniam to - powiedziała tym łagodnym, mdłym głosem, którego Sara nienawidziła.

- Jadę do domu. - Złapała swój płaszcz. Szamocząc się z nim bezładnie, zorientowała się, że wkłada rękę w niewłaściwy rękaw. Wyszarpnęła ją i zaczęła od początku. - Wychodzę stąd. Będę miała dużo szczęścia, jeśli dojadę do Santa Monica bez kraksy. Ty chyba oszalałaś!

- Niech ci będzie... - Becky wydała znużone westchnienie.

- Chcę tylko, żebyś zrobiła dla mnie jedną rzecz. To po drodze, i nie zajmie ci dużo czasu. - Zatrzymała ją karcącym wzrokiem.  
- Powiedziałaś, że zrobisz wszystko, żeby ulżyć mi w pracy, chyba pamiętasz.

- O co chodzi? - Boże, zlituj się.

Becky wygrzebała z kieszeni klucz. Sara wlepiła w niego oczy.

- To jest klucz do mojego mieszkania. Chciałabym, żebyś zaopiekowała się Charliem. Pamiętasz Charliego, prawda? To mój kot, prosiłam, żebyś go nakarmiła w tamten świąteczny weekend, kiedy wyjechałam z miasta.

- Chcesz, żebym nakarmiła Charliego?

- Nie... Jego kuweta z piaskiem jest za...

- Nie!

- Za to wyjdiesz wcześniej z pracy...

Sara zerknęła na stos oprawionych materiałów, potem na Jacoba, który gapił się na Becky jak na opętaną.

- Becky, ja się zwalniam. Zdecydowanie, nieodwołalnie zrezygnuję z pracy. Zapłaciłam już swoje. Nie chcę wydorośleć i chromołą spokój mimo burzy!

Dotarła bezpiecznie do domu, przekonana, że zawdzięcza to jakiemuś świętemu, który strzeże pijaków, włóczęgów i głupie naiwniaczki, które o wiele za długo dają sobą pomiatać w pracy. Było w pół do pierwszej i na szczęście Martika jeszcze nie wróciła. Sara zrzuciła z siebie ubranie i całkiem goła zagrzebała się w pościeli. Koło trzeciej przeparadowała nago przez salon, żeby się wysuszyć, i szybko wróciła do łóżka. Obudziła się koło siódmej z uczuciem głodu. Chyba płakała przez sen... nie zmyła makijażu i miała czarne obwódki wokół oczu. Wyglądała jak pobita.

Zajrzała do lodówki. Znalazła trochę chaluli, ostrego sosu, który Martika dodawała prawie do wszystkiego, i kilka pojemników z daniami na wynos. Bóg wie, jak długo się tam przeleżały. Mogłaby coś ugotować, ale nie było z czego. Przeszukała szafki i w końcu odkryła jakieś „danie w pięć minut” o smaku pieczarkowym. Wstawiła je do garnka i włączyła kuchenkę. Ziewając, owinęła się ciasniej szlafrokiem, potem podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer biura Benjamin.

- Benjamin Slater.
- Rzuciłam pracę.
- Co się stało?

Opowiedziała mu wszystko, od kopiowania materiałów po kocią kuwetę.

- Nie mogę uwierzyć, że kazała mi to zrobić - zakończyła, powtórzywszy „nie mogę uwierzyć” po raz mniej więcej piętnasty. Wciąż była w szoku.

- No to, jak rozumiem, sprawa zamknięta. - Dalej mówił z tą nutą zmęczenia w głosie.

Wiedziała, że ciężko pracował, ale, do licha, trochę słusznego oburzenia byłoby na miejscu, podpowiadała jej intuicja.

- Więc co masz zamiar teraz zrobić?

- Nie wiem - odpowiedziała drewnianym głosem. - Znaleźć inną pracę.

- Zdaje się, że to byłby najwłaściwszy kierunek działania.

- Mógłbyś być trochę bardziej... pomocny.

- Zrozum, rzuciłaś pracę bez wypowiedzenia i wyszłaś sobie tak po prostu, mówiąc „chromolę spokój” czy coś w tym rodzaju. Nie wiem, jak mogę ci pomóc w takiej sytuacji.

- To może spróbujesz powiedzieć mi coś miłego? - Czuła, że ogarnia ją wściekłość. - Na przykład „bardzo za tobą tęsknię” albo „wkrótce się zobaczymy”. No wiesz, coś, czego można by się spodziewać po własnym chłopaku - czy narzeczonym, zwał jak zwał.

- Tęsknię za tobą - powiedział. - I rzeczywiście, wkrótce się zobaczymy.

- Co? - Wyłączyła palnik z głośnym kliknięciem.

- Stało się. Dostałem awans - powiedział z dumą. - Będę dyrektorem biura w L.A.

- Och, Jam! To cudownie! - To było to! Jej schronienie... nie, jej spokój mimo burzy. To, na co czekała. Benjamin przeprowadzi się do niej, Martika się wyprowadzi - koniec z odgłosami łóżkowych zapasów, koniec męki. Czy to nie piękne? I będzie stać ją na to, żeby dać sobie spokój z... Poszuka pracy, która będzie jej sprawiała przyjemność, bo Benjamin sam spokojnie utrzyma dom. Powiedział przecież, że kiedy się pobiorą, będzie mogła zajmować się wyłącznie domem i dziećmi... właściwie nalegał na to, bo docenia wychowanie, jakie

zapewniła mu jego matka, która nigdy nie pracowała poza domem. W każdym razie będzie mogła do tego czasu trochę odpocząć. - Tę kiedy przyjeżdżasz? Muszę dać Martice miesięczne wypowiedzenie. - Niemal piszcziała ze szczęścia.

Zapadła cisza.

- Saro... dużo o tym myślałem.

- Ja też. Wydaje mi się, że nie musimy mieć obu biurek w drugiej sypialni, wystarczy twoje. Jest dużo większe od mojego, zresztą...

- Saro, ja nie będę z tobą mieszkał.

Równie dobrze mógłby powiedzieć coś w języku suahili.

- Co? Co? - Nie była w stanie pozbierać myśli.

- Nie będę z tobą mieszkał. Jesteś za bardzo absorbująca, rozpraszasz mnie, a ja, no wiesz, udało mi się coś osiągnąć... Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby wszystko spieprzyć. Naprawdę muszę się skupić na pracy.

Jej wizja spokoju rozprysła się jak kryształ upuszczony na twardą posadzkę.

- Musisz się skupić - powtórzyła spokojnie.

- Postanowiłem, że będę mieszkał sam, a ty mogłabyś mnie odwiedzać w każdy weekend, tak jak robiłaś to tutaj. Zresztą, cholera, pewnie widywalibyśmy się częściej. Na ostatnim roku w college'u praktycznie mieszkaliśmy razem, pamiętasz?

Ale potem już nigdy, pomyślała, znów odrętwiała i zamroczona, w podobnym stanie jak o piątej rano.

- Więc przenosisz się tutaj, ale nie będziesz ze mną mieszkał, bo chcesz się skupić na pracy.

- Właśnie - przytaknął żywo, ośmielony jej beznamiętną reakcją. - Właśnie to chciałem ci powiedzieć.

- Martika miała rację. Jesteś zwykłym skurwielem.

- Co?

- Jesteś... skurwielem - powtórzyła wolno i wyraźnie. - Którego słowa nie rozumiesz?

- Wielkie dzięki - wycedził lodowato. - Mówię ci o awansie, a ciebie stać tylko na to? Dzięki za gratulacje, niby czego więcej miałbym się spodziewać po swojej dziewczynie.

- Och, przestań mi wciskać kit. Nawet nie próbuj zrzucić na mnie winy. Harowałam przez dwadzieścia cztery godziny dla jakiejś idiotki. Mogłam zginąć. A ty uważasz, że to w porządku,



że jedyne wsparcie, jakiego się od ciebie doczekałam, to rada, żebym dorosła i płaciła jakieś frycowe? A teraz, po pięciu pieprzonych latach narzeczeństwa przenosisz się do miasta, do którego ja się przeprowadziłam - wzięła głęboki oddech - tylko po to, żeby urządzić ci miejsce do życia, i mówisz mi, że będziesz mieszkał gdzie indziej? Tylko dlatego, że jestem absorbująca?!

- Nie wrzeszcz na mnie. Dobrze ci radzę - powiedziała złowrogim tonem. - Nie będę znosić żadnych awantur.

- Nie, nie będziesz. Nigdy więcej. - Głos jej zadrżał i wierzchem dłoni otarła z policzków łzy. - Poszukaj sobie kogoś innego, palancie. Spieprzaj!

Odłożyła słuchawkę. Po chwili zadzwonił.

- Co?

- Koniec z nami, Saro. I daruj sobie ciskanie słuchawką. - I cisnął słuchawką.

Usiadła, trzęsąc się i nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Była bez pracy i znowu samotna, nagle po... Boże, po pięciu latach? Miała wtedy dwadzieścia lat. I nigdy nie była najlepsza w nawiązywaniu znajomości z facetami. Nawet wtedy.

Zdała sobie sprawę, że kiwa się w przód i w tył, wstała więc i zaczęła krążyć po kuchni. Miała ochotę zawyć, albo zrobić coś równie szalonego. Zbierało jej się na wymioty, ale nic z tego nie wyszło. Popłakała jeszcze trochę - pomogło, ale tylko na chwilę.

Musiała się jakoś rozładować. Musiała sobie z tym poradzić.

Co na moim miejscu zrobiłaby Martika?

Podeszła do lodówki i wyjęła butelkę wódki marki Stolicznaja, w którą zaopatrzyła się Martika. Potem znalazła koncentrat żurawinowy. Z wprawą laborantki wlała wódkę do słoika z koncentratem i wymieszała składniki. Wyjęła z szafki szklanek i napełniła ją po sam brzeg.

- Spokój mimo burzy - powiedziała z determinacją i jednym haustem wychyliła drinka.

Martika wróciła do domu koło dziesiątej. Unikała go ostatnio, jak tylko mogła, co zwykle zapowiadało kolejną przeprowadzkę. Zupełnie nie rozumiała Taylora. „Ona jest słodka”, rozpląwał się nad Sarą, w tym swoim egzaltowanym Taylorowym stylu. „Ona jest jak laleczka. Człowiek ma po prostu

ochotę zapakować ją do plecaka, zabrać do domu i postawić pod kloszem na kominku. I ten głos jak dziewczynki z kreskówek... wiesz, tych japońskich, w których po każdym słowie jest «och!» i wielkie, okrągłe oczy".

- Tylko dlaczego miałabym z nią dalej mieszkać? - odpowiedziała Martika w ogródku „Tacos Tacos”, po nocy spędzonej w klubie „Revolver”.

- Miałabyś na nią dobry wpływ, kochanie - zamruczał, wiedząc, że słabym punktem jego przyjaciółki jest instynkt macierzyński.

Niech go diabli. To prawda, że była „matką stada Bulwaru Santa Monica” - samozwańcą. Pomysł, żeby wychowywać prawdziwą córkę zamiast zastępczych był dość pociągający.

Kiedy poznała Sarę, naprawdę myślała, że będzie mogła coś zdziałać. Dziewczyna była taka... zabawna, w czysty, nieskażony sposób. Dobry surowy materiał. Na początek musiałaby wyrzucić w diabły te gówniane ciuszki z katalogu Eddie Bauer. No i zachowywała się, jakby kij połknęła, więc może trzeba by go chirurgicznie usunąć, ale poza tym Martika wiązała z nią duże nadzieje.

Po ostatnich miesiącach te nadzieje prawie się rozwiały. Teraz, wracając do domu, czuła się, jakby wracała do Bośni, a przecież dom powinien być schronieniem przed wszelkimi palantami, dosłownie i w przenośni, przed całym zewnętrznym światem. Niczego nie wskurła z tą ciumcią. Przyszła pora na wypowiedzenie.

Weszła do domu, nie paliło się ani jedno światło, więc kiedy usłyszała głos Sary, o mało nie dostała zawału.

- Tika? To ty?

- Cholera, wiesz, jak mnie przestraszyłaś?! - zawołała z pretensją. Ma jeszcze jedną krechę. Mówiła tak często Taylorowi, skarżąc się na Sarę. - Dlaczego siedzisz po ciemku?

Wydawało jej się, czy Sara bełkotała? Błądząc ręką po ścianie, Martika zapaliła światło i z wrażenia zapało jej dech.

Na stole była czerwona kałuża wokół pustej szklanki, nożyczki i ręka Sary. Za wodniste na krew, pomyślała z ulgą. Pociągnawszy nosem, stwierdziła, że to jej awaryjna wódka.

- Kotku, co ty... - Przeraziła się na dobre, kiedy zobaczyła jej twarz. - O żesz... Co ty zrobiłaś?

- A... to. - Sięgnęła ręką do głowy. Z jej wystrzyżonych nierówno włosów zostały komicznie sterczące kępki i pojedyncze loczki. - Wiesz, że w niektórych plemionach indiańskich obcina się włosy na znak żałoby? - spytała najzwyczajniejszym tonem. - Zawsze uważałam, że coś w tym jest.

Martika natychmiast przestała myśleć o wyprowadzce. Wyglądało na to, że ta biduła wytrąbiła szklanekę mocnej wódki, a potem obcięła sobie włosy. Pojawił się rozkosznie pikantny kłopot, z gatunku tych, których rozwiązywanie było specjalnością Martiki. Kłopot z facetem.

- Nie przejmuj się. - Usiadła i wyłączyła swój telefon komórkowy. - Opowiedz mi wszystko. Obiecuję, że wyjdziemy z tego na prostą.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### *Changeling (Podrzutek)*

Sara obudziła się następnego dnia z obrzydliwym smakiem w ustach i łomotem w głowie. Jak przez mgłę pamiętała, że wstała w nocy i chwiejnym krokiem poszła do łazienki, żeby wymiotować, co zrobiła z takim impetem, że deska klozetowa spadła jej na głowę. Pamiętała też, że była przy niej Martika, jak troskliwa matka kwoka - co wydawało się dziwne, bo Martika jej nie lubiła. Chyba nie...

W każdym razie jeśli nie lubiła jej do tej pory, teraz mogło być jeszcze gorzej... Sceny z ostatniej nocy wróciły do niej w dziwnych, bezładnych cięciach, jak z bardzo kiepskiego filmu „artystycznego”. Ona, opowiadająca Martice, jak poznała Benjamina, a potem historię całego swojego życia, z uwzględnieniem roli, jaką odgrywali w nim mężczyźni i seks, i... o Boże, dlaczego Martika nie kazała jej się zamknąć? Pewnie pomyślała, że jest psychiczna - i na wszelki wypadek wolała jej nie rozdrażniać. Może i miała rację. Sara potarła skronie. Nigdy dotąd nie była w takim stanie.

Zajrzawszy ostrożnie do salonu, skrzywiła się, porażona światłem wpadającym przez drzwi balkonowe. Jak jasno. Która to godzina? Spojrzała na zegarek - szósta. Cholera, jak ten czas leci.

Uśmiechnęła się, kiedy jej wzrok padł na stół kuchenny. Drepcząc niepewnie, jak starszka, która zapomniała balkonika, dotarła do celu i obok trzech butelek „mordercy kaca” znalazła liścik:

*Myszę, że to Ci dobrze zrobi.  
Bądź gotowa o siódmej.  
Idziemy do Joeya.  
MARTIKA*

Przeczytała go trzy razy. Potem otworzyła butelkę i opróżniła całą, do ostatniej kropli, pamiętając, jak zbawiennie podziałał na nią ten napój po ostatnim wypadzie z Taylorem. Nie rozumiała tylko, dlaczego ma gdzieś wychodzić... i nie miała pojęcia, kim jest Joey. W każdym razie została jej godzina, by się przyszykować. Przynajmniej tyle była winna Martice, która zniosła wczoraj tak dzielnie jej paskudny występ.

Powędrowała do łazienki, lekko ziewając, myśląc sobie, z jaką przyjemnością umyje zęby... Zapaliła światło, spojrzała w lustro i przeraźliwie wrzasnęła.

Wyglądała jak skrzyżowanie punka ze szczotką ryżową. Większość jej włosów była krótko obcięta, a tu i ówdzie zostało trochę loków poprzedniej długości, sięgających za ramiona. Podniosła rękę i rozdziawiła usta, nie dowierzając własnym oczom.

O mój Boże.

Przeczesawała dłonią dziwny wytwór sztuki nowoczesnej, który był kiedyś jej włosami. I nagle coś zaczęło jej świtać... W jakimś momencie wczorajszego wieczoru myślała o obyczajach Indian i w malignie przypomniała sobie, że w niektórych plemionach obcina się włosy po stracie kogoś bliskiego. Nożyczki jakby same zabrały się do dzieła, coś jak z „Alicji w krainie czarów”. Potem kompletnie o tym zapomniała... Niech to szlag, wyglądała jak jakiś mutant, powinna ogolić się na łyso.

Wyszorowała zęby, najporządniej jak mogła, starannie unikając patrzenia na siebie w lustrze. Od jednego zerknięcia zbierało jej się na płacz. Wycofała się pod prysznic i moczyła bardzo, bardzo długo, czekając, aż lustro nad umywalką będzie wystarczająco zaparowane. W końcu wyszła na łazienkowy dywanik, owinęła ręcznikiem głowę, wytarła się i wróciła do swojego pokoju. Włożyła džinsy, T-shirt i zaczęła rozglądać się za kapeluszem. Wciąż go szukała - była pewna, że przywiozła jakiś z Fairfield - kiedy usłyszała, że Martika wchodzi do domu.

- Saro! Saro! Myszko, jesteś gotowa? Wszystko w porządku?

Sara znalazła w końcu sfatygowany dżinsowy kapelusz, którego używała wyłącznie do pracy w ogrodzie. Upchnęła pod rondo resztki długich włosów i wyszła do salonu.

- Włożę tylko buty - powiedziała.

Martika obrzuciła ją badawczym spojrzeniem i uśmiechnęła się promiennie.

- Wyglądasz jak dziesięciolatka.

- Nie musisz się nade mną pastwić - odburknęła. - Sama nie mogę uwierzyć, że zrobiłam coś takiego.

- Ja mogę. Najwyższa pora. Nie na to, żebyś sama obcinała sobie włosy - poprawiła się. - Jasne, że będziesz długo pamiętała tę historię, ale teraz, kiedy już pękłaś i wyrzuciłaś to z siebie, na pewno poczujesz się lepiej. Korciło mnie w biurze, żeby do ciebie zadzwonić - chciałam sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale w końcu pomyślałam, że powinnaś się porządnie wyspać... haftowałaś pół nocy.

Dziwne to było, cała ta matczyzna troska ze strony takiej ostrej dziewczyny jak Martika - ale też bardzo, bardzo pocieszające.

- Chciałam ci podziękować. - Sara, wcisnąwszy na bosc stopy swoje sportowe płócienne buty, wstała z klęczek, okropnie zmieszana. - Byłaś naprawdę... byłaś taka...

- Przestań. Od początku liczyłam na to, że staniesz się... powiedzmy, interesująca. Zaczęłam już tracić nadzieję. - Martika zaniósła się tym swoim niskim, chropawym śmiechem, a Sara, o dziwo, nie poczuła się urażona. - Idziemy do Joeya, mojego fryzjera. Masz szczęście, normalnie trzeba się do niego zapisywać z miesięcznym wyprzedzeniem, ale wyświadczyłam mu niejedną przysługę, więc w końcu odbiorę sobie część długu.

- Dziękuję...

Martika uśmiechnęła się.

- Kotku, to dopiero początek. Jesteś teraz wolną kobietą. Zobaczysz, jak będzie wesoło!

Sara czuła się jak dziesięciolatka, kiedy weszła do salonu w Beverly Hills. Martika dotarła tam swoim ciemnogramatowym kabrioletem bmw w czasie o połowę krótszym, niż zajęłoby Sarze przejście przez ulicę, przynajmniej takie odniosła wrażenie. Trzymała się ukradkiem klamki samochodu, kiedy

Martika malowała szminką usta, rozmawiała z Taylorem przez telefon komórkowy i przemykała przez zatłoczone w środowy wieczór miasto.

- Taylor, kochanie, musisz się ze mną spotkać w salonie. W salonie Joeya, głuptasie. Ruszamy z naszym planem. Tak, jest ze mną. - Uśmiechnęła się do Sary, mimo że przed sekundą o mało nie stuknęła w bagażnik volkswagena. Sara odwzajemniła nerwowo uśmiech, czując, że ma spocone dłonie. - Będziemy tam za jakieś... och, już jesteśmy. Musimy lecieć. Potem skoczmy na drinka, co? Może Sara da się namówić. - Puściła do niej oko i płynnym ślizgiem zaparkowała samochód równolegle do krawężnika. - Później. - Rozłączyła się i wskazała palcem bardzo elegancką witrynę salonu. - Voila. Chodź, zrobimy cię na śliczną panienkę.

Sara zajrzała do środka z duszą na ramieniu. Zobaczyła w lustrze swoje odbicie, Martiki również. Martika była w supermini z czarnego streczu, czarnym dzianinowym topie bez rękawów i w czarnych botkach do kolan. Miała też okulary przeciwsłoneczne, które służyły za opaskę ujmującą nad czołem grzywę jej kasztanowych loków. A Sara, w swoich džinsach, T-shircie, sportowych butach i szmatławym dzinsowym kapeluszu, naprawdę wyglądała na dziesięć lat. Gdyby Martika wyglądała trochę starzej, mogłaby udawać jej matkę.

Sara weszła do środka ze spuszczoną głową, starając się unikać wzroku innych klientek, które - wszystkie w miękkich różowych pelerynkach - wpatrywały się w nią jak w przybysza z innej planety.

- Joey! - Martika oznajmiła charakterystycznym piskiem swoje przybycie, cmoknęła na odległość i podeszła do mężczyzny w czarnych skórzanych spodniach i nieskalanie białym T-shircie, który wyglądał jak świeżo wykrochmalony. - Cześć, skarbie, kopę lat!

- Och, ty... Uduszę cię, jeśli powiesz, że ktoś inny zrobił ci farbę - powiedział zupełnie niegroźnym tonem. Tak naprawdę, zabrzmiało to jak komplement w egzaltowanym, zniewieściałym stylu.

- L'Oreal Hydrience, masz pojęcie?

- Akurat! Tandeta z pudełka. Więc gdzie jest twoja kandydatka na bóstwo?

- Proszę, to jest nasza dziewczynka. - Martika wskazała Sarę gestem Vanny White odsłaniającej litery w „Kole Fortuny”.

Otworzył tak szeroko oczy, że jego przekłuta kolczykiem brew uniosła się razem z powieką. Zagwizdał.

- Hm. Nie wiem, czy... Umówiliśmy się na włosy, a nie na cały dzień roboty...

- Nie, nie, spokojnie, na początek włosy. Saro, złotko, zdejmij kapelusz, dobrze? Niech Joey ci się przyjrzy.

Sara rozumiała oczywiście, dlaczego było to konieczne, a jednak poczuła się, jakby Martika kazała jej zrobić striptiz. Powoli uniosła rękę, chwyciła rondo kapelusza i ściągnęła go jednym szarpnięciem. Kilka długich kosmyków opadło bezwładnie na plecy.

- O mój...

Martika pokiwała tylko głową.

- Ojjoj... - Widać było, z jakim wysiłkiem Joey próbuje wybrnąć z nieoczekiwanej sytuacji. Obszedł Sarę dokoła, jak nożownik. - No tak, widzę...

- Wiem, że widziałeś gorsze rzeczy. Myślę, że to powinno być coś wystrzałowego i zabawnego. Coś w stylu „Jem takich facetów jak ty na śniadanie”. Ale i seksownie.

- Ja myślę o czymś w stylu „Nie, nie wsadziłam głowy do miksera” - powiedziała szeptem Sara.

Joey usłyszał to i wybuchnął śmiechem.

- No dobrze. Zajrzemy do magazynów, jestem pewien, że da się coś zrobić... Masz dobre, naturalnie kręcone włosy - powiedział rzeczowym tonem, jakby już otrząsnął się z szoku.

- Wystrzałowo, seksownie, zabawnie - mruknął, podchodząc do stojaka z kolorowymi pismami.

- Saro, kochanie, wiem o wszystkim.

Usłyszała głos Taylora i uśmiechnęła się z przekąsem.

- Tak mi przykro, naprawdę... o mój Boże, co się stało z twoją głową?

- Jednak nie o wszystkim wiedziałeś - powiedziała wesoło.

- No nie. - Obszedł ją dokoła, podobnie jak Joey. - Nieźle! Kiedy się już upijasz, to nie na żarty, co?

- Nie wiem. Nieczęsto się upijam.

Martika i Taylor wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

- Nic straconego - powiedzieli unisono.



- Mmm, nie wiem...

- To jest to! Mam. To wygląda zabawnie i wystrzałow.

Sara, Martika i Taylor przysunęli się ciasno do siebie i pochylili nad magazynem, który przeglądał Joey. Zatrzymał się na zdjęciu kobiety w rewelacyjnej sukience, z kręconymi włosami, które wyglądały... jakby wynurzyła głowę z tunelu aerodynamicznego.

- Nie wiem... - mruknęła Sara, ale Taylor i Martika już prowadzili ją do nieprawdopodobnie chudej młodej kobiety w czarnych dżinsach i białym T-shircie, z włosami upiętymi w prosty kok.

Wepchnęła Sarę do przebieralni i wręczyła różowy ręcznik, obdarzając jej głowę tylko przelotnym spojrzeniem i szyderczym uśmiechem. Sara milczała, nie mogła zostawić swoich włosów w tym stanie, to jedno było oczywiste. A Martika i Taylor wiedzieli chyba, co robią.

Usiadła i pozwoliła Joeyowi umyć sobie głowę czymś, co cudownie pachniało morelami. W tym czasie Martika wtajemniczała Joeya w szczegóły całej nieszczęsnej historii z Benjaminem. Sara nie miała nic przeciwko temu... W końcu, gdyby człowiek nie mógł się wygadać przed swoim fryzjerem, to przed kim mógłby to zrobić? Z każdym zdaniem Joey zdawał się bardziej zirytowany... i bardziej przekonany, że robi ją na bóstwo.

- Ten gość to jakieś bydlę - powiedział, marszcząc brew przekłutą połyskującym kółkiem. - Co za kutas... Złamany kutas.

Całkiem przyjemnie, pomyślała Sara, kiedy kilka spowitych w róż kobiet włączyło się do rozmowy. Salony piękności, dobre salony, miały w sobie coś takiego, że odgrywały podobną rolę jak grupy terapeutyczne i niezobowiązujące babskie prywatki, coś jakby dwa w jednym.

Ale kiedy dalej mówili o Benjaminie, jej serce zaczęło ścisnąć się z bólu... tak, kutas, zwykły kutas. Cztery lata zaręczeni, pięć lat razem, i on mówi, że nie może z nią mieszkać? Nie do wiary. Czuła, że łzy napływają jej do oczu, próbowała myśleć o czymś innym, ale nie była w stanie, i w końcu poddała się. Kobiety kiwały ze zrozumieniem głowami i opowiadały własne historie, co trochę jej pomogło.

- Nie marnuj łez na tego dupka - powiedziała stanowczo Martika. - Radzisz sobie bez niego od tyłu miesiący, zauważyłaś to? A tak naprawdę, on cię po prostu wykorzystywał.

- Wiem - mruknęła, starając się nie ruszać głową, kiedy Joey ciachał i szarpał nożyczkami jej włosy. - Tylko że ja się przyzwyczaiłam do tego, że on mnie wykorzystuje.

- Och, skarbie, wiem coś o tym - wtrąciła się kobieta w starszym wieku.

- No to teraz przyzwyczaisz się do niezależności - ciągnęła Martika, a kilka innych kobiet przytaknęło skwapliwie. Gdyby wszystkie wstały i zaśpiewały chórem gospelową wersję piosenki z nowych „Aniołków Charliego” \*, Sara wcale by się nie zdziwiła. Taki już był ten dzień.

- Wiesz, co to znaczy. - Taylor uśmiechnął się błogo. - Ciuchy.

- Jestem teraz bez pracy, Taylor - przypomniała mu Sara, i nagle dotarło do jej świadomości, że była w salonie w Beverly Hills. Słyszała kiedyś plotkę, że ktoś zapłacił w tym mieście sto dolarów za *dim sum* \*\* dla jednej osoby. Boże drogi, wyjdzie stąd kompletnie spłukana. Co ona, do diabła, robi?

- Spokojnie, nie będziesz długo bez pracy. - Martika jakby czytała w jej oczach.

Taylor w pocieszającym geście oparł dłoń na jej ramieniu.

- Wiemy, że nie jest ci lekko - powiedział kojącem głosem. - Ale pozwól nam chociaż pomyśleć o tym, jak się powinnaś ubierać. Bez urazy, malutka, ale za każdym razem, kiedy cię widzę w tej dzinsowej sukience, chce mi się płakać.

- Na mnie tak działa ta sukieneczka w kwiatki a la kura domowa - dorzuciła Martika.

Sara zacisnęła usta, wyraźnie dotknięta.

- Nie widzę nic złego w tym, jak się ubieram.

- Oczywiście, że nie widzisz. Jestem pewna, że Benjamin nie miał żadnych zastrzeżeń.

I tu ją Martika miała, wołała więc zamknąć usta.

Jak para podnieconych uczniów, Martika i Taylor

\*Piosenka pod tytułem „Independent Woman” (Niezależna kobieta).

\*\**Dim sum* - w chińskich restauracjach zestaw różnych dań podawanych w koszykach do gotowania na parze.

przerzucali kartki starych magazynów mody, które Joey, trzymający w salonie tylko najnowsze numery, miał wkrótce wyrzucić. Było wśród nich sporo pism włoskich i czeskich, z kobietami o kocich twarzach, które rzucały w obiektyw nienawistne spojrzenia.

- Co byś powiedziała na to? - pytało to jedno, to drugie, a Sara wciąż odpowiadała, że nie wie. Najwidoczniej myśleli, że to znaczy „świetne!”, bo wrywali kartka za kartką.

Usiadła pod lampą z folią na głowie. Joey przyłączył się do szaleństwa Martiki i Tylora i sam zabrał się do wydzierania zdjęć. Sara nie słyszała, co mówią, przyglądała się tylko ich coraz bardziej żywiołowej gestykulacji. Klientki podzieliły się na drużyny i rozgorzała dyskusja w stylu wolnej amerykanki. Sara próbowała coś czytać, udając, że nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Znużona, nawet nie wiedziała, ile minęło czasu, kiedy Joey ogłosił, że dzieło skończone.

- Nie było to łatwe - powiedział tonem zarezerwowanym dla wystąpień przed wręczeniem Oscarów - ale wszyscy się chyba zgodzimy, że efekt wart był wysiłku.

Sara spojrzała w lustro i oniemiała z rozdziawionymi ustami.

Wyglądała... jak z innej planety, tylko tak mogła to określić. Jej popielatosłomkowe z natury włosy mieniły się od złocistych pasemek, jak gdyby biegła przez skąpaną w słońcu łąkę. Wiedział, że ma kręcone włosy, ale teraz miała artystyczne loczki, a nie sterzące kudły, które upodobały ją do Sonica the Hedgehog\*.

Ona też miała za sobą ekscytujący pobyt w kanale aerodynamicznym.

- Długo to się utrzyma? - spytała, podnosząc rękę, ale musnęła tylko aurę swoich włosów, jak gdyby przez dotknięcie ich samych czar mógł prysnąć i znowu stałaby się bidulą o wyglądzie jeża.

- Musisz się tylko nauczyć kilku prostych zabiegów. Dam ci balsam modelujący, będziesz go wcierać przy samej skórze... A potem trochę tej pianki na końcówki... o tak... Musisz je nastroszyć i koniec, prosta sprawa. - Rozpłynął się w uśmiechu. - I rozpowiadaj oczywiście, że czeszesz się tutaj.

\* Sonic the Hedgehog - Jeź Sonic; postać z gier komputerowych.

Martika i Taylor nie mogliby się czuć bardziej dumni, gdyby byli jej rodzicami.

- Chodźmy w miasto - powiedziała Martika, a w takiej chwili Sara nie mogła powiedzieć „nie”.

Taylor zawahał się przekornie.

- Jak to się mówi u nas w marketingu? Jesteśmy na upatrzonych pozycjach. Fryzura na dobry początek - cudnie, ale musimy ustalić dalszy plan gry. - Uśmiechnął się do Martiki.

- Kolacja w „El Torito” z morzem margarity!

- Wchodzę w to. - Martika wzięła pod ramię rozpromienioną Sarę. Spojrzała na kapelusz w jej dłoni, chwyciła go bez słowa i cisnęła do kiczowatego srebrnego pojemnika na śmieci.

- Co zrobiłaś?

Judith patrzyła, jak Sara spokojnie je swoją sałatkę, na jej mieniące się w popołudniowym słońcu platynowomiodowe blond włosy.

- Zerwałam z Benjaminem.

- A to się stało przed twoim histerycznym popisem w agencji czy po nim? Bo jeśli przed, to mogłabym ponegocjować, żeby przyjęli cię z powrotem. Chwilowa niepoczytalność byłaby jakimś usprawiedliwieniem. Becky sama jest w emocjonalnym dołku, więc pewnie by ci trochę odpuściła, zwłaszcza że brakuje jej rąk do pracy...

- Nie chcę tam wracać. Przepraszam, Judith, jeśli to nadszarpięło twoją opinię.

Judith wygładziła serwetkę na kolanach, patrząc w okno.

- Wywołało pewne poruszenie... Dałam ci przecież rekomendacje.

- Przepraszam, ale nie mogłam pracować dla tej upiornej baby ani dnia dłużej. Kazała mi wyczyścić kocią kuwetę, Jude. Uwierz mi, ta kobieta to jakiś koszmar.

- Ale mogłaś to rozegrać mądrzej. - Judith przekonywała ją łagodnym głosem. - Mogłaś się po prostu nie zgodzić.

- Uff... Chyba nie jesteś w stanie tego zrozumieć.

- Pracuję tam. Wszyscy mamy koszmarnych szefów. Trzeba płacić...

- Tylko nie mów: płacić frycowe - Sara przerwała jej dziwnie twardym głosem. - Nie żartuję. Zacznę krzyczeć.

- Saro, co w ciebie wstąpiło? Najpierw awantura w agencji, potem zerwanie z Benjaminem - swoją drogą, o co wam tak naprawdę poszło?

- On jednak jest skurwielem. I nawet nie próbuj mnie przekonywać, że nie mam racji.

- Ale o co chodzi? - Judith patrzyła na nią z bezbrzeżnym zdumieniem.

Sara przełożyła listek radicchio z jednej strony wielkiego białego talerza na drugą. Wyglądała z tymi włosami jak znudzona gwiazdka filmowa, zauważyła Judith.

- O to chodzi, że jest cholernie niewrażliwy. Ja tu haruję dwadzieścia cztery godziny na dobę, a on... jedyne, co ma do powiedzenia, to to, że muszę zapłacić frycove i być twarda. Wszystko, co do tej pory robiłam, było z myślą o nim. Wszystko po to, żeby przekonać go, że nie popełni błędu, żeniąc się ze mną. Możesz w to uwierzyć?

- Nie może być aż tak źle.

- Nie może?

- Przeprowadzka do nowego miasta jest zawsze trudna - a praca w agencji reklamowej w Los Angeles to brutalna rzeczywistość. Straciłaś dystans, ale to nie jest tak, że nie można sobie z tym jakoś poradzić. Mnie się to udaje. Minał rok, odkąd godzę małżeństwo z pracą.

- Naprawdę nie mam pojęcia, jak ty to robisz.

- Wystarczy dobra organizacja i zachowywanie równowagi między najważniejszymi sprawami. Bardzo chciałabym ci jakoś pomóc. Mogę dać ci kontakt do instruktora medytacji...

- Jestem teraz bez pracy, Judith. Nie sądzę, żeby było mnie na to stać.

Judith westchnęła. Gdyby Sara nie była tak negatywnie do wszystkiego nastawiona... Zawsze jest jakieś wyjście z sytuacji.

- Wiesz co? Pożyczę ci książkę, która mogłaby ci pomóc.

- Tak myślisz? - spytała bez entuzjazmu.

- „Siedem nawyków skutecznego działania”. W moim życiu okazała się darem niebios.

- Judith, mogę cię o coś spytać?

- Oczywiście. - Judith uśmiechnęła się, myśląc, że chodzi o książkę.

- Czy ty naprawdę jesteś szczęśliwa?

- Co za pytanie! - Zawahała się. - Oczywiście, że jestem szczęśliwa. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Po prostu... wydaje mi się, że ty zawsze się spieszysz, żeby zdążyć coś zrobić. Wszystko masz dokładnie poukładane i zaplanowane. Założę się, że zapisałaś mnie w kalendarzu jako kolejną rzecz do załatwienia. Wiesz, coś w rodzaju „wyjaśnić, co się dzieje z Sarą” albo „namówić ją, żeby wróciła do pracy”.

- Nie bądź śmieszna - uniosła się Judith. Rzeczywiście miała to na stronie „przyjaciele/rodzina” pod hasłem „udzielić wsparcia emocjonalnego”. Sara zrozumie, gdy przeczyta książkę - nie było sensu mówić o tym teraz.

- Ale chyba masz rację, w pewnym sensie. Pozwoliłam, żeby życie wymknęło mi się spod kontroli. Byłam totalnie skoncentrowana na Benjaminie - co myśli, co może pomyśleć - a potem totalnie skoncentrowałam się na pracy, bo myślałam, że uda mi się dzięki temu udowodnić coś Benjaminowi. Ale koniec z tym. Mam zamiar się trochę zabawić.

- I znaleźć nową pracę - dopowiedziała Judith z niewyraźną miną.

- Spróbuję w agencji prac tymczasowych - powiedziała Sara od niechcenia.

Judith powstrzymała grymas. Miała w swoim dziale kilku „czasowników”. Wszyscy wyglądali na półgłówków. Sara, ze swoim wykształceniem, stanowczo zasługiwała na coś lepszego.

- Ja też się za czymś rozejrzę - obiecała, żałując, że nie może wpisać tego od razu do swojego terminarza. Postanowiła to zrobić, kiedy pójdzie do toalety.

- Znajdę coś, Judith. Nie przejmuj się.

Jedna z nas musi się przejmować.

- Przeczytasz książkę?

- Jasne - westchnęła z uśmiechem. - Skoro na ciebie podziałała tak zbawiennie...

Judith uśmiechnęła się. Tak, na nią ta książka podziałała zbawiennie. Oczywiście, że tak. Oczywiście, że była szczęśliwa.

- Kelner? - Zatrzymała mijającego ich mężczyznę niedbłym gestem ręki. - Poproszę mały kieliszek wina.

- Jesteś gotowa?! - zawołała Martika.

Sara poprawiała swoją wyjściową kreację - obcisłą różową sukienkę na cienkich ramiączkach. Pomyślała, że będzie pasowała do jej nowej fryzury, a jeszcze nie była znoszona. Nie miała co prawda przekonania do tych ramiączek, ale w końcu była w L.A. Do diabła, była nowicjuską w L.A. Mała skąpa sukienka na ramiączkach była chyba tym, o co chodziło.

Wśliznęła się do salonu.

- Ta-daa-aam! - oznajmiła swoje wejście fanfarą, która załamała się w połowie, przechodząc w zakłopotany jęk.

Martika była w sukience z winylowego materiału, która ledwie zakrywała jej owłosienie łonowe i opinała ciało jak druga skóra. Na nogach miała skórzane botki do kolan, osadzone na niebotycznych czarnych platformach. Jej włosy tworzyły nad głową krwistoczerwoną aureolę, przy której Firestarter\* wyglądała jak Alfalfa\*\*. Brakowało jej tylko pejsza i zapinanej na suwak maski.

Sara rozejrzała się po pokoju. Uff... Nie, nie zauważyła żadnych podejrzanych akcesoriów.

Martika obrzuciła ją pogardliwym wzrokiem.

- Mówiłam ci przecież, że idziemy do klubu gotyckiego.

Sara mimowolnie wstrzymała oddech.

- Hm. Chodź, może mogłabym ci coś pożyczyć. - Złapała ją za rękę i zaciągnęła do swojego pokoju. W porównaniu ze względny porządkiem u Sary sypialnia Martiki wyglądała jak pole bitwy. Martika podeszła do szafy.

- Poczekaj... to musi być coś małego -jesteś niższa, prawda?

- Metr sześćdziesiąt osiem. Przeciętny wzrost.

Martika zaśmiała się.

- Przeciętność nie jest tym, do czego należy dążyć, kochanie... O! Mamy coś. - Podała jej gładką supermini i luźny biały top z napisem z maleńkich kryształków „chłopcy są do chrza-

\* Podpalaczka z powieści Stephena Kinga zatytułowanej „Firestarter” i jej ekranizacji - ośmioletnia dziewczynka obdarzona zdolnością pirokinezy.

\*\* Alfalfa - piegowaty chłopiec o wielkich oczach i przylizanej fryzurze; bohater popularnego serialu komediowego „The Little Rascals” (Łobuziaki).

nu". - Z takim wyglądem małej dziewczynki trzeba się wyzywająco ubierać.

- Kto tak powiedział? Betsey Johnson\*?

Martika znów się zaśmiała. Wyglądała jak jakaś szatańska, przewrotna Nemezys z „Wonder Woman”\*\*.

- No, wkładaj to. I zrób sobie makijaż.

- Mam już makijaż!

Martika przewróciła oczami i poszła za nią do łazienki.

- Na litość boską, nie chodzi o naturalny makijaż - idziemy do klubu nocnego!

Sara mruknęła coś pod nosem. Minispódnica sięgała jej prawie do kolan. Góra też była przydługa i Sara musiała powstrzymać Martikę przed skróceniem jej nożyczkami.

- Może włożyłabyś ażurowy top...

- Nie! - Sara skrzyżowała ręce na piersi.

- No dobrze, w porządku, siostró.

Pół godziny później, z imponującą tapetą firmy Urban Decay i taką ilością tuszu na powiekach, że Kleopatra wypadłaby przy niej blado, Sara, chwając się na swoich najwyższych obcasach, usłyszała, że wygląda wystarczająco „kurewsko”.

- Myśl sobie tylko: luz... i głowa do góry...

Zamiast myśleć: ostry, dręczący ból. Sara pokuściła się za nią posłusznie.

- Zabieramy Taylora i jedziemy do „Perversion”. Boże! Kiedy ja tam ostatnio byłam?

Wsiadły do Martikamobilu i podjechały pod dom Taylora, a potem ruszyły do Hollywood. Sara, jak zwykle gdy Martika demonstrowała własną wersję ofensywnej jazdy, trzęsła się ze strachu.

Kiedy zaparkowali samochód, odmówiła krótką modlitwę dziękczynną za to, że dojechała w jednym kawałku, i ruszyła za Taylorem, ubranym w krótkie spodnie w stylu tyrolskim, z materiału przypominającego gumę. On i Martika, bogini wojny w czarnym winylu, wyglądali jak para wampirów, zauważyła Sara. Ona musiała być małą dziewczynką o jasnych

Betsey Johnson - projektantka ekstrawaganckiej, wyzywająco seksowej odzieży w kiczowatym stylu.

Wonder Woman - waleczna Amazonka Diana; postać z komiksu i jego telewizyjnej ekranizacji.



włosach, którą przemienił Lestat \*. Parsknęła na tę myśl tłumionym śmiechem, ale mina jej zrzędała, gdy zobaczyła kolejkę przed wejściem do klubu.

O mój Boże! Najwidoczniej wici dotarły do innych wampirów, bo stawiło się ich całe pospolite ruszenie. W zbity tłum nie dałoby się wetknąć szpilki, nie ocierając się o kogoś w czarnym stroju, o bladej cerze i obłądnym spojrzeniu. Sara odruchowo przysunęła się do Martiki.

- Nie jest tak źle - mruknęła Martika. - Głowa do góry!

Martika i Taylor spokojnie rozmawiali, podczas gdy kolejka powoli przesuwała się do przodu. Przywitał ich olbrzym w żółtej koszuli z drukowanym napisem „ochrona”, dla tych, którzy sami by się nie domyślili. Miał na uszach słuchawki z mikrofonem, podobne do tych, które nosiła Madonna podczas trasy koncertowej „Blond Ambition”.

- Dowód?

Sara wyjęła posłusznie swoje okropne prawo jazdy. Mężczyzna spojrział na zdjęcie, potem na jej twarz. Spodziewała się jakiegoś celnego komentarza w stylu: „Krewna Tammy Faye Baker\*\*”, ale machnął tylko ręką w kierunku drzwi. Zapłaciła za wstęp i weszła za Martika i Taylorem do wielkiego, mrocznego holu.

Pierwszą rzeczą, która ją poraziła, była muzyka, i to niemal dosłownie, z siłą kanonady artyleryjskiej.

Martika kiwnęła brodą w stronę baru i z pantomimicznym zacięciem pokazała, że idą się napić.

Sara wzruszyła ramionami.

- Może być woda?! - ryknęła jej do ucha.

Martika spojrzała na Taylora, przewróciła oczami i zaciągnęła Sarę do baru. Krzyknęła coś do barmana. Po chwili Sara została bezceremonialnie uraczona wódką z sokiem żurawinowym, za którą zapłaciła Martika.

- Za twoją pierwszą noc w klubie! - powiedziała, stukając się z nią szklanką.

\* Lestat - tytułowy bohater „Wywiadu z wampirem” w reżyserii Neila Jordana, ekranizacji powieści Anny Rice.

\*\* Tammy Faye Baker - wzorowa żona i prawa ręka Jima Bakera, pioniera teleewangelizmu. Wspólnie prowadzili program religijny, dopóki nie stali się bohaterami skandalu korupcyjnego.

Sara kiwnęła niepewnie głową i pociągnęła łyk drinka. Soku zurawinowego było w nim chyba tylko tyle, żeby zmienić kolor. Barman puścił do niej oko. Odwróciła szybko głowę.

Martika, opróżniwszy swoją szklanekę, lustrowała parkiet. Widać było, że aż rwie się do tańca.

- Chodź, no chodź! - niecierpliwie ponaglała Sarę.

Sara zmęczyła resztę drinka, potem walczyła przez moment z atakiem kaszlu. Wciąż paliło ją w piersi, kiedy Taylor z Martiką wyciągnęli ją na parkiet. Oboje zaczęli tańczyć w rytm ostrego, elektronicznego łomotu. Śpiewał chyba mężczyzna... tak gardłowo i chrapliwie, że przypominało to jakąś odmianę niemieckiego. Nie była w stanie wychwycić słów, ale tekst miał raczej drugorzędne znaczenie.

Taylor i Martika szaleli jak w transie. Sara miała świadomość, że ledwie przebiera nogami. I ciągle ktoś ją potraçał. Poczwała mocne szturchnięcie w bok.

- Hej!

Odwróciła się i zobaczyła wpatrującego się w nią mężczyznę. Jedno oko miał białe, a drugie czerwone.

- Przepraszam - mruknęła i odwróciła się w popłochu.

Na parkiecie było coraz tłoczniej. Martika i Taylor tańczyli blisko siebie, ku zdumieniu Sary... naprawdę bardzo blisko. Nikt inny nie zwracał na to uwagi. Pozostali tańczący ocierali się o siebie w parach, jak Martika i Taylor, albo podrygiwali z agresywną pasją, całkowicie aseksualnie, jakby to był jakiś pogański rytuał. Sara, której dreptanie przypominało szkolną wersję two-stepa, skupiona głównie na tym, żeby nie dać się poturbować, czuła się nieswojo. Na sygnał Martiki, że idą do baru, ruszyła za nimi z ulgą.

- I jak?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami.

Martika westchnęła, a przynajmniej wyglądało na to, że westchnęła. W charakterystyczny sposób zafalował jej biust i opadły ramiona.

- Saro, nie możesz dać sobie trochę luzu i chociaż spróbować się zabawić?

- Staram się! - krzyknęła i wbiła wzrok w swoją szklanekę.

- Jakoś tego nie widać. Jesteś wolna! Nie będziesz się więcej zadawać z tym skretyniałym neandertalczykiem! I wierz mi, ten Palant dobrze zdaje sobie z tego sprawę.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Sara momentalnie uniosła brodę.

- Czy ty naprawdę myślisz, że on się tam dla ciebie umartwia? Sara zrobiła wielkie oczy. Nie pomyślała o tym.

Poszła na parkiet z zawziętą miną. Zamknęła oczy, starając się wczuć w muzykę, która do tej pory tylko ją ogłuszała. Wprawiła w ruch ciało z agresywną zmysłowością... biodra, piersi, wszystko. Martika miała rację. Nie będzie się umartwiać dla tego... tego skretyniałego neandertalczyka! Jeśli on włączy się po jakichś barach, obija w biurze z kumplami, to ona też może się zabawić - w czymś, co Benjamin nazwałby jaskinią występku. I nic mu do tego!

Zauważyła mężczyznę, tańczącego niewiele dalej, który wyraźnie się na nią gapił. Był na swój sposób atrakcyjny, oczywiście w wampirowatym stylu... długie ciemne włosy, woskoworóżowa cera. Przynajmniej oczy miał normalnego koloru, co, jak się przekonała, nie było takie oczywiste. Odwróciła wzrok, nie przerywając zmysłowego tańca, a kiedy znów na niego zerknęła, wciąż się gapił.

Nie, więcej niż gapił. On wyraźnie zmierzał w jej stronę.

Spokojnie, bez nerwów, myślała, tańcząc dalej. Nie musiała przecież iść z nim do łóżka, nic z tych rzeczy. Po prostu tańczyć. To niczym nie grozi. Zauważyła, że powoli cofa się przed nim, i nagle zatrzymała się, tańcząc dalej w miejscu, pozwalając, żeby się do niej zbliżył.

Powiedział coś. Przestała tańczyć.

- Co? - spytała bezgłośnie. Pomyślała, że to seksowniejsze od wrzeszczenia. Nie żeby miała uprawiać z nim seks, w końcu nie była Martiką!

Zmarszczył czoło i powtórzył to. Nie było szansy dogadać się seksownie.

- Co?! - wrzasnęła.

Pochylił się nad jej uchem.

- Powiedziałem, że już dwa razy nadepnęłaś mojej dziewczynie na nogę. Mogłabyś trochę uważać?

- O Boże. - Cofnęła się z wytrzeszczonymi oczami.

Przysunął się do kobiety o długich kruczoczarnych włosach, z dwoma siwymi pasemkami a la narieczona Frankensteina. Masowała stopę i patrzyła na Sarę wściekłym wzrokiem.

- Przepraszam! Przepraszam - powiedziała Sara, rozkładając ręce, niczym Mojżesz uspokajający morze.

Kobieta kiwnęła niechętnie głową, a Sara natychmiast wycofała się do baru. Stała tam, wypatrując Martiki. Na szczęście Martika była niedaleko.

- Co ci powiedział ten facet? - spytała tonem matki kwoki.  
- Skopię mu tyłek!

- Martika, ja muszę wracać do domu.

- Do domu?! Jest dopiero północ! Godzinę temu przyszlismy.

- Wiem, ale... Ja po prostu... muszę bardzo wcześnie wstać.

- Żeby co robić? - Martika nie spuszczała z niej podejrzliwego wzroku.

- Muszę iść do agencji pracy tymczasowej - wymyśliła rozsądną wymówkę. - Czynsz sam się nie zapłaci, rozumiesz.

- Możesz iść do agencji w poniedziałek, dobrze o tym wiesz.

- Proszę...

Martika patrzyła na nią przez chwilę, w końcu wydała przeciągłe, znaczące westchnienie.

- Powiem Taylorowi. Stracić taką imprezę! Będziesz mi to dłużna.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

## *Roadhouse Blues (Motelowy Blues)*

Judith miała w swoim domowym gabinecie ciężkie, wykwintne mahoniowe biurko. Szukała go z Davidem przez cztery miesiące, a zdecydowali się je kupić tuż po tym, jak David został przyjęty do kancelarii MacManusa. David szybko się zmęczył dźwiganiem ciężkich akt z biura do domu, i prawie przestał go używać. Judith przynosiła od czasu do czasu jakieś materiały z agencji, ale teraz miała sprawny zespół i tak dobrze nad wszystkim panowała, że jedyne, co musiała zrobić po powrocie do domu, to wejść do Sieci. Podjęła kilka kursów dokształcających w trybie internetowym, co było dużo wygodniejsze niż, tak jak w zeszłym roku, jeżdżenie na Uniwersytet Kalifornijski. Teraz szukała czegoś nowego, na co mogłaby się zapisać, tymczasem miała coś, co „Newsweek” nazywał „cyberspołecznością”. Komputer szumił pogodnie, gdy jej palce biegały po klawiaturze, a każde uderzenie klawisza brzmiało jak błyskawiczna seria z karabinu maszynowego.

Zadowolona z szybkości połączenia, zgłosiła się do swojej ulubionej grupy dyskusyjnej „Ludzie aktywni” - grupy związanej rzekomo dla profesjonalistów szukających metod skutoczniejszego gospodarowania swoim czasem, która z czasem przekształciła się w skrzyżowanie wolnego forum dyskusyjnego z kawiarnianym spędem starych znajomych. Wystukała powitanie i dostała chórek odpowiedzi.

*Feyn: Cześć, Judith23!*

*Isabella749: Witaj, Judith.*

*Roger: Hej, Judith. :)*

*Ms.\_\_sexy\_\_exec: Cześć @!*

*Ms.\_\_sexy\_\_exec: Sorry! LOL.*

Przejrzała kilka linijek rozmowy, w którą się włączyła: Feyn, jak zwykle, przynudzał. Roger pisał krótko i smętnie. Isabella opowiadała o tym, jak siedzi w domu ze swoim dzieckiem. Kobieta występująca pod dość komicznym przydomkiem „Ms\_\_sexy” próbowała uwodzić Feyna (który zdaniem Judith niekoniecznie był mężczyzną) i Rogera. Feyn był zbyt zajęty przynudzaniem, Roger delikatnie flirtował.

- Trochę dziś pusto - wystukała Judith.

*Feyn: Tak. Ale jest dopiero wtorek.*

*Roger: Jak leci, Judith?*

Zastanowiła się nad tym. W pracy wszystko się układało, wróciła w końcu do medytacji, zdołała odstawić do warsztatu samochód Davida i wcisnąć do swojego terminarza wizytę u ginekologa. Gdyby szukała jakiegoś porównania, jej życie było dobrze naoliwioną maszyną.

- Niespełnialnie - odpowiedziała po chwili.

*Isabella749: Dlaczego?*

*Feyn: Mówię ci, cyberspołeczności naprawdę zastępują bezpośrednie kontakty towarzyskie, i bardzo się z tego cieszę.*

*Roger: Wszystko TO porządku, Judith?*

*Ms\_\_sexy\_\_exec: Roger - co masz na sobie?*

Judith przeczytała odpowiedzi. Feyn i Sexy byli pochłonięci własną rozmową, co było jej na rękę.

- Mam przyjaciółkę, która zadała mi dziwaczne pytanie. Chciała wiedzieć, czy jestem szczęśliwa.

*Isabella749: A wydaje ci się, że nie jesteś?*

*Feyn: Mnóstwo znajomych mówi mi, że jestem kompletnie porąbany, bo mam tylko przyjaciół w Sieci.*

*Roger: Co jej odpowiedziałaś?*

*Ms. \_\_sexy\_\_exec: Myślałam, czyby się nie załapać na randkę w Sieci. Co wy na to, Roger, Feyn?*

- W tym rzecz - napisała Judith. - Powiedziałam, że jestem szczęśliwa, ale zaczęłam się zastanawiać. Wcześniej nigdy o tym nie myślałam. - Wysłała odpowiedź i szybko wystukała następne pytanie. - A wy jesteście szczęśliwi?

*Roger: Właściwie mógłbym powiedzieć, że tak. Zdarzają się złe rzeczy, ale wszystko zależy od tego, jak się do nich odniesiesz.*

*Isabella749: Miałam okresy, kiedy byłam nieszczęśliwa, ale odkryłam paxsela. Rewelacja... Błyskawicznie podnosi nastrój. A wy coś bierzecie - jakieś prochy?*

*Feyn: )a jestem bardzo szczęśliwy! Nie wiem, dlaczego niektórzy ludzie uważają, że kontakty twarzą w twarz to jedyny sposób na życie towarzyskie!*

*Ms. \_\_sexy\_\_exec: Co? Kto jest nieszczęśliwy?*

Judith westchnęła. I nastał czas chaosu.

Isabella - nie, nie biorę prochów. Roger - zgadzam się z tobą, wszystko jest sprawą wyboru. Feyn - racja, cyberżycie towarzyskie jest równie dobre. Sexy - nikt nie jest nieszczęśliwy.

*Isabella749: jeżeli nie jesteś na prochach, polecam paxsel. Jest naprawdę dobry, niezbyt ciężki, nie powoduje takiego uczucia sennaści jak to, co przepisywali w latach 80.*

*Feyn: Chciałem powiedzieć, że jesteście moimi najbliższymi przyjaciółmi. No, może nie wszyscy z was.*

*Ms. \_\_sexy\_\_exec: Robi się nudno. Zmieniam czata. // pa.*

Judith żałowała, że w ogóle poruszyła ten temat.

Jej komputer zabzyczał perliście i na monitorze pokazało się okienko z nową wiadomością. Od Rogera.

*Roger: Cześć. Przykro mi, jeśli poczułaś się niezręcznie. Jak nastrój?*

- W porządku. - Lubiła Rogera, chociaż niewiele o nim

wiedziała. Był lekarzem z Atlanty, prowadził bujne życie towarzyskie. To on, przypomniała sobie teraz, poradził jej zastąpienie profesjonalnym terminarzem systemu, którego używała wcześniej.

*Roger: Na pewno? W pracy bez kłopotów? Słyszałem, że agencje reklamowe to poganiacze niewolników.*

Potarła oczy.

- Rzeczywiście, jest ciężko. To znaczy, ja sobie świetnie radzę, ale dojadła mi przyjaciółka... Załatwiłam jej pracę, a ona ją nagle rzuciła. W dość spektakularny sposób. Ludzie mają teraz o czym gadać.

*Roger: (((Uściski))) To niewesoło. Przykro mi.*

- Nie jest tak źle. - Uśmiechnęła się.

Kilka znanych jej osób włączyło się do gorączkowej debaty nad tym, czy Feyn, ze swoimi cyberskłonnościami i brakiem pewności siebie, powinien brać jakieś leki albo przynajmniej poddać się resocjalizacji. Podzielili się na zwolenników i przeciwników stosowania środków antydepresyjnych i opowiadali o tym, jak długo sami korzystali z terapii. Jako że jej rodzina nigdy nie poddawała się terapii, wątpiła, czy miałyby w tej dyskusji coś do dorzucenia.

*Roger: Więc co się wydarzyło?*

- Jedna z naszych s/.cfowych dała jej solidny wycisk, ale to jeszcze nie powód, żeby rzucać w taki sposób pracę. Poza tym każdemu zdarza się pracować po nocach, jeśli to konieczne.

*Roger: Nawet tobie?*

- Zwłaszcza mnie.

*Roger: Mam wrażenie, że jesteś bardziej zestresowana, niż dajesz to po sobie poznać. Dlatego jej pytanie tak bardzo cię zaszokowało.*



Zmroziła ją ta uwaga. Nigdy nie miała skłonności do uzewnętrzniania uczuć - w przeciwieństwie do niektórych jej współpracowników, którzy obnosili się ze swoim obłąkanym wyrazem twarzy jak z orderem. Tak, mówiły ich oczy, naprawdę jestem tak niesamowicie zapracowany i ważny, że aż bliski szaleństwa. To nie w stylu Judith. Ona wolała być chłodna, kompetentna, opanowana.

- Dlaczego tak sądzisz? - wystukała, zamiast zwykłej wymijającej odpowiedzi. Roger miewał ciekawe spostrzeżenia - może zauważył coś, o czym ona nie pomyślała.

*Roger: Sposób, w jaki ubierasz rzeczy w słowa. Chłodny, wyważony.*

- Staram się.

*Roger: Tego typu ludzie mają zwykle różne własne demony, tylko trzymają je na uwięzi.*

- Ja nie! - powiedziała głośno i zaczęła pisać, ale natychmiast to usunęła. - Interesująca teoria - wysłała w zamian.

*Roger: Ja lubię prywatne demony. Są ciekawsze od fasady, która je chroni. Mam przeczucie, że jesteś ciekawą osobą, Judith.*

Judith przeczytała to kilka razy, oceniając jego ton. Pamiętała, jak flirtował z innymi, nic poważnego, i zwykle z inicjatywy drugiej strony. Czy to było flirtowanie? Od tak dawna nie zdarzyło jej się nic podobnego, że nawet nie wiedziała, czy powinna być zaniepokojona, czy tylko rozbawiona.

- Ty mnie chyba podrywasz?

*Roger: LOL! A skutecznie? :)*

Roześmiała się, potem zerknęła za siebie, jak gdyby David wszedł niezauważony do domu i stał nad jej głową, krzywiąc się z naganą.

- To mi bardzo pochlebia, ale mój mąż nie byłby zachwycony.

*Roger: Ja jestem w Atlancie, a ty w LA. Szansa na potajemny romans wydaje się raczej... wątpliwa?*

Judith sposepniała. Miał rację, oczywiście. Była śmieszna. Dzieliło ich ponad pięć tysięcy kilometrów. Nawet jeżeli z nią flirtował, to jakie to miało znaczenie?

*Roger: Judith? Przepraszam. Nie chciałem wprawić cię w zakłopotanie. To tylko Internet. Jeśli nie muszę rozmawiać z ludźmi, to coś jakby nie istnieje. Naprawdę przepraszam, jesteśmy przyjaciółmi?*

Nagle poczuła się głupio.

- Oczywiście. Uwodzenie na odległość... jakoś znajdę siłę, żeby się oprzeć.

*Roger: LOL!*

Judith uśmiechnęła się. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się tak dobrze.

Sara siedziała przy biurku, w firmie, do której skierowała ją agencja pracy tymczasowej. Dostała przydzielony boks, ze standardowym komputerem, telefonem ze słuchawkami na uszy i przedpotopową maszyną liczącą, taką z rolką papierowej taśmy i korbką. Zerknęła na nowiutki terminarz - ten, na który namówiła ją Judith - rozmyślając nad swoim manifestem programowym, dopóki nie przyszła jej nowa szefowa, żeby powiedzieć, co dokładnie ma do zrobienia. Nic nie mogła na to poradzić, ale czuła się jak uczeń w nowej szkole, kiedy ludzie z sąsiednich boksów albo patrzyli na nią ciekawie, albo kompletnie ignorowali.

Nieważne, co sobie myślą. Zrobię, co mi każą, najlepiej, jak potrafię. Uśmiechnęła się, robiąc maleńki zapisek na właściwej stronie kalendarza.

Najbliższy cel: *zatrudnić się na stałe*. Zawsze chciała spróbować pracy w dziale marketingowym, a ten wyglądał na dobrze prosperujący. Tu mogła zacząć karierę zawodową. Umieściła to na liście celów długofalowych: *konsekwentnie rozwijać karierę zawodową*.

A to pod hasłem „życie osobiste”: *zmienić opcję i ustalić wymagania wobec potencjalnego partnera.*

Podobał jej się ten system, doszła do wniosku, zamykając terminarz na suwak. Dawał jej poczucie ładu.

Wepchnęła go do małego, ergonomicznego plecaka obok torebki z lunchem. Wyglądał bardziej niezobowiązująco niż służbowa aktówka, ale jakoś nie odniosła wrażenia, żeby profesjonalizm był tutaj szczególnie premiowany. Zauważyła, że jest ubrana bardziej oficjalnie niż większość pracowników, którzy mieli na sobie mundurki w stylu „biurowy luz”, składające się ze spodni khaki, identycznych dla obu płci, i koszulek polo. Nie była pewna, czym większość tych ludzi się zajmowała, ale w przeciwieństwie do tego, co widziała w agencji, nie wyglądali na specjalnie zagonionych.

Samo biuro przypominało wszystkie inne biura, w których dotąd pracowała: ludzie siedzieli jak kostki lodu w ciasnych boksach. Ozdabiali je zdjęciami i obrazkami, które nadając im jakiś osobisty rys, tworzyły z trzech ścian namiastkę domu. Sara spojrzała na przeciwległy boks. Zastanawiała się, jakim cudem kobieta w jaskrawej bluzce w tygrysie paski i złocistych spodniach mieściła się w swojej koszmarnej zagraconej klatce. Każdy centymetr kwadratowy powierzchni zajmowały jakieś gadzety, przypięte do ściany albo gnieźdzące się na półce. Musiała tu pracować od lat.

- Saro?

Podniosła szybko wzrok z poczuciem winy za swoje wścibstwo.

- Tak?

- Cieszę się, że przyszedłeś punktualnie. Nazywam się Janice Peccorino. - Gdy wyciągnęła rękę, Sara wstała i wymieniła z nią powitalny uścisk. - Och, jak świetnie wyglądasz!

Sara w zakłopotaniu obciągnęła granatową spódnicę i białą bluzkę. Na oparciu krzesła powiesiła wcześniej żakiet, który był częścią kostiumu. Nic specjalnego, firma Ross, ale w tej niezobowiązującej atmosferze czuła się, jakby miała na sobie suknię balową.

- Dziękuję.

- Niewiele pracujących tu osób ma świadomość, jak się powinno wyglądać w biurze. - Pani Peccorino rzuciła błys-

kawiczne spojrzenie przez ramię na panią Tygrysie Paski i odwróciła się z powrotem do Sary - która zauważyła, że kobieta w tygrysie paski strzeliła lekceważąco palcami.

Sara nie spuszczała odtąd wzroku z Janice, bojąc się, że gdyby wybuchnęła śmiechem, musiałyby się gęsto tłumaczyć. Sama Janice była w różowej imitacji kostiumu Chanel, z czarną lamówką. Jej włosy blond, przy ciemnych brwiach, sugerowały, że ich kolor nie jest w najmniejszym stopniu zasługą natury, lecz wyłącznie produktów Miss Clairol.

- Przepraszam... niewiele mi powiedziano w agencji poza tym, że muszę znać Excel i Powerpoint - bąknęła Sara, zadowolona, że jej głos zabrzmiał pewnie.

- Och, rozumiem. Mamy tu mnóstwo zadań, do których potrzebujemy fachowej pomocy. - Pani Peccorino powiedziała to takim tonem, jakby Sara miała ją ocalić przed utonięciem.

- Wytłumaczę ci, na czym polega pierwsze z nich.

Sara podążyła za nią labiryntem pomalowanych na bury brąz boksów, do rzędu szaf z kartotekami. Janice wskazała stos kartonowych pudeł z dokumentami, ustawionych w trzech rzędach poziomych i trzech pionowych.

- Wszystkie te dokumenty trzeba włączyć do kartotek - powiedziała. - Niestety, jest tego mnóstwo. Może ci to zająć sporo czasu.

Sara gapiła się na kartony. Były to bardzo długie kartony. Musiało być w nich kilkaset teczek.

- I chciałabym, żebyś wszystkie kartoteki dokładnie przejrzała. Wszystko, co ma więcej niż rok, musi być zarchiwizowane.

- Wyciągnęła z hukiem jedną z szuflad.

Teczki były w niej upchane tak ciasno, że Sara zastanawiała się, jak oni to zamkną.

- Wszystkie szuflady wyglądają tak jak ta? - spytała mimowolnie, z przerażeniem w oczach.

- Niestety, obawiam się, że tak.

- A kiedy ostatnio te dokumenty były archiwizowane?

- No cóż... prawdę mówiąc, nie mieliśmy dotąd czasu, a fundusz na prace zlecone...

Innymi słowy - nigdy, pomyślała Sara, czując, że zaczyna ją ścisnąć w żołądku.

Cały dzień spędziła na segregowaniu papierów, kalecząc

sobie palce i przeklinając w duchu. Dobrze, że jestem taka dobra w pracy na komputerze, pomyślała z ironią, znakując dziesiąty wypełniony karton. Przydało się, jak znalazł.

Spojrzała na zegarek. Wpół do pierwszej. Wystarczy? Czuła się, jakby już wyrobiła tygodniową normę.

- Ooo. Dużo tych pudeł.

Podniosła wzrok. Przystojny facet o czarnych włosach i opalonej twarzy uśmiechał się nad jej głową.

- Uhm. Dużo pudeł - zgodziła się bezmyślnie. I jeden słodki facet.

W pierwszym momencie ogarnęło ją niejasne poczucie winy - jakby zdradzała Benjamina. Spojrzała w dół na kartony.

- Pracujesz tu na zlecenie, prawda?

- To widać? - spytała, żałując po chwili, że nie ugryzła się w język.

Zaśmiał się.

- Ten kostium cię zdradza. - Mierzył ją przyjaznym, ale nieco drapieżnym wzrokiem. - Ale wygląda nieźle. Jeżeli mogę to powiedzieć.

- Uhm, dzięki. - Znowu poczucie winy!

- A więc... będziesz później bardzo zajęta?

O mój Boże. Przystojniak chce się ze mną umówić. Poczucie winy przez duże W!

- Eee... co masz na myśli? - usłyszała swój głos. Tylko spokojnie. - Możliwe, że będę zajęta - odpowiedziała wymijająco. No tak. Grała trudną do zdobycia. Poczucie winy nie miało z tym nic wspólnego. Martika udzieliłaby jej pochwały.

- Mogę poczekać. - Oczy miał ciepłe, niemal głodne, chociaż ton jego głosu wydawał się niezobowiązujący, jak wszystko inne w tym biurze. - Mam pewien problem i jestem przekonany, że potrafisz mi pomóc, ale nie chcę cię ponaglać.

Zasepiła się. Pewien problem? Już lecę!

- Zdecydowanie nie lubię być ponaglana - powiedziała egzaltowanym tonem. - W tych sprawach pośpiech jest niewskazany.

- Rozumiem. - Uniósł brwi. - Dobrze wiedzieć, że jesteś taka sumienna.

Poczuła się jak jakaś stara panna, ale wciąż miała dumnie zaciśnięte usta.

- Lepiej, żebyś wiedział teraz. Z góry.
- Nie ma sprawy. - Wzruszył ramionami. - Moje kartoteki stąd nie uciekną.

Nagle Sara poczuła się jak na obcojęzycznym filmie bez napisów.

- Twoje... kartoteki?
- Tak. Muszę opisać mnóstwo teczek. Mój system segregowania tych papierów jest do kitu, a ty zrobiłaś już tyle... Pomyślałem, że mogłabyś mi pomóc.

Aha. Nie chodziło więc o to, co będzie robiła po pracy.

- Och! Nie wiem... ja... Postaram się skończyć jak najszybciej.
- Tak jak mówię - powiedział z rozbawieniem w oczach.
- Bez pośpiechu.

Odszedł, pozwalając Sarze zarumienić się bez świadków.

Na plus mogła zaliczyć to, że nie czuła się już winna. Czuła się po prostu głupio. Niewielki postęp.

- Zerwałam się wcześniej z pracy, żeby przy tym być. To jest moja przyjaciółka, Pink. Nikt nie doradzi ci lepiej w sprawie ciuchów - ona ma absolutnie fantastyczne oko.

Pink uśmiechnęła się skromnie i zdjęła ciemne okulary. Miała na sobie krótki karmazynowy płaszcz, zarzucony na czarny obcisły kostium, którego nie powstydziałaby się Emma Peel \*. Na nogach czarne półbotki. Najbardziej jednak uderzające w jej wyglądzie były włosy - miękkie, w kolorze słodkiego różu, obcięte „na pazia”, z delikatnymi loczkami wokół twarzy. Oczy, jakby dla kontrastu, miała szaroniebieskie, o lodowatym wyrazie.

- Nazywano mnie Pink, zanim pojawiła się piosenkarka o tym pseudonimie - powiedziała, wyciągając rękę. - Z kolorem włosów też byłam pierwsza.

- Miło mi cię poznać. - Sara, która nie miała bladego pojęcia o istnieniu piosenkarki Pink, uprzejmie wymieniła z nią uścisk dłoni.

Pink obeszła ją dokoła, tak jak zrobił to Joey. Potem spojrzała na Martikę.

- To ona rzuciła jakiegoś dupka?
- To długa historia... - zaprotestowała Sara.

\* Emma Peel - bohaterka filmu sensacyjnego „Rewolwer i melonik”.

- Tak - odpowiedziała krótko Martika, piorunując ją wzrokiem.

- Dobra. - Pink coś zanotowała. - A więc... Propozycja wyboru stylu, z założeniem, że rwiemy ostro facetów. Zacznę od zadania ci kilku pytań, wezmę pod uwagę twoją karnację i sylwetkę, i pokażę, jak według mnie powinnaś się nosić.

- Obrzuciła Sarę szybkim, niemal prześwietlającym spojrzeniem. - Niezłe cycki - rzuciła.

Sara spurpurowiała. Teraz Martika parsknęła śmiechem.

- Przypuszczam, że jako biseks mam równie dobre oko, jak inni. Porozmawiajmy o kolorach - powiedziała Pink, podczas gdy Sara zastanawiała się, czy na pewno właściwie zrozumiała pierwsze zdanie. - Jakie kolory najczęściej nosisz? Do jakich kolorów masz słabość?

- Ja, eee... - zaczęła, wciąż oszołomiona jej ostatnią uwagą i tym, że Pink wyjęła ze swojej czarnej lakierowanej torby notatnik i zaczęła wypełniać jakiś formularz. - Lubię kolory pastelowe.

Martika skrzywiła się, ale Pink kiwnęła głową.

- Dobrze. Zawsze to jakiś punkt wyjścia. Jakies konkretne pastelowe?

Sara rozejrzała się po pokoju.

- Niebieski, zielony, lawendowy.

Pink, śledząc jej wzrok, wstała z krzesła.

- Pozwolisz, że wejdę do twojego pokoju? - spytała i weszła. Sara za nią. Pink odsłoniła zasłony i rozejrzała się dookoła.

- Aha. Czyli coś w stylu nenufarów Moneta. Dobra. Więc jesteś typem romantyczki. - Zapisała coś i spojrzała na nią badawczo.

- No dobrze, od tego możemy zacząć. Z czego żyjesz?

- Przymierzam się właśnie do nowej pracy. - Sara znów poczuła się zakłopotana.

- Spytam inaczej. Jaka jesteś w pracy? Co lubisz robić? W czym jesteś dobra?

Zastanawiała się chwilę, już bez zakłopotania. Raczej z ciekawością. Nikt dotąd nie zadawał jej takich pytań. Zwykle było to coś w rodzaju: „Co teraz zamierzasz zrobić ze swoim życiem?”

- Hm. Jaka jestem w pracy? Co lubię? Radzę sobie z kryzysami i pomagam przebrnąć przez nie ludziom. Jestem dobra w gaszeniu pożarów i ułatwianiu życia innym. - Myślała o tym

przez chwilę, w końcu się roześmiała. - To pewnie znaczy, że powinnam nosić hełm strażacki i fartuch.

- Nieszczerólna kompozycja, ale to dopiero początek - powiedziała Pink rzeczowym tonem. - Pytanie numer dwa: seks.

- Seks...?

- No wiesz, jakiego rodzaju facetom chcesz się podobać? Jakie masz upodobania? Co cię kręci? - Zobaczyła konsternację w jej oczach i zachichotała. Potem odwróciła się do Martiki.

- A wiesz, że Tylor miał rację. Ona jest jak Japoneczka z kreskówek, czysta rozkosz.

- Wiem - odpowiedziała z dumą Martika. - Wystarczyłyby odpowiednie ciuchy, odpowiednie miejsca...

- Czuję to. - Pink kiwnęła głową. - A więc, Saro?

- Yyy... Lubię seks. Chyba.

Pink i Martika spojrzały na nią, potem na siebie nawzajem, potem znów na nią.

- Houston, mamy problem. - Pink zaczęła notować coś z furią, a Martika wpatrywała się w nią w milczeniu.

- Co? - Sara próbowała się bronić. - Coja takiego powiedzia-łam?

- Kotku, gdybyś naprawdę lubiła seks... - Martika potrząs-nęła głową. - Nagle cała ta Eddie Bauer nabiera sensu.

Sara nie była pewna, czy czuje się bardziej urażona, czy zmieszana.

- Nie ma sprawy, to żaden problem. Po prostu nie miała jeszcze okazji poczuć bluesa - powiedziała Pink suchym, rzeczowym tonem. - Spokojnie. Może spróbujemy inaczej. Którzy aktorzy najbardziej cię kręcą?

- Eee... - Teraz już naprawdę czuła się zmieszana.

Pink sapnęła niecierpliwie.

- Leonardo di Caprio? Russel Crowe?

- Russel Crowe - powiedziała szybko, czując, że się lekko rumieni, bez żadnego powodu.

- Aha. - Pink zauważyła rumieniec i uśmiechnęła się. - To już coś. Mówimy o Russelu Crowe z „Gładiatora” czy o Rus-selu Crowe z „Zabójczej perfekcji”? - Zauważywszy ciekawe spojrzenie Martiki, wyjaśniła: - No wiesz. Młodszy, szczuplej-szy.



- Z „Gladiatora”. - Pomyślała jeszcze chwilę i uśmiechnęła się pod nosem. - I z „Tajemnic Los Angeles”.

- Jasne - powiedziała z aprobatą Martika.

- Okej. Podobał ci się w parze z Kim Bassinger? Albo z tym rudym kociakiem z „Gladiatora”?

- Nie. To znaczy... w porządku, że z nimi zagrał, był bohaterem i w ogóle, ale tak naprawdę, wydaje mi się, że ten typ kobiet do niego nie pasuje.

- Więc kto według ciebie byłby dla niego idealną partnerką? - drażyla Pink.

To było nawet zabawne. Dziwaczne, ale zabawne. Cieszyła się, że przestały rozmawiać o ciuchach.

- Nie wiem. Myślę, że chciałabym go zobaczyć z... hm... nie z Gwyneth Paltrow.

- Boże, tego by brakowało - wtrąciła Martika, ale Pink ją łagodnie uciszyła.

- Niech to samo z niej wyjdzie.

- Nie Sandra Bullock... nie Jenna Elfman... nie Meg Ryan...

- Dzięki ci, Boże.

- Martika! - upomniała ją ostro Pink.

- Przepraszam.

Sara myślała dalej, jakby ich nie słysząc.

- Czy on nie romansował kiedyś z Nicole Kidman? - spytała nagłe. - Tak, ona byłaby idealna. Nicole Kidman.

- Nicole Kidman z „Szybki jak błyskawica” czy Nicole Kidman z „Oczy szeroko zamknięte”?

- Nicole Kidman z „Totalnej magii” - odpowiedziała z uśmiechem.

- Aha. Dziewczyna jest dobra w te klocki. Czy ona zna Kita? - Pink rozpromieniła się, jak gdyby już widziała Sarę w innym stroju. - Myślę, że wiem, jaki styl będzie do ciebie pasował. Wstań jeszcze raz.

Pink wyjęła z torby taśmę krawiecką i zdjęła wszystkie wymiary Sary.

- Teraz porozmawiajmy o twoich możliwościach finansowych...

- Uhm, żeby zdecydować, na ile chcę zaszaleć, muszę wiedzieć, jaki styl masz na myśli - powiedziała Sara, nie przejmując się tym, że Martika kręciła wymownie głową. - Nie

przepuszczę wszystkich pieniędzy na nowe ciuchy. To po prostu nie wchodzi w grę.

Pink odwróciła się do Martiki z drapieżnym zaciekawieniem w oczach.

- Powiedz, co to za suma, której ona nie przepuści?

- Jakieś pięć kawałków, pi razy oko.

- Na pewno mogłabym jej sprawie dobrą bazę... potem można ją wypełnić tanioczą, ale na dobrą, solidną bazę nie warto żałować pieniędzy.

Martika zrobiła małą rundę po pokoju, demonstrując swój krwistoczerwony jedwabny kostium.

- Co powiesz na to?

- Pięć tysięcy dolarów? - Sara prawie tupnęła nogą. - Nie mam zamiaru wydać aż tylu pieniędzy! Nie mam nawet stałej pracy!

- Hm. - Pink spojrzała na Martikę. - Nie wygląda na aż tak napaloną, jak mówiłaś.

- Dojrzeje - zapewniła Martika i zaciągnęła Sarę do kuchni pod pretekstem przyniesienia Pink szklanki wody. - Co z tobą? Przecież nikt ci nie każe wydać tych pieniędzy jednego dnia. Zresztą masz chyba jakieś karty kredytowe, co?

- Nie wydam pięciu tysięcy dolarów na ciuchy!

- To nie byłyby tylko ciuchy! - zawołała Pink z salonu. - Z tego, co widzę, do listy trzeba dorzucić dodatki i kosmetyki.

Sara jęknęła, kryjąc w dłoniach twarz.

- Posłuchaj, Pink wyświadczyła mi uprzejmość, przychodząc tutaj - zaczęła Martika ostrzejszym tonem. - Powiedziałaś, że chcesz się zmienić. To prawda czy tylko zwykły kit?

- To po prostu... za wiele. Za szybko. Zrobię kilka rzeczy, ale nie chcę totalnej rewolucji, okej?

Martika warknęła ze złości i obie wróciły do salonu.

- Myślę, że najpierw przyjrę się twojej propozycji, a potem się zastanowię, na co mnie stać - powiedziała dyplomatycznie Sara.

- Co za trąba - powiedział Martika, niweczając w jednej sekundzie cały jej wysiłek.

Pink, kiwając głową, rzuciła Sarze troskliwe spojrzenie.

- Nowa sytuacja, rozumiem. To może być traumatyczne, a nie każdy potrafi od razu pójść na całość.

Jak Martika i ja, dopowiedziała Sara w myślach.

- Wiesz co - ciągnęła Pink - może sprawimy ci jeden wyjściowy strój i jakiś zestaw do makijażu, a potem zdecydujesz, czy to była inwestycja warta zachodu.

- Zgoda - odpowiedziała, szybko dodając: - Ale chciałabym się ograniczyć... - wykonała w myślach kalkulację - do dwustu dolarów.

Pink zerknęła na Martikę, która przewróciła oczami.

- Hm. W takim razie zacznijmy od makijażu. Może być najbliższa sobota? Świetnie.

Sara już miała zaprotestować - dwieście dolarów na zestaw do makijażu? Ale powstrzymało ją piorunujące spojrzenie Martiki.

Pink podniosła się i skierowała do drzwi. Sara oniemiała ze zdziwienia, gdy stylistka o fryzurze Mary-Kay\* posłała jej słodkie cmoknięcie na odległość.

- Nie martw się, dziewczynko, nasza w tym głowa, żebyś wyglądała -jak by powiedział Taylor - zniewalająco zajebiście. - Uśmiechnęła się i założyła okulary przeciwsłoneczne. - Ciao.

Martika, zamknąwszy drzwi, odwróciła się do Sary:

- Hej, co jest grane? Powiedziałaś, że wybiłaś go sobie z głowy!

- Kogo, Benjamina? - Zamrugała nerwowo. - Oczywiście, że tak!

- Jeżeli wybiłaś go sobie z głowy - Martika skrzyżowała ręce na piersi - to co za sprawa zmienić wygląd?

- Martika, pięć tysięcy dolarów to jest wielka sprawa. A może wolisz, żebym nie płaciła czynszu?

- Spokojnie zapłacisz czynsz. Masz karty kredytowe, więc mogłabyś przynajmniej zacząć. Tu nie chodzi o pieniądze.

- Może nie jestem gotowa... To wszystko dzieje się za szybko! Martika patrzyła na nią z beznadziejną irytacją.

- Tutaj życie toczy się szybciej niż na farmie, panienko. Może zechcesz to przemyśleć.

Kiedy ruszyła do swojego pokoju, Sara pokazała jej język za plecami.

\* Mary-Kay - zagrana przez Penelope Ann Miller bohaterka filmu telewizyjnego „Mary-Kay Letourneau Story: All American Girl”.

- Widziałam to! - Martika odwróciła się ze zbójcekim uśmiechem. - Martika wie wszystko i wszystko widzi. I wierz mi, któregoś dnia mi podziękujesz.

Sara wzięła głęboki oddech. Była tu już prawie miesiąc i mogła sobie uczciwie powiedzieć, że nie zrobiła wrażenia na nikim ani też nie zbliżyła się o krok do osiągnięcia najpilniejszego celu, jakim było znalezienie stałej pracy. Powinna -jak to było? „Poszerzyć swoją sferę wpływów” czy jakoś tak?

W każdym razie naprawdę powinna się sprężyć. W tej firmie miała duże szanse, gdyby tylko wykazała choć odrobinę inicjatywy.

Szansę na pocięte papierem palce, jasne, usłyszała w głowie głos doradzającej jej Martiki.

Zamknęła oczy. Okej, naprawdę nie potrzebowała wysłuchiwać żadnych głosów.

- Saro? Dobrze się czujesz?

Podniosła głowę. To była Janice, patrząca na nią z mieszaną uprzejmości i niepokoju.

Wyglądało na to, że nie jest to dobry dzień na osiągnięcie któregośkolwiek z celów.

Nie, nie, to nie jest właściwa postawa! Skup się i myśl pozytywnie!

No nieźle, teraz głos Judith... To było jak pojedynek opiekunów - Judith w grzecznym białym kostiumie, trzymająca złoty terminarz zamiast harfy, naprzeciw Martiki w czerwonej winylowej sukience, uzbrojonej w widły i szeroki uśmiech.

Okej, są i wizje.

- Saro?

Spojrzała na Janice.

- Przepraszam. Jestem dzisiaj trochę skołowana. Próbowałam sobie przypomnieć, czy mam jeszcze coś do zrobienia dla Jeremy'ego.

Pani Peccorino uniosła lekko brew.

- To znaczy dla pana Andersona.

- Oczywiście.

- Nie kazał ci chyba zrobić... zbyt dużo?

Sara patrzyła na nią, jakby nie pojmując sensu pytania.

- Czy ja wiem? Było mnóstwo kartotek...

Pani Peccorino wciąż się jej bacznie przyglądała, w końcu westchnęła.

- No nic. Masz trochę czasu, żeby popracować nad pewnym projektem? Uratowałabyś mi życie.

Sara uśmiechnęła się. Aha! Okazja, na którą czekała!

- Oczywiście. Nie mam nic takiego, czego nie można by... eee... przełożyć na później. - Co brzmiało lepiej niż „całe to dziadostwo, którym się teraz zajmuję, to i tak głupiego robota”.

- Wspaniale! - Pani Peccorino potruchtała gdzieś i wróciła z naręczem pozszywanych papierów. - Chciałabym, żebyś dane z tych raportów wprowadziła do arkusza kalkulacyjnego. Nie musisz ustawiać tabel, są już zrobione.

Sara spojrzała na imponujący stos teczek, wysokości metra.

- Dobrze.

- I jeszcze coś. Może wymagam zbyt dużo, ale... to są dokumenty budżetowe. Jeśli zauważysz jakiegoś rodzaju, jak by to powiedzieć, trendy... mogłabyś dać mi znać?

- Trendy? - Sara spochmurniała. Samo wklepanie tego cholerstwa musiało zająć jej mnóstwo czasu. Poza tym nigdy nie zajmowała się dokumentami finansowymi.

- Och, nie musisz tego dogłębnie analizować, nie przejmuj się! Wiem, że nie jesteś księgową. Ale jeśli zauważysz jakieś... powtórzenia, powiedz mi. Pieniądze, które gdzieś zginęły, pieniądze, które gdzie indziej nie zostały wydane. Nie przejmuj się, kochanie, zorientujesz się, jeśli coś takiego tu jest. Jeżeli nie ma - nie przejmuj się!

- Żaden problem. - Naprawdę ani myślała się tym przejmować.

- Aha, i... potrzebuję to na... - Spojrzała na zegar wiszący na przeciwległej ścianie. - Na piątą, dzisiaj. Zdasz?

Było południe. Pięć godzin na wprowadzenie tego wszystkiego do komputera? Nie mówiąc o „analizie trendów”?

- No więc...

Pani Peccorino miała błagalny wzrok.

- Dobrze, oczywiście. - Skoncentruj się na bliskich celach, pomyślała. Poszerz sferę... Cokolwiek.

To się nazywa odwaga, pochwalił ją anioł-Judith. W ten sposób zdobędziesz tutaj pracę!

Tymczasem szatan-Martika parsknął gniewnie. Potem będziesz musiała harować na okrągło! I to wcale nie będzie zabawne!

Sara westchnęła i zabrała się do pracy.

Do za piętnaście piąta przekopała się przez wszystkie arkusze rozliczeniowe... zauważając pewne niepokojące trendy. Więcej negatywnych niż pozytywnych. Jeżeli czytała te dokumenty prawidłowo, to budżet działu został przekroczony o kilka milionów dolarów. Nie wyglądało to najlepiej.

W ciągu piętnastu minut zrobiła zestawienie, które pokazywało, gdzie znikają pieniądze - i które operacje rozliczeniowe wydawały się za to odpowiedzialne. Dodała też w krótkiej notatce, że byłaby w stanie wyśledzić, jakiego rodzaju wydatki to spowodowały, gdyby dostała bardziej szczegółowe raporty i miała na to jeszcze jeden dzień. Zastanawiała się, czy końcówka nie była za bardzo wazeliniarska. Anioł-Judith powiedział, że nie.

Została jej jeszcze jedna wolna minuta, kiedy podeszła do niej pani Peccorino, tym swoim krokiem biegnącego pingwina.

- Nie chciałabym cię ponaglać, ale... skończyłaś? Wszystko?

- Tak. - Sara oparła się pokusie wypolerowania paznokci o jej zakiet. - Zrobione.

- I wszystko wygląda... prawidłowo?

- Tego bym nie powiedziała. - Kliknięciem myszki otworzyła arkusz kalkulacyjny i swoje notatki. - Jeśli trzeba, mogę z tym zrobić o wiele więcej.

Pani Peccorino nie odrywała oczu od monitora.

- Jesteś tego pewna? Sprawdziłaś obliczenia? To niemożliwe.

Sara wyprostowała się nieco na krześle.

- Przy tak ogromnych brakujących sumach musiałam policzyc wszystko dwukrotnie. - I zrobiła to. Piętnaście milionów wydawało się równie abstrakcyjne, jak w grze w „Monopol”. Była pewna, że pokręciła coś z liczbami, ale po trzecim sprawdzeniu okazało się, że niczego nie pomyliła. Wyglądało to naprawdę nieciekawie.

- Cóż... - Pani Peccorino zbladła. - To jest... no cóż.

Stała tam dalej, wpatrzona w ekran, manewrując myszką i przesuwając strony. Sara czekała w milczeniu. Dopiero po Piętnastu minutach znacząco chrząknęła.

- Słucham? Co?  
- Jest, eee, po piątej. - Sara uśmiechnęła się z nadzieją.  
- Chętnie bym już poszła do domu. - Chyba że potrzebuje pani mojej pomocy.

Lizodup, skwitował ją szatan-Martika.

- Nie. Oczywiście, idź do domu. Wspaniała robota, Saro. Spisałaś się na medal. Dużo pracowałaś na komputerach, prawda?

Sara uśmiechnęła się. Dobra nasza, wreszcie coś drgnęło.

- Tak. W agencji powiedzieli, że pani szuka kogoś z dużym doświadczeniem.

- Fantastycznie. - Pani Peccorino uśmiechnęła się blado.

- No dobrze, będę o tym pamiętać. Miłego wieczoru.

Sara wróciła do domu w dobrym nastroju. Martika leżała już na kanapie, z butelką napoju z zielonej herbaty w jednej ręce i pilotem telewizyjnym w drugiej.

- Jak minął dzień, kochanie? - spytała. - Zaprzyjaźniłaś się z kimś? Wywarłaś na kogoś wpływ?

Sara skrzywiła się. Nie powinna była zostawiać w salonie książek, które pożyczyła jej Judith.

- A wiesz, że może tak.

Martika zakrztusiła się głośno.

- To co? - Sara uśmiechnęła się. - Ruszacie wieczorem w trasę?

Martika wydała jeszcze jeden nieelegancki dźwięk. Z jej niebieskich oczu wyzierała czysta pogarda.

- Taylor musi zostać w domu i niańczyć swojego chłoptasia. Słowo daję, nie wiem, co on widzi w tym Luisie. Facet jest gorzej niż beznadziejny.

- To znaczy, że idziesz do klubu sama?

Martika kontemplowała sufit.

- Nie wiem. „Oval” jest dalej moim klubem z wyboru, ale ostatnio zrobił się tam straszny magiel. W ogóle życie klubowe w L.A. jest o kant dupy potłuc, zauważyłaś?

Sara otworzyła z rozmachem lodówkę i wzięła puszkę coli.

- Hm. Może dlatego, że ty się robisz...

Martika podniosła władcym gestem rękę.

- Nie waż się... tego... powiedzieć.

- Chciałam powiedzieć: zblazowana.

- Kotku, zblazowana to ja jestem, odkąd skończyłam dwanaście lat.

- Chcesz gdzieś wyjść na kolację? - Sara uśmiechnęła się i wypiła kilka szybkich łyków coli. - Wydaje mi się, że zrobiłam dzisiaj jakiś postęp w pracy. Może pozwolę sobie na kilka ciuchów, na które namawiała mnie Pink. - Zastanawiała się przez moment nad wysokością swojej ewentualnej pensji. - Okej, może jeden ciuch. Na początek.

- To trzeba uczcie! - Martika rozpromieniła się. - „El Torito”? Mam ochotę być trochę *borracha* \*.

Sara roześmiała się. Naprawdę zaczęła widzieć światełko w tunelu.

\* *Borracha* (hiszp.) - pijana



## ROZDZIAŁ ÓSMY

### *Love Me Two Times (Kochaj mnie dwa razy)*

Sara jeszcze następnego dnia musiała być odrobinę *borracha*... w każdym razie to była pierwsza rzecz, jaka przyszła jej do głowy, kiedy o siódmej rano odebrała telefon.

- Czy mogę rozmawiać z Sarą Walker?

- Przy telefonie....

- Saro, tu „Temps Fugit”.

Jej agencja? Po co mieliby...

Praca. Musiała zrobić na nich większe wrażenie, **niż** myślała!

- Dzień dobry. Czy jest coś...

- Nie idziesz dzisiaj do pracy.

- Słucham? - Poderwała się, opierając na jednej ręce..

- Nie idziesz dzisiaj do pracy - powtórzył głos w słuchawce.

Czekała na wyjaśnienie i nagle zdała sobie sprawę, że ktoś, Z kim rozmawia, zaraz się rozłączy.

- Chwileczkę! Kiedy mam tam wrócić?

Po drugiej stronie linii zapadła długa cisza.

- Halo?

- Przełączę cię do Moniki - powiedział głos i po chwili usłyszała muzyczkę - mechaniczną wersję „La Vida Loca” Ricky'ego Martina.

To nie może być nic dobrego.

- Sara?

- Tak - powiedziała z zapałem, całkiem już obudzona.

- Monika? Co się stało?

- Saro, to bardzo poważne. - Ptasi świergot Moniki za-

brzmiał dziwnie ponuro. - Zadzwoń na twoją zleceniodawczyni z nieprzyjemnymi skargami.

- Skargami? W jakiej sprawie?

- Podobno zeszłej nocy zostały skasowane pliki z ważnymi dokumentami finansowymi, które po raz ostatni były otwierane na twoim komputerze.

- Stracili dokumenty budżetowe? - Niech to szlag.

- Tak, zdaje się, że mówili o budżecie.

- Nie wiem, jakim cudem to zniknęło, ale muszą mieć gdzieś kopie...

- Kopie też zostały skasowane, potem ktoś wyłączył komputer, więc kopia zapasowa nie dała się otworzyć... Nie wiem dokładnie, o co chodzi. Były nawet jakieś plotki o wirusie. Cała ta sprawa jest bardzo przykra.

- Poczekaj chwilę. Chcesz powiedzieć, że to ja celowo zniszczyłam te pliki?

- No cóż... - Monika westchnęła. - Firma traktuje to jako karygodne zniszczenie cudzej własności albo krańcową głupotę, niestety.

Sara zamknęła oczy. Pokój zaczął wirować jej przed oczami i wiedziała, że to nie z powodu margarity, którą piła wieczorem.

- Moniko, znasz mnie. Wiesz, jakie mam doświadczenie w obsłudze komputerów!

- Właśnie dlatego nie ma dla ciebie od dzisiaj miejsca w naszej agencji. Przykro mi.

- Co?

- Nie chcemy tu plotek o szpiegostwie gospodarczym!

- Sara niemal widziała Monikę, podskakującą na krześle, w zmiętym ubraniu. - Tylko tego nam brakuje! Od dzisiaj nie należysz już do rodziny „Temps Fugit”. Ostatni czek prześlemy ci pocztą... nie musisz się fatygować.

- Chyba nie wierzysz w to, co mówisz! Na pewno będę w stanie udowodnić...

- Były też aluzje, że spałaś z którymś z pracowników!

Opadła jej szczeka. Z gardła wydobył się niekontrolowany skrzeczący dźwięk.

- Szczerze mówiąc, nigdy bym nie pomyślała, że jesteś zdolna do czegoś podobnego - powiedziała grobowym głosem Monika. - Na ogół oceniam ludzi bezbłędnie!

- Moniko, posłuchaj mnie...
  - Nie, myślę, że na tym skończymy. Żegnaj, Saro.
- Usłyszała natychmiastowe kliknięcie i odłożyła słuchawkę. Okej, na to Judith jej nie przygotowała.

Sara była zmęczona. Musiała znaleźć inną pracę, pewnie w jakimś sklepie albo barze, co oznaczało minimalną płacę. Dlaczego wszystko się tak fatalnie układa? - pytała samą siebie. Wszystko miała dokładnie zaplanowane. Pomogła Benjaminowi. Miał się z nią ożenić, kochać ją i szanować jej decyzje. Ona miała znaleźć pracę, którą by uwielbiała, albo poświęcić się wychowaniu dzieci, a karierę zawodową odłożyć na później. Teraz nie miała niczego, tak jak wykrakała Judith. Jeżeli kiedykolwiek bała się zostać kobietą przegraną, teraz nie musiała się już martwić. Była autentyczną, pierwszoligową ofiarą życiową, z wielkim świecącym „O” na czole.

To wszystko wina Benjamin.

Miała ochotę wyć. Włączyła radio, przerzucając nerwowo stacje, aż trafiła na pierwszy kawałek hardrockowy - „Break Stuff” Limp Biskita. Miała wrażenie, że śpiewają specjalnie dla niej. Była rozstrojona, przybita, zdołowana.

Im dłużej o tym myślała, ogarniał ją coraz większy niepokój... i coraz większa determinacja. Niemal bezwiednie wyszukała na żółtych stronach książki telefonicznej numer do firmy Benjamin.

Nie dzwoń. To naprawdę fatalny pomysł. Nie dzwoń.

Klepiąc w myślach niekończącą się litanię pretensji, podniosła słuchawkę i zaczęła wybierać numer. Wiedziała, że to zły pomysł. Ale żaden inny nie przychodził jej do głowy. Poza tym wydawało się to dużo sensowniejsze niż pofatygowanie się do pani Peccorino i Słodkiego Jeremy'ego z kijem baseballowym.

- Becker Electronics, słucham.

- Chciałabym rozmawiać z Benjaminem Slaterem. - Postarała się, żeby jej głos zabrzmiał jak najbardziej służbowo.

Najwidoczniej nie wypadło to idealnie, bo głos sekretarki był zdecydowanie podejrzliwy.

- Mogę spytać, kto mówi, i w jakiej sprawie pani dzwoni?

- Sara Walker. On będzie wiedział, w jakiej sprawie. - Przynajmniej miała taką nadzieję. A może miała nadzieję, że nie

będzie wiedział - gdyby domyślił się, że dzwoni, żeby mu nawrzucać, w ogóle by nie odebrał.

- Chwileczkę. - Głos kobiety stał się lodowaty.

Została przełączona na oczekiwanie i w słuchawce rozbrzmiała jakaś romantyczna muzyczka, zupełnie niepasująca do jej nastroju.

- Benjamin Slater.

Jego głos. Zdradzieckie serce забиło trochę mocniej.

- Cześć, Jam.

Po drugiej stronie linii zapadła głucha cisza.

- Sara. Musiałem się kompletnie wyłączyć, kiedy Matylda powiedziała mi, kto dzwoni.

- Rozumiem. - No więc miała go. Co powinna teraz zrobić?

Nagle jej zły-ale-jedyny-wybór wydał się zły-i-po-co-mi-to-było. Wynikające z tej konkluzji milczenie zdawało się nie mieć końca.

Wreszcie odezwał się Benjamin:

- W jakiej sprawie chcesz na mnie nawrzeszczyć?

Poczuła się kompletnie zbita z tropu.

- Dlaczego myślisz, że chcę na ciebie wrzeszczyć?

- Znam cię - powiedziała z westchnieniem. - Pewnie przez te kilka tygodni zdażyłaś się nakręcić. Na pewno masz mi coś do powiedzenia.

- Ja... - Tak, miała. Tylko co? Zrujnowałaś mi życie? Jesteś samolubnym draniem? - Nie zadzwoniłaś nawet po to, żeby sprawdzić, czy żyję.

Nie zabrzmiało to najlepiej. Błado. Po prostu żałośnie.

- Najwyraźniej żyjesz. - W jego głosie pojawił się cień uśmiechu.

Nie, nie miała zamiaru umrzeć z rozpacz. Ten facet był... jak to ujął Joey? - kutasem, złamanym kutasem.

- Co u ciebie, Saro?

- W tej chwili nic dobrego.

- A co się dzieje?

- Taki jesteś miły i troskliwy? Przecież wiem, że gdybym nie zadzwoniła, nawet byś o mnie nie pomyślał. - Teraz wiedziała, do czego zmierza. - Ty samolubny, zepsuty...

- Myślę o tobie, Saro - powiedział spokojnie. - Często o tobie myślę.

Jakby przekłuł jej balon złości.

- Tak?

- Właściwie bez przerwy.

- Jestem ci winna pieniądze czy co? - odparowała po chwili zastanowienia.

- To niezbyt miłe - powiedział z naganą w głosie. - Wiesz, że mi na tobie zależy. To, że się z tobą nie zgadzałem, nie znaczy, że przestało mi na tobie zależeć.

Teraz poczuła się jak idiotka. Niedojrzała, biadoląca kretynka. Ścisnęła mocno słuchawkę.

- Nie miałam w tobie żadnego oparcia. Zrobiłeś wszystko, żebym czuła się tu całkiem samotna.

- Nic ci nie zrobiłem, Saro. - Wciąż mówił spokojnym i rozsądnym tonem. - Wytknąłem ci tylko, że porzucanie pracy - w zawodzie, który cię interesuje - było naprawdę złym posunięciem.

Kiedy przedstawił to w ten sposób, zgoda, może... Nie. Trzymaj się zasadniczego tematu. Nie zaczynaj mącić sobie sama w głowie!

- Byłam zdenerwowana - powiedziała łagodnie. - Ty ciągle mnie przekrzykiwałeś i kazałeś dorosnąć. Nigdy cię nie obchodziło, co czuję i dlaczego robiłam to, co robiłam.

- A wiesz chociaż sama, dlaczego to robiłaś?

- Oczywiście, że wiem!

- Więc dlaczego rzuciłaś tamtą pracę?

Potarła skronie. To wszystko wydawało się teraz tak odległe...

- Bo to było nie do zniesienia. Obrażali mnie, harowałam na okrągło jak wół, a oni nigdy nie byli zadowoleni. Czekałam, żebyś przyjechał i wsparł mnie jakoś, a ty mnie właśnie wtedy zostawiłeś na lodzie!

- Czekałaś na mnie jak na ratunek.

Poczuła, jak żar oblewa jej policzki.

- Idź do diabła, Jam.

- Nie mówię tego po to, żeby sprawić ci przykrość. Stwierdzam po prostu fakt.

- Nie potrzebuję od ciebie ratunku. Chcę tylko, żebyś był tu dla mnie! Nigdy nie miałeś dla mnie czasu. Wszystko inne

vv twoim życiu było ważniejsze ode mnie, bo nigdy się nie buntowałam!

Zastanowiła się nad tym. Bo nigdy się nie buntowałam.

- Jestem więcej warta. Zasługuję na coś lepszego. - Usiłując zapanować nad głosem, wzięła głęboki oddech.

- Może rzeczywiście cię zaniedbywałem, w pewnym sensie... Wiesz, jak ważna jest dla mnie praca. Chciałem stworzyć dobry, solidny fundament...

- Nic mnie to nie obchodzi.

Usłyszała westchnięcie Benjamin.

- Właściwie wybrałaś dobry dzień, żeby o tym porozmawiać - sprawy są pod kontrolą, więc może zjemy razem lunch?

Lunch? Odsunęła słuchawkę i wpatrywała się w nią przez moment.

- Eee, dobrze. Zgoda.

- Ja stawiam. Może... Jak się nazywa to miejsce, o którym wszyscy mówią? „Jozu”?

- Okej.

- Przyjadę po ciebie, dobrze?

- Tak. - Wzruszyła ramionami. Twój wydatek na benzynę, nie mój.

Przebierała się trzy razy. Pierwszy wybór - styl dynamiczny, seksowny. Potem doszła do wniosku, że nie chce, żeby pomyślała, że próbuje go odzyskać, włożyła więc dżinsy i T-shirt. Potem znów zmieniła zdanie, myśląc sobie, że to zbyt wymowne. W końcu zdecydowała się na długą sukienkę bez rękawów, która nie była zbyt ryzykowna, ale trochę bardziej wyjściowa niż dżinsy. Przynajmniej tak sądziła. Zadzwoił domofon.

- Tak?

- To ja, Benjamin.

- Będę na dole za minutę. - Chwyciła torebkę i zamknęła za sobą drzwi.

Wyglądał dobrze, pomyślała smętnie. Był w garniturze, którego nigdy przedtem nie widziała. To, co uchodziło w Fairfield, nie nadawało się do biura w L.A. To już wiedziała. Wyglądał poważnie i trochę zbyt konserwatywnie. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę, ile czasu spędzała wśród naprawdę byle jak ubranych ludzi w agencji marketingowej, a potem

z takimi typami jak Martika, Taylor czy Pink, skąd mogła wiedzieć, co jest jeszcze normalne, a co nie?

- Zrobiłaś coś z włosami. - Zmierzył ją chmurnym wzrokiem.

- Tak.

- Są dużo krótsze.

- Mnie się podobają - odpowiedziała, marszcząc brwi. - Wielu innym też. - Trafiony! Niech się zastanawia, kim są ci inni. Prawdopodobnie mężczyźni. Ha!

- Nie mówię, że mi się nie podobają. Mówię, że są dużo krótsze.

Dobrze wiedziała, co mówi. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

Jechali do restauracji w milczeniu. Kiedy znaleźli się w środku, w chłodnym klimatyzowanym wnętrzu, Sara poczuła się trochę mniej spięta. Przynajmniej do chwili, kiedy zaczęli rozmawiać. Ścisnąwszy nerwowo szklankę z wodą, zastanawiała się, czy byłoby nietaktem zamówić coś do picia. Na przykład Red Screaming Zombie\*. Obawiała się, że bez cudownego środka relaksującego mięśnie jej stulonych ramion zewrą się na stałe.

- Dlaczego zdecydowałaś się dzisiaj do mnie zadzwonić?

- Nie wiem. Chyba zastanawiałam się nad tym od pewnego czasu.

- Jak ci się układa? Co robisz?

- Dostaję zlecenia z agencji pracy tymczasowej.

- Rozumiem. - Musiała mu oddać sprawiedliwość, że powiedział to bez satysfakcji w głosie. - Martwiłem się. Miałem nadzieję, że nie masz kłopotów.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś? - Pomyślała o tych czterech miesiącach, kiedy czuła się tak strasznie samotna.

- Czy ja wiem...? Za bardzo mnie zraniłaś.

Te słowa ukłuły ją w samo serce. Cierpiał. Dlatego, że za nią tęsknił. Ogarnęła ją zdradziecka czułość i całą siłą musiała się powstrzymać, żeby nie sięgnąć po jego rękę. Skoncentrowała uwagę na kelnerze, zamawiając wybrane danie i

kieliszek białego wina. Wkrótce jedzenie pojawiło się na stole.

\* Red Screaming Zombie - „czerwony wrzeszczący żywy trup” - koktajl na bazie rumu, soku pomarańczowego i grenadine.

- Więc jak ci się wiesz w pracy? - spytała, głównie po to, żeby sprowadzić rozmowę na inne tory. Wiedziała, że to temat, do którego on się zapali.

Ku jej zdumieniu, wzruszył ramionami.

- W porządku, ale nie tak, jak się spodziewałem. Nie powiem, żebym czuł się w Los Angeles jak ryba w wodzie. Przyzwyczajam się, oczywiście, ale to nie jest moja ziemia obiecana. - Spojrzał na nią badawczo. - A ty nie tęsknisz za Fairfield?

- Trochę. - Tęskniła, kiedy była załamana, kiedy rzuciła pracę i zerwała z nim. I wtedy, gdy cierpiła katusze w klubie, z Martiką. I choćby dziś rano. - Czasami. Ale L.A. ma w sobie coś pociągającego.

Jego twarz przybrała ten klasyczny wyraz pogardy, który Sara pamiętała tak dobrze.

- Jak wesołe miasteczko.

- Mówisz, jakby to było coś złego.

- Dla kogoś, kto chce się po prostu zabawić, właściwe miejsce. - Pociągnął łyk wody. - Mieliśmy porozmawiać o nas. Spochmurniała.

- Nie ma żadnych „nas”, Jam.

- A czyj to był pomysł?

- Wyjaśniłam ci już powody.

- Wiesz, zastanawiam się. Myślę, że jesteś... - Urwał, szukając właściwych słów. - Trochę ci tu uderzyło do głowy.

- Co?

- Przyjechałaś tu i nagle zaczęłaś się zmieniać. To znaczy, zawsze byłaś trochę... chimeryczna.

- Chimeryczna?

- Wiesz, co mam na myśli. Nigdy na niczym nie mogłaś się skupić.

- Skupiłam się na tobie! - Musiała zniżyć głos, czując, że jest bliska urzędzenia prawdziwej sceny. - Ty byłeś moim życiem, Benjaminie. Nie zależało mi na karierze zawodowej - ty byłeś moją pełnoetatową pracą!

Zbierało jej się na płacz. Tyle lat, a on tego nie pojął. Nigdy jej nie rozumiał. Prawdopodobnie nigdy...

- Kocham cię, Saro.

Nie wiedzieć czemu, łzy napłynęły jej do oczu.



- Co? Co?  
- Słyszałaś. Kocham cię. Czułem się przy tobie... byłaś mi naprawdę oddana, i dopiero kiedy to straciłem, zdałem sobie sprawę, ile dla mnie znaczyłaś.

Patrzyła na ściany, na ludzi przy sąsiednich stolikach - byle tylko nie na niego.

- Nie mogę uwierzyć, że mówisz mi to teraz.  
- Pozwól chociaż, żebym spróbował ci to wynagrodzić.  
- Zapłacił rachunek i wpatrywał się w nią niebezpiecznie przekonującym wzrokiem. - Spędź ze mną popołudnie.  
- Nie musisz... wracać do pracy? - spytała, chwytając się pierwszej z brzegu szansy, żeby z tego wybrnąć. Jeśli wyjście z nim na lunch było złym pomysłem, pójście dokądkolwiek, gdzie mogłaby wylądować z nim w łóżku, jest pomysłem fatalnym!

- Mam to w nosie. Praca mi nie ucieknie. Właściwie...

Patrzyła w osłupieniu, jak dzwoni do swojej gburowatej sekretarki i zawiadamia ją spokojnie, że bierze wolne popołudnie.

- Tak, naprawdę - powtórzył. Najwidoczniej sekretarka przyjęła to z podobnym niedowierzaniem jak Sara. Spojrzał na nią. - Chcesz obejrzeć moje mieszkanie?

Nim zdążyła powiedzieć „nie”, kiwnęła głową, że „tak”.

Zlekceważyła brzęczący jej w głowie dzwonek alarmowy. Faktem było, że tęskniła za Benjaminem. Tęskniła aż do bólu. Kiedy rozmawiali, kiedy szła z nim do samochodu, czuła na ramieniu muśnięcie jego ręki... wszystko wydawało się takie naturalne. Do tego przecież dążyła od dawna - być z nim, w szczęśliwej parze. Nie tak, jak żyła teraz, niepewna jutra, utrzymując się z prac zleconych, i próbując się dopasować do szalonego świata Martiki. Oczywiście, że był on ekscytujący, ale tymczasowy. Wszystko w nim było tymczasowe. A Benjamin oznaczał solidność, stabilizację, wyznaczony cel. Benjamin był opoką.

Zanim jeszcze dotarli do jego domu, poczuła w środku ten znajomy nerwowy dygot, zwiastun podniecenia... i uświadomiła sobie, od jak dawna jej tego brakowało. I co najlepsze, żadnych wyrzutów sumienia, żadnego poczucia zdrady łamanej przez niepewność. To było to, co znała na pamięć, pomyślała, wysiadając z samochodu. To było właściwe.

Typowy, zdobiony sztukaterią dom znajdował się w Zachodnim Los Angeles. Minęli Westwood, niewiele dalej był Uniwersytet Kalifornijski. Kiedy Benjamin wpuścił ją do mieszkania, znów poczuła ukłucie w sercu. Właśnie tak to sobie wyobrażała, przeprowadzając się do Los Angeles. Były tu wszystkie jego meble, rozstawione w różnych pokojach, wypełniające całą przestrzeń. Kazałaby mu postawić przy innej ścianie telewizor i przesunąć kanapę. Zauważyła, że stół w jadalni wygląda goło - przydałby się obrus i może jakaś ozdoba na środku. Zerknęła na kuchnię, która na pierwszy rzut oka wyglądała surowo i funkcjonalnie.

- To jest to.

Westchnęła.

- Chciałabyś obejrzeć sypialnię? - Miał przymknięte oczy i uśmiechał się kącikiem ust.

Jej rozum wysłał ostatnie ostrzeżenie.

Kompletnie je zignorowała.

- Kochanie? Muszę wyjść... Jestem umówiony na biznesową kolację.

Sara poruszyła się. Była śpiąca. Seks na zgodę był naprawdę najlepszy, pomyślała z uśmiechem.

- Och. Daj mi jeszcze minutę, muszę oprzytomnieć.

Zaśmiał się.

- To było niesamowite.

- Uhm.

Podniósł się i nago pomaszerował do łazienki. Zamknął drzwi, a potem usłyszała szum wody z prysznica. Usiadła, przeciągając się z lekkim grymasem. Tyle czasu żyła bez seksu. Czuła się obolała, ale nie w nieprzyjemny sposób.

Wstała z łóżka, rozciągając wszystkie mięśnie. Podejrzewała, że będzie zdradzała ją chód. Miała nadzieję, że Martika wróci do domu trochę później... Nie pochwaliłaby takiego rozwoju wydarzeń. Zwłaszcza że wszystko wskazywało na to, że Sara weszła na drogę pojednania. Tika po prostu będzie musiała się z tym pogodzić, pomyślała z determinacją. A może wprowadzę się do Benjamin... W końcu nie miała do przewiezienia zbyt wielu rzeczy. Może Martika przejęłaby wynajem całego mieszkania?

Zadzwonil telefon.

- Mam odebrać?! - zawołała.

On nie mógł, oczywiście, usłyszeć jej pod prysznicem. Wahała się, w końcu postanowiła zostawić sprawę automatycznej sekretarce. Wyszła do przedpokoju, ciekawa, jak wygląda jego domowe biuro.

Była w połowie drogi, gdy usłyszała głos nagrany na automatyczną sekretarkę, rozbrzmiewający głośnym echem w całym mieszkaniu.

- Cześć. Połączyłeś się z mieszkaniem Benjamina i Jessiki. Nie możemy teraz podejść do telefonu, ale jeśli zostawisz swoje imię i numer, oddzwonimy, jak tylko będziemy wolni. Dziękujemy.

To głos Benjamina.

Kim, do diabła, jest Jessika?

Odwróciła się szybko, serce zaczęło jej walić jak oszalałe, skurcze w żołądku powodowały mdłości. Wszystko tu należało do Benjamina - rozpoznawała meble. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na drzwi łazienki. Prysznic był wciąż odkręcony.

Otworzyła szafę: podwójną, z przesuwanymi drzwiami. Zobaczyła równiutki rząd garniturów. Zamknęła ją szybko i odsunęła drugie drzwi.

Sukienki. Niewielkiego rozmiaru.

Kocham cię, Saro. Te słowa dudniły jej w głowie.

A to drań, pomyślała, kompletnie odrętwiała. Kłamliwy, obłudny drań.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### *Strange Days (Osobliwe dni)*

Był czwartkowy wieczór. Judith siedziała przy komputerze. Miała na sobie nocną koszulę - robiło się późno, a David był jeszcze w pracy. Dziwne, ale wciąż nie zmyła z twarzy makijażu.

Wpatrywała się w ekran monitora, patrząc, jak powoli otwiera się strona kawiarenki „Ludzie aktywni”. Czekwała, aż załoguje się Roger.

To tylko Internet, przywołała się do porządku. To głupie - czuć się, jakby miała potajemny romans tylko dlatego, że utrzymywała kontakty z przyjaciółmi z cyberprzestrzeni. Może dlatego, że z jednym z nich wymieniała liściki e-mailowe częściej niż z innymi.

E-maile od Rogera dostawała codziennie, odkąd wyrwała się z pytaniem „czy jestem szczęśliwa”, i z każdym dniem stawały się one coraz bardziej intymne. Nie żeby było w tym coś złego, jakby powiedział Seinfeld \*. Po prostu sobie żartowali. Przyjemnie było pogadać (nawet jeśli to było gadanie palcami po klawiaturze) z kimś, kto ją rozumiał, kto wiedział, kiedy ma zły dzień, kto wywoływał uśmiech na jej twarzy. Z jakichś powodów nigdy nie wpadłaby na pomysł, żeby przyznać się Davidowi, że miała zły dzień. Nie, nie z „jakichś” powodów - wiedziała dokładnie, dlaczego nie mogła tego zrobić. Bo dla niego

\* Seinfeld - Jerry Seinfeld; aktor i komik, bohater popularnej serii komediowej.

oprócz prawa nic nie było dostatecznie ważne ani złe. Jeśli jej zdarzał się klient, który przyprawiał ją o wysypkę, jego klient, taki, któremu groziła strata stu miliardów zdefraudowanych dolarów, fundował mu męki piekielne. Jeśli ona była zestresowana z powodu trudności z godzeniem obowiązków domowych z pracą i rolą doskonałej żony - on był jeszcze bardziej zestresowany, zarabiając górę pieniędzy, których, jak sądził, ona potrzebowała do tego, żeby żyć w takim komforcie, do jakiego przywykła.

Poszłaby o zakład, że gdyby wspomniała, że spóźnia jej się okres, on ogłosiłby wszem i wobec, że spodziewa się trojaczków.

- Co u ciebie, piękna? - nadeszła pierwsza wiadomość.

Judith usiadła, niekontrolowanym gestem poprawiła włosy, puszczając je swobodnie na ramiona.

- Skąd wiesz, że jestem piękna?

*Roger: Jesteś, Judith, prawda ?*

Uśmiechnęła się.

- Flirciarz.

*Roger: Może. Więc jak leci?*

- Okropnie. - Westchnęła, odchylając się do tyłu w swoim biurowym fotelu. - W pracy piekło, mąż ciągle poza domem.

*Roger: Z całym szacunkiem, ale powinien poświęcać ci więcej uwagi. Musisz być zmęczona. Czymkolwiek zajmuje się twój mąż, to nie może być aż tak ważne.*

Wzruszyła ramionami, chociaż on nie mógł tego widzieć.

- Taki fach. Prawniczość jest bliska Pobożności.

*Roger: Myślałem, że tylko my lekarze tak mamy. :)*

- Bogaci, przystojni faceci w typie George'a Clooneya, co?

*Roger: Ano. Za takiego typu chętnie wydałaby cię twoja matka, gdyby nie nawinął się prawnik.*

Ze złości zapiekło ją w żołądku.

- Jasne, polowałam bardziej na zawód niż na męża. - Odpowiedź nadeszła po dłuższej chwili.

*Roger: Żartowałam, Judith. Zwykły żart.*

Poczuła się dotknięta, i to do żywego.

- Przepraszam. Typowa przypadłość żony-trofeum. - Wyśłała odpowiedź i natychmiast tego pożałowała.

*Roger: Zastanawiam się od dawna, jak oni was, dziewczyny, montują na te cokoliki z wygrawerowanymi plakietkami.*

Wiedziała, że chciał poprawić jej nastrój, obracając w żart popełnioną przez nią gafę.

- Tak naprawdę nie jestem żoną-trofeum. David i ja rozumiemy się i bardzo o siebie dbamy.

*Roger: Naprawdę nie musisz mi zdradzać jego imienia.*

- Dlaczego nie? - Zdziwiła się.

*Roger: Bo będzie mi go żal, kiedy przyjadę do L.A., żeby cię porwać i wieść z tobą rajskie życie w Atlancie.*

Zerknęła za siebie, nie wiadomo dlaczego.

- Jesteś złym duchem.

*Roger: LOL. Powracająca melodia.*

Wyobraziła go sobie, wysokiego blondyna w typie lekarza, korzystającego z wolnej chwili podczas pracowitego dnia, prawdopodobnie w chirurgicznym obuwiu (Czy był chirurgiem? Czy to ważne? Był tworem jej fantazji), stukającego w klawiaturę z diabełkowatym uśmiechem na twarzy. Pewnie wyobrażała ją sobie jako słodką blondynkę z ogromnym biustem, prawdziwym albo nie, narzekającą na starego męża prawnika. Oboje byli tworem fantazji, doszła do wniosku. Ona też.

*Roger: W takim razie bądźmy jeszcze bardziej źli. Co masz na sobie? (Lubieżny uśmiech).*

Prawie się uśmiechnęła, ale przywołała się do rozsądku: To nie dzieje się w rzeczywistości.

- Nic specjalnego. Różowe body w kolorze lakieru na paznokciach. I tyle. A ty?

*Roger: Nic. W Atlancie jest upał. :)*

Sapnęła z wrażenia, a potem zaczęła się śmiać.

- Jasne. A ja, z tego, co wiesz, jestem trzystukilową albinoską w różowym body.

*Roger: jestem naprawdę goły, więc szkoda, że nie widzisz, jak na mnie podziałała ta informacja. Z czym ci się kojarzy słowo „żółw”?*

Zaśmiała się jeszcze głośniej.

- Fuj! Obrzydliwość.

*Roger: I ty to mówisz, och, trzystukilowa modelko „Victoria Secret”.*

Wyobraziła sobie ich dwoje w pokoju, zaśmiewających się jak para starych przyjaciół.

- Chętnie bym cię zobaczyła - odpisała. - Wydajesz się milutki.

*Roger: Poczekaj sekundę. Wyślę ci zdjęcie.*

Omali nie napisała: „nie, nie rób tego”. Nie chciała, żeby twór jej fantazji miał twarz. Nie chciała, żeby wydawał się bardziej realny. Ale nie zdobyła się na to, bo jednak była ciekawa. Może był paskudny. Albo po prostu nie w jej typie. Zaczynało ją naprawdę ciągnąć do tego mężczyzny, kiedy jej mąż pracował poza domem. Może był jakimś antidotum...

Masz wiadomość!

Szybkim kliknięciem myszki wyłączyła tryb konwersacyjny i otworzyła skrzynkę pocztową. Był e-mail od Rogera, z załącz-

nikiem. Będę miała za swoje, jeśli wprowadzę do komputera jakiegoś wirusa. Żadne „jeśli”, tylko „na pewno”, pomyślała, otwierając plik ze zdjęciem. Narażam się na chorobę przenoszona drogą cyberseksualną.

Zdjęcie otwierało się wolno, ukazując mężczyznę o ciemnobrazowych włosach. Nie był George'em Clooneyem, ale jego twarz miała w sobie coś niesamowicie pociągającego. Wiedziała, że ma trzydzieści siedem lat, ale z fotografii nie odgadłaby jego wieku. Wyglądał tak, jak przypuszczała... diabełkowato.

Miał apetycznie umięśniony tors. Zdjęcie „rozwijało się” dalej. I...

O mój Boże.

Wyglądało to na męski akt.

Zafascynowana i przerażona jednocześnie, wpatrywała się w ekran, czekając, aż załaduje się reszta zdjęcia. Tors miał naprawdę imponujący, lekko opalony. Rozumiała już, dlaczego uśmiechał się tak łobuzersko.

Pojawiła się nowa wiadomość.

*Roger: Masz już całość?*

- Zamknij się. Jeszcze się ładuje. - Kliknęła w krzyżyk i niecierpliwie czekała. Zaczęła się pokazywać linia nągich bioder, i w końcu...

Biały blok, ze zdaniem napisanym migoczącą czcionką:

**JEŚLI CI SIĘ PODOBA, POWINNAŚ ZOBACZYĆ ORYGINAŁ.**

Odchyliła w tył głowę i parsknęła głośnym śmiechem - nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio śmiała się w ten sposób. Dymek z napisem zakrywał precyzyjnie jego... nagość. Błyskawicznie wystukała odpowiedź.

- Ty świrze. Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś sobie takie zdjęcie.

*Roger: Kobiety przysyłały mi maile z prośbą „przyślij mi swoje zdjęcie!” i w końcu mnie to zmęczyło. Były zainteresowane seksem i chciały sprawdzić, czy jestem właściwym kandydatem. Żartowałem kiedyś z przyjaciółką, i to ona mnie podpuściła.*



Judith poczuła, jak wzbiera w niej gniew.

- Więc wysyłasz to zdjęcie wielu kobietom... - Przerwała i skasowała całe zdanie. - Więc wysyłasz to zdjęcie wielu ludziom?

*Roger: Za duży ze mnie cykor! :) jesteś pierwsza.*

Kipiąca złość opadła z niej natychmiast i poczuła przyjemne ciepło między piersiami.

- Och, to bardzo miłe.

*Roger: Powinnaś zobaczyć oryginał. Zakładając, że to możliwe.*

- Jestem pewna, że wszystko jest tym, czym powinno być - odpowiedziała.

- Judith?

Odwrociła się gwałtownie. David był w przedpokoju.

- Kotku, wrzeszczałem na ciebie z dołu, ale śmiałaś się jak opętana. Co cię tak rozbawiło?

Był na progu gabinetu, więc starała się jak najszybciej wszystko pozamykać. Po zniknięciu wiadomości pojawiło się jego zdjęcie, z tym przebiegłym uśmiechem i beczelnym komentarzem. Jęknęła, próbując je zamknąć.

- Och, nic takiego. Sara przysłała mi kilka dowcipów.

Zerknęła na zdjęcie, kręcąc głową z posępnym uśmiechem.

- Ludzie bez pary. Jak ona się trzyma po zerwaniu z niejakim Benjaminem?

- Nie najlepiej.

Zamknęła załącznik ze zdjęciem, ale nim zdążyła wyjść z America On Line, pojawiła się wiadomość:

*Roger: Musiałabyś to wypróbować, żeby się przekonać. Wrażenia dotykowe przebijają wygląd... przynajmniej tak się mówi.*

W popłochu omal nie wyłączyła komputera z sieci. Zamknawszy w końcu wszystko po kolei, odwróciła się do Davida, czując piekący rumieniec na policzkach.

Nawet na nią nie patrzył. Pocierał oburącz skronie.

- Miałem dzisiaj naprawdę gówniany dzień. I zdycham z głodu. Zostało coś w lodówce?

- Ja... nie jadłam kolacji. - Wyłączyła komputer, wzdychając z ulgą, kiedy pociemniał ekran. - Ale zrobię ci coś szybkiego. Przebierz się i wszystko mi opowiesz.

Uśmiechnął się z wysiłkiem, całując ją w policzek.

- Dzięki, Judy. Jesteś kochana.

Sara wybrała numer telefonu komórkowego Martiki.

- Martika. A ty kim jesteś?

- Tika, ratuj.

- Sara? - Jej głos nikał w charakterystycznym klubowym gwieńku. - Co się dzieje? Gdzie ty, do diabła, byłaś?

- Wylali mnie.

- To wszystko?

- Przespałam się z Benjaminem.

- O cholera. - Chwila ciszy. - Rozumiem, że nie sprawiło ci to przyjemności.

- Nie mogłoby być lepiej, gdybym nie odkryła, że on z kimś mieszka.

- Skurwiel do kwadratu. - Przeciągłe westchnienie kontrapunktowane muzycznym rytmem w tle. - Co chcesz zrobić? Jestem z chłopakami i w każdej chwili możemy po ciebie skoczyć.

- Chcę iść do klubu. - Sara spojrzała na szafę Martiki. - Chcę gdzieś wyjść. Mogę się z wami spotkać?

- Jasne! - krzyknęła zdumionym i wyraźnie uszczęśliwionym głosem. - Pewnie, że tak. Jesteśmy w „Probe”. Impreza w klimacie lat osiemdziesiątych. Upijemy cię i za kilka godzin to wszystko wyda ci się złym snem.

- Moje życie jest złym snem.

- No, no, poczekaj, będziesz się rozklejać, jak tu przyjeżdżesz. Zobaczysz, jaki trans! - W głosie Martiki pojawiła się opiekuńcza nuta. - Zadzwoń po taksówkę, myszko. Nie chcę, żebyś prowadziła, jesteś za bardzo rozdygotana. Okej?

- Okej. Martika... eee... mogę pożyczyć od ciebie jakiś ciuch?

Śmiech Martiki był wystarczająco głośny, żeby wzmocnić uśpiony klubowy gwieńk.

- Pożyczyć ciuch? A pożycz sobie, co tylko chcesz! Zobaczysz, jak się zabawimy!

- Okej - powtórzyła Sara. - Cześć.

- Baj.

Odłożyła słuchawkę i zrobiła przegląd zapchanej szafy Martiki. Nie miała przekonania do jej winylowych kreacji, ale czuła się jakaś nabuzowana. Groźna. Gotowa komuś porządnie dokopać.

Zdecydowała się na tę samą gładką mini, którą włożyła na swoje pierwsze nocne wyjście, i czarny siatkowy top na czarny biustonosz. Do tego martensy z cholewkami, które Martika upchnęła w samym końcu szafy. Były trochę zdarte i wyglądały, jakby w swoim czasie niejedno przeżyły. I to jej się podobało. Zrobiła staranny makijaż, wykorzystując cały zestaw kosmetyków, które sprawiła sobie za namową Pink - jasny korektor Christiana Diora do zamaskowania skutków płaczu, cienie Urban Decay na powieki i policzki, i czerwona transparentna szminka w obiecującym odcieniu o nazwie „Cięcie” na odęte wargi. Utrwaliła całość pudrem Lorac i nie żałując płynnego tuszu, obrysowała jeszcze oczy. Wyglądała jak odrzut z Sex Pistols, ale był to wygląd drapieżny - a o to jej tego wieczoru chodziło.

Głos anioła-Judith dyskretnie milczał. Szatan-Martika śledził jej poczynania z aprobatą.

Zadzwoiła po taksówkę i przez następne czterdzieści pięć minut krążyła niecierpliwie po pokoju. Ze swoimi krótkimi sterczącymi włosami przypominała pewną postać o bardzo ognistym temperamencie ze starego filmu kukiełkowego. To było jedyne, co mogła zrobić, żeby nie narzekać na życie - zacząć korzystać z tego życia.

Podejrzewała, że taksówkarz wyczytał to na jej twarzy. Nie wyglądał na zdziwionego - taksówkarze rzadko się czemuś dziwią - ale kiedy podała mu adres, nie próbował do niej zagadać ani flirtować. Sara była zadowolona, i rozczarowana. Czuła, że jest gotowa pokłóysać się, jak by powiedziała Martika, z kimkolwiek... ale nie chodziło o seks.

Zatrzymał się przed samym wejściem do „Probe”. Podeszła do bramkarza, ogromnego mężczyzny z kocią bródką, ogolonego na łyso, który zerknął tylko na jej prawo jazdy. Ominęła bramkę, weszła do holu, zapłaciła za wstęp przy małym okienku i wkroczyła do sali.

„Probe” był mniejszy i zupełnie inny niż „World Club”,

gdzie zaliczyła imprezę „Perwersja”. Atmosfera wydawała się bardziej intymna i, niestety, znacznie bardziej pijana. Duet Wham! grzmiał z głośników, namawiając, żeby obudziła kogoś, zanim odtańczy go-go. Albo wyciągnęła spod prysznicza, pomyślała z wściekłą pasją.

Dopiero po następnym kawałku (znacznie łagodniejszym „One Night In Bangkok”) znalazła w końcu Tikę, Taylora i Pink, stłoczonych na maleńkim tarasie i palących goździkowe papierosy.

- Sara! - Tika uściśnęła ją jednym ramieniem, przezornie odsuwając zapalony papieros od jej nastroszonych włosów.

- Skarbie, jak nastrój?

- Gówniany. Mam ochotę się ogłuszyć.

- I tak się stanie - powiedziała Martika, gasząc z rozmachem papierosa.

Taylor otoczył je obie przyjacielskim ramieniem.

- No dobrze, drogie panie, ja będę powoli spadał...

- Nie będziesz.

Rzucił Martice błagalne spojrzenie ponad głową Sary.

- Tika, mam rano spotkanie...

- Nie chrzań - powiedziała, kiedy weszli z powrotem do sali. Głośna elektroniczna muzyka lekko trąciła gotyckim rockiem - podrygi dzieciaków w czerni w takim samym, niewielkim stopniu przypominały gotyckie wiwaty.

- Nasza dziewczynka nas potrzebuje!

Taylor westchnął, zerkając na Sarę.

- Podobno miałaś fatalny dzień?

Skinęła głową, kiedy zajęli strategiczną pozycję przy barze.

- Co się stało?

- Od czego tu zacząć? - Zaczęła od telefonu z agencji. Potem opowiedziała o innej rozmowie telefonicznej.

- Ooo, to rzeczywiście kanał - powiedziała współczująco Pink, pociągając solidny łyk tequili i mówiąc dalej, jakby napiła się wody. - Gdybyś wiedziała, ile razy robiłam to samo: coś się w życiu pieprzy i nagle łapiesz telefon i dzwonisz do biura numerów.

- Miałam mu zamiar nawrzucać, chciałam rozerwać go na strzępy - powiedziała Sara. Po drugim łyku czuła się jak znieczulona nowokainą. - A on zaczął mnie przepraszać...

- Skurwiel! - warknęła Martika.
  - I zaprosił mnie na lunch...
  - No tak - mruknął Taylor. Martika oparła się o niego, a on poklepał ją po ramieniu.
  - A potem chciał mi pokazać swój dom... - Sara potarła dłońmi twarz, rozmazując przy tym makijaż, ale już zupełnie się tym nie przejmowała.
  - No i zrobiłaś to...
  - A potem się dowiedziałam, że on mieszka z jakąś kobietą! O imieniu Jessika! - Poczowała klepięcie w ramię i odwróciła głowę. - Jessika! - wrzasnęła.
  - Mam na imię Kit. Ale byłaś blisko.
  - Idź sobie. Nienawidzę mężczyzn.
  - Hm. - Taylor zerknął na nią wymownie.
  - Poza Taylorem, nienawidzę wszystkich mężczyzn.
- Pink rzuciła jej świdrujące spojrzenie, potem pokręciła głową, jak gdyby decydując, że nie będzie nawet próbować. Sara nie wiedziała, czy powinna przyjąć to z ulgą, czy się obrazić. Wybrała ulgę.
- Hm. To pewnie nie namówię cię do tańca.
- Sara spojrzała na niego wściekle.
- A zrobienie mi laski pewnie w ogóle nie wchodzi w grę.
- Gapiła się na niego w milczeniu. I nagle parsknęła śmiechem. Próbowwała się pohamować, ale to było jak samoczynna eksplozja. Po chwili śmiali się wszyscy.
- Więc teraz mnie posłuchaj - zaczęła Martika i wbiła w nią hipnotyzujący wzrok. - Dostyc tych bredni, okej? Masz dopiero... ile ty właściwie masz lat?
  - Dwadzieścia pięć.
  - No właśnie! Masz dwadzieścia pięć lat. I jesteś w Los Angeles. Nie musisz znać wszystkich odpowiedzi. Nie musisz mieć faceta. Nie musisz się martwić o karierę, nie musisz mieć palmtopa ani pieprzonych sweterków w zgaszonych kolorach z Abercrombie and Fitch \*, jakbyś tylko czekała na męża, który poświęci ci piętnaście minut swojego cennego czasu, żeby spłodzić dwa przecinek pięć dziesiątych potomka!
  - Diatryba, Martika - ostrzegł Taylor, a Kit się uśmiechnął-

\* Abercrombie and Fitch - sieć domów towarowych.

Martika machnęła ręką.

- Och, dobrze wiesz, o co mi chodzi. Chcę ci tylko powiedzieć, że mieszkasz w zajebistym mieście, w którym można się dobrze bawić, i jeśli weźmiesz przykład ze mnie, będziesz się po prostu bawić, a nie martwić i zastanawiać, co powinnaś robić. Możesz robić wszystko, na co masz ochotę.

- Brzmi nieźle - powiedziała Sara - tylko zawsze jest jakieś „ale”.

- Jasne. Musisz przestać zajmować się tym, co myślą o tobie inni... i musisz samodzielnie podejmować decyzje. - Mimo że była wstawiona, posłała Sarze to swoje wyćwiczone, szatańsko pogardliwe spojrzenie. - Myślisz, że cię na to stać?

Sara zastanawiała się.

Koniec z zawracaniem sobie głowy karierą, z harowaniem od rana do nocy, z płaceniem frycowego. Koniec z czekaniem na telefon od faceta, który i tak cię rozczaruje. Koniec!

- Mogę spróbować - powiedziała uroczystym tonem.

- No to chodź. - Martika chwyciła ją za ręce. - Zanim się stąd zwiniemy, wytrzęsiesz porządnie tyłek.

Kilka godzin i kilka drinków później Sara nie czuła żadnego bólu. Zamiast muzyki słyszała tylko miły drżący pogłos, jakby w odruchu samoobrony otuliła się dźwiękoszczelnym kokonem. Taylor, mimo że rano miał wczesne spotkanie, postanowił zostać, żeby czuła się raźniej. Właściwie został dlatego, że Martika powiedział mu, że musi zostać, żeby Sara czuła się raźniej, ale tak czy inaczej został. A Martika powtarzała jej na okrągło, że ją kocha i że wszystko będzie dobrze. Ona sama zaczęła mówić różnym ludziom, że ich kocha, mniej więcej od czwartego drinka.

- Idziemy do domu - powiedziała w końcu, kiedy klub zaczął pustoszeć.

- Podwożę was - powiedział Kit.

- To się nazywa klasa! - wymamrotała Martika, zataczając się na niego.

Sara zmrużyła oczy.

- Piłeś coś?

- Dwa piwa. Nie lubię pić w klubach. Za drogo.

Taylor zaśmiał się.

- Sknera!

- No dobra, chodźmy.

Martika wyszła z Taylorem i natychmiast zasnęła, wyciągnięta na tylnym siedzeniu w mało estetycznej pozie. Sara usiadła z przodu. Silnik starego poobijanego camara ryknął przeciągle.

- Dzięki, że zechciałeś nas podwieźć - powiedziała sennie Sara, przyglądając się twarzy Kita. Miała wrażenie, że patrzy przez zamgloną szybę.

- Nie ma sprawy - mruknął, zerkając na nią. - Masz dosyć, co?

- Powiedzmy, że wielu rzeczy mam dosyć.

- Mogę cię o coś prosić?

Próbowała skupić na nim wzrok, ale okazało się to ponad jej siły. Zamknęła oczy.

- Jasne.

- Traktuj Martikę z przymrużeniem oka.

- Bo co...?

- Ona jest fantastyczna - sama ci to powie - zakpił w swoim zwykłym stylu. - Ale zastanów się, czego sama chcesz, zanim kupisz któryś z jej pokręconych pomysłów na życie.

- Co mówisz? - wycodziła z trudem, jakby miała w ustach kołek zamiast języka.

Kit westchnął, zatrzymując się przed ich domem.

- Mówię, że nie musisz być w jakimś szczególnym stylu, żeby być okej. Rozumiesz?

- Nie. - Uśmiechnęła się do niego. - Dzięki za podwiezienie.

Odwzajemnił uśmiech, a potem wprawił ją w osłupienie, zadzierając przód jej siatkowej bluzki.

- Hej - zaprotestowała wolno, ale zanim była w stanie podnieść ręce, Kit wetknął jej coś do stanika i opuścił prześwitujący top.

- Szukasz pracy. On jest moim przyjacielem, szuka asystentki. Jest szansa, że go polubisz. Zadzwoń rano, żeby ci przypomnieć.

Te rozmowy kwalifikacyjne zaczynają mnie mierzić.

Sara ogarnęła wzrokiem okolicę. Perspektywa zatrudnienia się w domu tego faceta wydawała się dość niesamowita. Same te domy wprawiły ją w osłupienie - nigdy dotąd nie miała

powodu zapuszczać się w rejony Bel Air, najbogatszej dzielnicy Los Angeles. Beverly Hills wyglądało przy niej jak dzielnica slumsów. Była przekonana, że wielu tutejszych mieszkańców robi zakupy w Beverly Hills. Albo wysyła na zakupy służbę.

Albo osobiste asystentki.

Znów westchnęła.

Domy, które oglądała, tak naprawdę były luksusowymi rezydencjami. W jednej z nich, bardzo osobliwej, zauważyła nagie posagi greckich bogów i bogiń, oskrzydłające długi, kręty podjazd. Inne, zbudowane z omszałych głazów, wyglądały jak sprowadzone w całości z jakichś odludnych wrzosowisk Bretanii. W końcu dotarła pod właściwy adres - ogromny ceglany mur porośnięty bluszczem był tym, czego szukała. Zaparkowała przy imponującej żelaznej bramie i nacisnęła guzik domofonu.

- Tak?

- Sara Walker do pana Richarda Percsona.

- A to w jakiej sprawie? - odpowiedział wyniosły głos, z lekkim akcentem, którego Sara nie była w stanie rozpoznać.

- Jestem z nim umówiona na rozmowę. W sprawie posady asystentki.

Po kilku sekundach usłyszała niechętnie „proszę wjechać na dziedziniec”, i powoli rozsunęła się brama. Postąpiła zgodnie z instrukcją i wkrótce jej oczom ukazała się rezydencja z nie otynkowanej cegły, która wyglądała... jak pałac. Zatrzymała się przed srebrnym rolls-royce'em zaparkowanym na skraju podjazdu.

Wzięła głęboki oddech, wygładziła kostium (przeznaczony na podobne okazje) i zapukała do drzwi.

W progu stanęła drobniutka Filipinka. Zmierzyła ją oczami, które przypominały szparki, i skinęła głową.

- Dobrze.

Sara nie wiedziała, jakiego rodzaju test zaliczyła, ale cieszyła się, że kobieta nie zamknęła jej drzwi przed nosem. Intuicja jej podpowiadała, że istniała taka możliwość.

- Jestem Sara Walker - powiedziała w nadziei obłaskawienia kobiety. - A pani...

- Gabinet jest na samej górze - przerwała jej, wyraźnie nie mając ochoty na wymianę uprzejmości. - Trzecie drzwi po prawej. - Odwróciła się i szybko odeszła.



Wyglądało to coraz bardziej ponuro. Sara podeszła do kręconych schodów. Położyła rękę na aksamitnie gładkiej drewnianej poręczy. To tylko praca. Pewnie dorywcza, na godziny. Usługiwanie przy posiłkach i tak dalej.

Zapukała do drzwi gabinetu.

- Tak?

Otworzyła i westchnęła z wrażenia.

Była to wspaniała staromodna biblioteka - biblioteka w stylu Batmana, wypełniona książkami od podłogi do sufitu, na wszystkich ścianach poza jedną, na której mieściło się ogromne okno. Przy samym oknie stało ogromne biurko. W każdym razie przypuszczała, że to biurko. Dosłownie całą jego powierzchnię zajmowały sterty papierów. Nie... góry papierów. Spomiędzy teczek o wszystkich możliwych kolorach wyglądały luźne kartki. Chaos rządził nie tylko biurkiem. Rozejrzawszy się dookoła, zauważyła, że podobne sterty okupowały krzesła i sporą część podłogi.

- Witam - powiedział mężczyzna siedzący za biurkiem.

- Jestem Richard. Ale to już pewnie wiesz, prawda? Ha, ha.

Otworzyła szeroko oczy. Tak, ten człowiek mógł być sprawcą tego bałaganu, mogła to sobie wyobrazić. Dzięki temu ów bałagan wydał jej się bardziej przystępny.

Na pewno przekroczył pięćdziesiątkę, ale równie dobrze mógł być doskonale zakonserwowanym sześćdziesięciolatkiem. Miał okrągłą twarz, która wyglądałaby pucołowato, gdyby nie dystyngowana srebrzysta broda, o ton ciemniejsza od bujnej czupryny. Miał szaroniebieskie skrzące się oczy i przyklejony do twarzy uśmiech. Był w okropnym szaro-wiśniowym dresie z mnóstwem suwaków. Gestem ręki zaprosił ją do biurka i z miną skruszonego chłopca wzruszył ramionami.

- Och, trudno, jestem pewien, że w końcu znajdę ten artykuł

- powiedział z westchnieniem. - Zwolnimy ci jakieś krzesło, dobrze?

Kiedy wstał i obszedł biurko, zauważyła, że nie jest zbyt wysoki. Z wyraźnie zarysowanym brzuszkiem, przypominał trochę świętego Mikołaja. Ledwie stłumiła śmiech, kiedy zdjął z krzesła stertę papierów i zaczął szukać wzrokiem innego miejsca, w które mógłby je odłożyć. W końcu wzruszył ramionami i cisnął wszystko na podłogę obok biurka. Podreptał na

swoje miejsce, należne „przesłuchującemu”, podczas gdy ona usiadła na wolnym krześle.

- A więc! - powiedziała, opadając na fotel. - Przyszłaś tu w sprawie...

Czekała, aż skończy zdanie, i nagle zorientowała się, że on robi to samo - czeka na jej odpowiedź.

- Ewentualnej posady pańskiej asystentki - odezwała się nieśmiało.

- Naprawdę? - Wyglądał na zachwyconego. - Świetnie! Kiedy możesz zacząć?

- Tak po prostu? - Zamrugała z wrażenia.

- Och! No tak. Mógłbym... eee... zerknąć na twoje CV?

Wyjęła posłusznie z teczki swój list motywacyjny. Richard przebiegł po nim oczami z teatralnym entuzjazmem.

- Co do tej pory robiłaś? Z ostatniej pracy zwolniłaś się kilka miesięcy temu.

- Pracowałam dorywczo.

- Dlaczego?

- Próbowałam... To zabrzmiało kiepsko - uprzedziła - ale próbowałam wymyślić, co chcę naprawdę robić.

- I chcesz spróbować zostać asystentką? - spytał autentycznie zdziwiony, bez cienia arogancji.

- Nie... Próbuję znaleźć pracę, w której będę mogła się sprawdzić, ale nie będę musiała zabierać niczego do domu. Czy tu musiałabym pracować wieczorami? Albo zabierać coś do domu?

- Boże broń! Nie! - Sama sugestia wyraźnie go zbulwersowała. - Prawdę mówiąc, moja była asystentka, pani Honeywell, próbowała zabierać pracę do domu. Ona była... no cóż, niemal obsesyjnie zorganizowana.

- Wydaje mi się, że ja też jestem zorganizowana, ale nieobsesyjnie. Nie sądzę, żebym była obsesyjnie gorliwa w czymkolwiek.

- Och, mam nadzieję, że nie! - Był coraz bardziej poruszony. - Niezbyt dobrze coś takiego znoszę. To... powiem szczerze, to mi przeszkadzało.

- Ale co?

- Wyobraź sobie, wchodzę, a ona dosłownie rzuca się na mnie z planem zajęć na cały dzień. Wszędzie rozkładała te

swoje kalendarze, terminarze... i różne takie. - Mówił o tym jak człowiek, któremu zdarzyło się być obiektem myśliwskiej nagonki. - Wchodzi człowiek do własnego gabinetu i wszędzie te kilometry teczek, w różnych kolorach, z których każdy coś znaczył.

- Horror - mruknęła Sara.

- Och, tak! - Wzdrygnął się jak spłoszony pies. - Boże drogi! Musiałem napisać jej na maszynie formalne wypowiedzenie, żeby zechciała odejść. Wymówienie jej pracy tak prosto w twarz było koszmarem, a i tak nie podziałało. Powiedziała, że chce coś bardziej oficjalnego. - Spojrzał na Sarę z błaganiem w oczach.

- Powiedz mi. Czy ja wyglądam na formalistę?

- Nie, w najmniejszym stopniu.

- No właśnie! - Nagle spojrzął na nią z rezerwą. - A więc czego spodziewasz się po tej pracy?

- Szczerze? - To była najdziwaczniejsza rozmowa kwalifikacyjna, jaką odbyła w życiu. - Będę uczciwie pracować, ale przyznam, że nie mam jeszcze pojęcia, co zrobię ze swoją przyszłością, i nie chcę zostać najlepszą sekretarką na świecie. Będę robić to, czego będzie pan sobie życzył, i chcę wracać do domu o ustalonej porze.

Uśmiechnął się promiennie i wyciągnął do niej rękę.

- Masz u mnie pracę.

- Fajnie - powiedziała, wymieniając z nim uścisk dłoni.

- Nie chciałabym być natarczywa, ale moglibyśmy porozmawiać o pensji?

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### *Wishful Sinful (Grzeszna, niespieszna)*

Judith czekała na Sarę w pubie „U Harry'ego” w Century City. Zauważyła, że zdrapuje lakier z paznokci - nerwowy nawyk, na którym coraz więcej zarabiała jej manikiurzystka. Pohamowała się i zaczęła sączyć wodę.

Próbowała ustalić regularne spotkania z Sarą - coś w rodzaju „przyjacielskich randek” - zwłaszcza teraz, kiedy jej przyjaciółka zerwała z Benjaminem, jedynym źródłem stabilności w jej życiu. Oczywiście wciąż była na nią wkurzona za sposób, w jaki porzuciła pracę w Salamance, ale wszyscy wiedzieli, że z Becky to nie przelewki, więc na niej, Judith, nie odbiło się to zbyt boleśnie. Poza tym, odkąd wyszła za mąż, miała niewiele prawdziwych przyjaciółek, z którymi mogłaby od czasu do czasu porozmawiać. Zbyt ciężko pracowała, a resztę czasu spędzała z Davidem.

Albo przy komputerze, poprawiła się. Ostatnio Internet zajmował jej całkiem sporo wolnego czasu. W każdym razie miała dzisiaj ochotę pogadać z Sarą. Gdyby przypadkiem poruszyła temat Rogera... Przestań, Judith, zganiła się w duchu. Tak naprawdę nie było o czym mówić. Przyszła tu, żeby wesprzeć na duchu przyjaciółkę - a przy okazji mogła jej poradzić w sprawach zawodowych, właśnie po to ma się przyjaciół.

- Cześć.

Judith podniosła głowę. Wciąż nie mogła się przyzwycząić do nowego wyglądu Sary. Nastroszone faliste włosy blond,

nowy styl ubierania się. Wstała z westchnieniem i uściśnięła ją na powitanie.

- Świetnie wyglądasz. Jak samopoczucie?

- Kiepskie. - Sara usiadła i gestem ręki poprosiła kelnera o szklankę wody. - Ale mam nową pracę. Nareszcie coś.

- To dobrze. Co robisz?

- Rozmawiasz z osobistą asystentką wybitnego pisarza Richarda Peersona.

- Asystentką... - powtórzyła Judith z troską w głosie. - To coś tymczasowego... - Urwała, intensywnie myśląc. - Poczekaj. Richard Peerson? Ten, który napisał „Istnienie i wszystkość”?

- Możliwe.

- To wielomilionowy bestseller.

- No i dobrze. - Sara wzruszyła ramionami.

Cała ona. Pracuje dla milionera i interesuje ją tylko to, że jest jego sekretarką.

- Więc będziesz sekretarką. - Judith westchnęła. Wolała nie przypierać jej do muru. - Rozmawiałaś ostatnio z Benjaminem? - spytała z nadzieją w głosie. - Jestem pewna, że on za tobą tęskni.

- O tak, tęskni na pewno.

- Więc rozmawiałaś z nim?

- Nie tylko. Przespałam się z nim

- Więc znów jesteście razem? Cudownie!

- Nie powiedziałam, że jesteśmy razem.

- Och... Podobno najlepszym lekarstwem na zawód miłosny jest seks ze swoim byłym. Rozumiem, że to świeża sprawa... ale przynajmniej nawiązaliście nić porozumienia.

- Prawda jest taka, że nie jesteśmy razem, bo odkryłam - tuż po tym, jak się z nim przespałam - że on ma już dziewczynę, z którą mieszka.

- Benjamin?-Judith zapało dech w piersiach.-Naprawdę?

- Nie wrócę do niego. Nigdy. Zdrada jest czymś, czego naprawdę nie jestem w stanie znieść!

Judith zagryzła wargę, myśląc o swojej korespondencji z Rogerem i jej dość ryzykownym, od pewnego czasu, charakterze.

- Nie wiem, czy można nazwać to zdradą... - powiedziała ostrożnie. - Nie byliście już razem, więc zaczął spotykać się z innymi kobietami, a potem znów spotkał się z tobą.

- On nie zdradził mnie, zdradził tę... jak jej tam, Jessikę. Właściwie nieważne, kogo zdradził. Jest łgarzem i tyle.

- Może jest zagubiony...

- Dlaczego go bronisz? - warknęła w końcu.

- Saro, wiem, że cierpisz, ale... nic na to nie poradzę, myślę, że sama jesteś sobie trochę winna.

- Co takiego?

- Może źle się wyraziłam. Chodzi mi o to, że gdybyś była trochę bardziej... No wiesz, gdybyś wtedy poważniej potraktowała swoją pracę, gdybyś z większym zrozumieniem podchodziła do jego ambicji zawodowych...

- To byłabym jego sekretarką! - wybuchnęła. - Judith, nie mogę uwierzyć, że stajesz po jego stronie!

- Nie stoję po niczyjej stronie, staram się trzeźwo myśleć - powiedziała lodowatym głosem. - To ty jesteś nierozsądna. Czasami mi się wydaje, że przestałam cię rozumieć!

Sara wstała.

- Może nigdy mnie nie rozumiałaś.

Judith też się podniosła.

- Saro, proszę cię, nie odchodź w ten sposób. - Urwała, rozglądając się dookoła, czując na sobie świdrujący wzrok gapiów. - Robisz scenę - dodała syczącym szeptem.

- Wiesz, jaki jest twój problem, Judith?

- Nie, ale jestem pewna, że mi to uświadomisz.

- Ty nigdy nie zrobiłaś sceny. Nikomu.

- Bo to nigdy nie było moją ambicją. - Usiadła. Jeżeli Sara koniecznie chciała robić z siebie kretynkę, ona nie miała zamiaru w tym uczestniczyć. - Dzięki za cenne spostrzeżenie.

- Przykro mi, że twoje życie jest tak jałowe, Judith. Jeżeli znajdziesz jakiś sposób na przebicie muru, którym się otoczyłaś, może gdzieś na siebie trafimy.

Judith nie raczyła odpowiedzieć. Patrzyła, jak jasna nastroszona czupryna Sary oddala się, przemykając przez tłum, i znika na ulicy.

- Dlaczego miałabym chcieć kogoś zarwać? Albo dać się zarwać?

Martika, w biodrówkach z obniżonym krokiem i nogawkami typu „dzwony”, z nowym kółkiem w pępku i w kusym

połyskującym topie bez ramiączek, który uwydatniał jej bujny (ale nie nowy) biust, patrzyła na Sarę, jakby kompletnie nie rozumiała pytania.

- Dlaczego miałabyś nie chcieć?

Sara rozejrzała się na boki. Zauważyła faceta, który wyglądał jak numer jeden z listy najgroźniejszych ściganych przestępców, i łypał na nie jak na potencjalne przekąski.

- Niech będzie tamten facet, jedna porcja.

Martika pokręciła głową.

- Wbrew powszechnej opinii, w tych sprawach istnieje pewna dyskryminacja. Tu się nie idzie na ilość. - Widząc zdziwienie w oczach Sary, sapnęła niecierpliwie. - Okej, idzie się na ilość, ale tylko dlatego, że te rzeczy mają swoją datę ważności. Założenie, że facetów używa się jak chusteczki jednorazowe, jest bardziej realistyczne niż założenie, że będzie się miało jedną chusteczkę i zachowa ją na całe życie.

Sara uśmiechnęła się i ciężko westchnęła.

- Co jest?

Sprawdziła najdyskretniej, jak mogła.

- Przepraszam, to paranoja, ale nie mogę zapomnieć tamtej sceny z „Will and Grace”, i ciągle się boję, że z tego „płynnego” stanika, który mi kupiłaś, zacznie cieknąć woda.

Martika parsknęła śmiechem.

- Ale robi ci biust. A mężczyźni lubią biuściaste baby. Większość. Zapomnij o wyglądzie modelki... zwłaszcza w tym mieście. - Zakołysała swoim bujnym ciałem. - Faceci nie chcą bzykać chodzących wieszaków, wierz mi.

- Może być kłopot... - Sara zerknęła w dół - ...jak któryś się zorientuje, że to głównie Fredrick's of Hollywood\* i woda.

- Eee tam, martwisz się na zapas. Nie wybierasz się z nikiem do łóżka - na razie... - ostatnie słowa zabrzmiały złowieszczo - ale musisz nauczyć się podstaw. Jezu! Czy w Fairfax nikt się nie puszcza?

- Fairfield! Jasne, że tak. Ale tam nie potrzebują do tego specjalnych kursów.

- Jeśli masz coś robić, rób to dobrze. - Martika nie wyglądała na urażoną. Usiadła koło niej przy wysokim stole, w barze,

\* Frederick's of Hollywood - sieć sklepów z wykwinną bielizną.

którego nazwa wyleciała Sarze z głowy. Miejsce było trochę mniej obskurne od „5140”, ale urządzone ze zdecydowanie większym zadaniem. Sara nie przypuszczała, żeby Martika chciała się tu zasiedzieć. - No dobrze. Wybieramy cel.

Rozejrzawszy się dookoła za przykładem Martiki, poczuła się jak kupujący na aukcji. Biorąc pod uwagę fakt, że w większości sytuacji towarzyskich czuła się jak obiekt przetargu, teraz była to przyjemna odmiana.

- Co byś powiedziała na tego? - spytała, kiwnąwszy w kierunku schludnego młodego człowieka w T-shircie i długich szortach.

- Nie gap się! Unikaj kontaktu wzrokowego.

Sara odwróciła szybko oczy, ale mężczyzna zdążył się do niej uśmiechnąć.

- Dlaczego?

- Pachnie na odległość Westwoodem. Chłopiec z college'u. Pewnie wyszedł przed chwilą z jakiegoś baru sportowego i nie może znaleźć drogi do domu. Takie typy sprawiają więcej kłopotów, niż to warte, wierz mi. I zwykle są do niczego w łóżku.

- Aha... Dobrze. - Jakby wiedziała, na czym może polegać różnica. Nie była jednak gotowa rozmawiać o tym z Martiką. - Okej, więc czego ja szukam?

- Chcesz kogoś, kto krzyczy „seks” każdym porem swojego ciała i nie jest tego nadmiernie świadomy. Chcesz kogoś, przy kim będziesz się czuła jak pępek świata - i naprawdę będzie chodziło o ciebie. Chcesz kogoś, kto nie będzie zakręcony na własnym punkcie, kto potrafi poruszać swoim ciałem i sprawić, że na jeden jego uśmiech będziesz chciała owinąć go nogami. Tego szukasz.

- I ty to wciąż znajdujesz? - spytała z niedowierzaniem.

- Jasne, że nie! - Naiwność Sary wprawiała ją w osłupienie. - Ale tego się szuka. Z nadzieją, że w końcu znajdziesz faceta, który nie będzie skupiony na sobie, który nie będzie chłop-tasem z przyspieszonym zapłonem i który będzie wiedział, co robić z rękami. Albo i lepiej... - Martika uśmiechnęła się łobuzersko - z językiem.

Sara nie mogła na to nic poradzić. Oblała się rumieńcem.

- Ja się zabiję - mruknęła Martika, patrząc na jej różowe policzki. - Okej, mamy kandydata.



Mężczyzna - jeśli tak można było go nazwać! - był ciemnoskórym Latynosem o oczach jak z renesansowych portretów. Zerknął na nie raz, znudzony, i odwrócił wzrok.

- Jesteś pewna, że on jest właściwie zorientowany? - spytała Sara, zauważając, że jego ubranie - czarne spodnie i obcisły czarny T-shirt - zdecydowanie pochodziło z „wyższej półki” markowych sklepów.

Martika prychnęła.

- Zaufaj mi. Przyciągam więcej gejów niż Pride Parade, zapytaj Taylora. Gdybym weszła do sklepu z ciuchami w East Nutless na Alasce, jedyny gej w promieniu pięćdziesięciu kilometrów podszedłby do mnie i spytał, co myślę o koszuli, którą chce kupić... No!

- Co no? - Sara rozejrzała się na boki, nie rozumiejąc.

- Nasz cel. Złapał haczyk.

- Co?

- Wygląda na znużonego, ale łąpie na nas. Ocenia teraz swoje szanse. Wolałby, żeby jedna z nas była sama... Mniejsze prawdopodobieństwo, że zostanie wyśmiany. Ale jesteśmy razem, więc musiałyby zaryzykować.

Sara tak naprawdę niczego nie zauważyła i zastanawiała się, czy Martika nie zmyśla. I nagle to zobaczyła... Ich „cel” sięgnął po swoją szklankę, odpowiadając śmiechem na coś, co mówił siedzący przy nim facet - i spojrzął prosto na nią, niemal pożerając ją swoimi ciemnymi oczami. Posłał jej ledwie dostrzegalny uśmiešek, jak gdyby wiedział coś, o czym nie wiedziała ona.

Serce zabiło jej trochę mocniej. To było jak... jak polowanie, coś w tym rodzaju. I zaczynało ją bawić.

- Okej, więc mamy cel. Co dalej? - spytała z zapałem.

- Poczekamy, aż do nas podejdziesz. Gdyby cię tu nie było, grałabym trochę ostrzej, może sama bym do niego podeszła - faceci to lubią, a ja nie znoszę gównianych ceregieli. Ale jeśli obie tam pójdziemy... nie. Za szczeniackie jak na mój gust.

- Hm. Może to nie najgorszy pomysł - powiedziała z namysłem Sara.

- Chcesz spróbować? - Martika zmrużyła jedno oko.

- Już teraz? - Czują, jak opuszcza ją wesołe podniecenie i ogarnia panika.

- Jasne. Dlaczego by nie?  
- Nie jestem gotowa.  
- Powiedziałaś, że to niezły pomysł - judziła Martika z diabelskim błyskiem w oczach. - Pamiętaj tylko, żeby kręcić biodrami. Ruszaj się tak, jakbyś szła w dół spadzistą drogą. Muszą cię zauważyć. Potem zapytaj, czy możesz postawić mu drinka. Dalej wszystko powinno pójść jak z płatką. - Szturchnęła ją w bok. - No idź.  
- Nie wiem...  
- Nie musisz go ciągnąć do domu, na litość boską. Postawisz tylko facetowi drinka.

- Uhm...  
- Dobra, powiedz mu tylko cześć, cokolwiek. To jak?  
Podejrzanie szczeniackie, zdecydowała, ruszając w koszmarne długą drogę do baru. Zauważyła przynajmniej, że facet coraz częściej zerkał w jej stronę. Czuła się skrępowana z powodu swojego chodu. Dopóki Martika nie zrobiła z tego wielkiej sprawy, w ogóle się nad tym nie zastanawiała, a teraz każdy ruch wydawał jej się żenująco toporny. Na szczęście dobrnęła do celu bez potknięcia - dobre i to, pomyślała. Nad seksapilem mogła popracować później.

Zamiast podejść do niego od razu, wolała być trochę bardziej subtelna. Stała za nim, opierając się o bar.

- Co ma być? - spytał barman.  
Odwróciła się, zdziwiona.  
- Hm. Co byś mi polecił? - odpowiedziała pytaniem, starając się, żeby jej głos przypominał bardziej Lanę Turner, a mniej Bajkę z „Atomówek”.

Zmroził ją wzrokiem. To jest bar, mówiła jego twarz. Polecam ci coś zamówić albo zwolnić miejsce.

Spojrzała na tablicę.

- Poproszę... Blue Neon Fogcutter\* - powiedziała godnie.

Barman uśmiechnął się z wyższością.

- Z jedną słomką?

- Eee... tak.

Zajął się przygotowaniem drinka, a ona odwróciła się,

Blue Neon Fogcutter - „błękitny neonowy przeganiacz mgły” - koktajl z brandy, dżinu, rumu i soku z ananasa.

wciąż nie mając pojęcia, jak zacząć rozmowę. „Cel” mówił coś do swojego przyjaciela o sporcie. Jak to Dodgersi dali w tym roku dupy. Jasne, i to jak! Nie. Nie znała się na sporcie, a mogło to wypaść jak rozmowa o Nowym Jorku - nowojorczyacy mogli naśmiewać się ze swojego miasta, ale kiedy ktoś obcy powiedział o nim złe słowo, było to równoznaczne z wypowiedzeniem wojny. Więc jak inaczej mogła do niego zagadać? Podobają mi się twoje ciuchy? Co pijesz? Czy ja ciebie skądś znam?

Westchnęła z irytacją. Hej, mister. Fajne buty. Chcesz się pobzykać?

Zapowiadała się kompletna kłapa.

- Proszę. Jeden Blue Neon Fogcutter. Dwanaście dolarów.

- Dwanaście... - Spojrzała na cenny koktajl. Był w szklance do martini - tylko że szklanka była wielkości słoja na ryby. Miał szokujący odcień błękitu i w przyćmionym świetle lampy nad barem zdawał się jarzyć własnym blaskiem.

- O mój...

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedział z chichotem barman. - Na pewno chcesz tylko jedną słomkę?

Zerknęła na stojącą przed nią szklanę alkoholu... i nagle ją olśniło. Odwróciła się w lewą stronę.

- Nie pomógłbyś mi tego zmęczyć?

Dopiero wtedy zobaczyła, kogo zaprasza do spółki i... zamarła.

To był kompan atrakcyjnego Latynosa, zdecydowanie mniej atrakcyjny. Był cały zarośnięty i nie łąpał dyskretnie. Wgapił się w nią wytrzeszczonymi oczami, a jego krzaczaste brwi lekko podrygiwały.

- Chętnie - odpowiedział.

- Przepraszam. Wzięłam cię... za swojego znajomego - wykrztusiła, czując się idiotycznie, i zerkając na Martikę.

Facet już tam był. Szeptał coś Martice do ucha, a ona raczyła go uśmiechem Mony Lisy. Po chwili wstała i ruszyła do baru - przykuwając spojrzenia wszystkich mężczyzn.

- Potrzebujesz wsparcia? - spytała, rzucając dwadzieścia dolarów na kontuar. Zgarnęła resztę, zostawiając jakiś napiwek, potem chwyciła szklankę i ze zmysłową gracją wróciła do stolika. Sara, drepcząc za nią, czuła się śmiesznie.

- Saro, poznaj Rinalda. - Uśmiechała się jak cholerna Martha Stewart. Koniec świata.

- Miło mi - mruknęła, a Rinaldo skinął tylko głową i skupił całą uwagę na Martice.

- Rinaldo, prawdę mówiąc, to nasz babski wieczór - powiedziała z naciskiem, zerkając na Sarę, a potem na jego krzesło.

Wstał, pochylając się nad stołem.

- Mógłbym któregoś dnia do ciebie zadzwonić?

- Masz coś do pisania? - spytała z uśmiechem.

Po chwili Rinaldo siedział obok swojego bujnie owłosionego przyjaciela, z numerem telefonu komórkowego Martiki w kieszeni, i zamiast ćwiczyć znudzone łypnięcia, spoglądał na nią powłóczyście, miękko wzrokiem.

- Jak ty to zrobiłaś? - spytała Sara, sącząc drinka z ogromnej szklanki.

Martika wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk przez drugą słomkę.

- To może zająć nam trochę czasu. Nigdy nie musiałam nikogo uczyć. Ale powiem ci dwie rzeczy. Po pierwsze, nigdy nie podchodź do faceta od tyłu, i nie próbuj być za subtelna. Mężczyźni są jak stare komputery. Jeśli chcesz od nich cokolwiek, musisz być bezpośrednia do bólu i wyrażać się względnie prosto. Po prostu uwierz mi, że tak jest.

- Więc dlaczego nie mówisz wprost: „Cześć, jak ci tam... może skoczmy do mnie na małe bzykanko?” - zamiast wszystkich tych ceregieli?

- Wypróbowałam coś podobnego - uśmiechnęła się - z dobrym skutkiem. Ale unikam takiej metody, bo, widzisz, mężczyźni są zabawni. Lubią wierzyć, że to oni są myśliwymi, że oni prowadzą grę. Śmieszne, ale tak już jest.

- Więc cała rzecz w tym, że facet musi uganiać się za jakąś zwierzyną?

- No nie, bez przesady, odpuść sobie ten kit, że mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus. Nie uważam, żeby mężczyźni wycofywali się do jaskiń. Gdyby tak było, ja na pewno bym na nich nie czekała. Wiem, czego chcę, wiem, jak to dostać. KK.

- KK?

- Koniec kropka - powiedziała z uśmiechem.

- A druga rada?

Martika pociągnęła następny łyk drinka i lekko się zakrtusiła.

- Zasada numer dwa: nigdy nie zamawiaj takich pieprzonych wynalazków. Ohyda. Wygląda to jak jakiś superdetergent.

Sara zrobiła łańcuch z dwustu osiemdziesięciu pięciu spinaczy do papieru, zanim zdała sobie sprawę, z budzącą grozę fascynacją, że zbliża się do stanu patologicznej, być może kwalifikującej ją do psychiatryka nudy.

Pracowała tu już miesiąc i jedyne, czym do tej pory tak naprawdę się zajmowała, to wymiana nerwowych pozdrowień ze swoim pracodawcą, Richardem „mów-mi-Richard” Peersonem. Pierwszy tydzień spędziła na składaniu do kupy jego kalendarza - z kawałków e-maili, listów i zapisanych koktajlowych serwetek. Richard miał niezwykle upodobanie do notesików z odrywaniem kartkami, w najróżniejszych kolorach, i to one były dla niej głównym źródłem informacji. Poważnym problemem, z którym musiała się zmierzyć, był jego charakter pisma. Znalazła kartkę, na której kiedyś coś nabazgrał, a potem przepisał starannie, najwidoczniej dla kogoś, kto pracował tu przed nią. Ten tekst służył jej za coś w rodzaju Kamienia z Rosetty, i tylko dzięki niemu była w stanie odcyfrować to, co próbował jej przekazać na piśmie.

W drugim tygodniu otrzymała zgodę - nie bez podejrzliwego wahania - na kupienie atrakcyjnego terminarza w skórzanej oprawie (należał na kolor burgunda, bo „gładka czern jest taka mdła”) i zdołała wpisać wszystko to, co znalazła, na listy rzeczy do zrobienia i planów na kolejne miesiące. Richard omdlewał na sam jego widok, więc codziennie rano mówiła mu tylko, co powinien zrobić, a on wręczał jej karteczki, na których notował, co tej lub innej osobie obiecał, że zrobi, albo listy od wydawcy informujące o ustalonych terminach.

Poranne odprawy zajmowały im zwykle około pół godziny. Próbowwała je w jakiś sposób przedłużyć, na przykład pociągając łyk kawy po omówieniu każdego najmniejszego zadania.

Teraz wypijała całe filiżanki pomiędzy kolejnymi karteczkami wciągniętymi do terminarza, ale i tak piętnaście po dziewiątej lista rzeczy do zrobienia była gotowa.

„Biuro”, które dostała do swojej dyspozycji, było bardzo atrakcyjne - ciężkie drewniane biurko, nowoczesny komputer

z dziewiętnastocalowym monitorem i płytą DVD-ROM (podejrzewała, że mogłaby oglądać filmy, uznała jednak, że byłaby to przesadna bezczelność), i elegancki czarny telefon, który wyglądał jak rekwizyt z filmu science fiction. Jedną ścianę pokoju zajmowały regały z książkami, wypełnione tomami beletrystyki i materiałem bibliograficznym. Był też kredens i drewniane szafki na kartoteki - z tego, co się zorientowała, wszystkie puste. Prawdopodobnie owe niepokojąco kolorowe teczki, założone przez poprzednią asystentkę, Richard upchnął do pudeł i schował w piwnicy. Korkowa tablica na jednej ze ścian również była огоłocona. Wielkie okno wychodziło na tylny dziedziniec, z basenem o nerkwatym kształcie i czarnym dnem.

Innym przyciągającym oko elementem wystroju było duże okrągłe lustro w ramie z matowego brązu. Sara mogła patrzeć na siebie podczas konsekwentnego oddawania się nałogowi kofeinowemu, tak jak teraz.

Wpatrywała się w swoje odbicie. Jak w reklamie papierosów: przebyłaś długą drogę, kochanie. O jej włosy dbał teraz systematycznie Joey, makijaż zawdzięczała wysmakowanej kompozycji produktów firm Lorac, Stola i Urban Decay, a ubrania były najwyższej klasy, na jaką mogła sobie pozwolić - z Fred Segal, Bebe i kilku wyrafinowanych butików, które poleciła jej Pink. Bez fałszywej skromności, wyglądała świetnie.

Skrzywiła się, odymając groteskowo usta, pokryte malinowoczerwoną szminką o metalicznym połysku. No cóż, w szkole randkowania wciąż oblewała, to fakt, ale przynajmniej nie mogła niczego zarzucić swojemu wyglądowi.

Kłopot polegał na tym, że nie bardzo wiedziała, co robi źle.

Spróbowała eksperymentalnego uśmiechu w stylu „hej-jestem-na-luzie”.

- Mam na imię... nie. Jestem Sara. Sara. Nie, to brzmi idiotycznie. Hm... jestem Saara. Sa-ra. Sara. - Żeby nie ten głos „Atomówki”...

Podniosła się i stanęła przed lustrem. Co tam! Richard nawet nie wiedział, czy ona żyje. Przechodziła obok niego, wychodząc na lunch albo do domu. Poza tym rzadko słyszała stukot jego klawiatury. I często się gdzieś wypuszczał. Widziała w lustrze swój tułów i twarz. Skrzyżowała ręce, przechylając na bok głowę.

- Jestem Sara. Często tu wpadasz? - Wsłuchiwała się w brzmienie swojego głosu. Dno. - Jestem Sara. - Uśmiechnęła się. Nuda. - Tu Sara. A ty kim jesteś? - Roześmiała się. Martika musiałaby się nawdychać helu, żeby mówić takim głosem. Beznadziejna sprawa!

Zrobiła zeza.

- Cześć, mam na imię Sara i jestem flirciarsko upośledzona. Nie zechciałbyś wesprzeć mnie datkiem na... Fundusz na rzecz Romansowo Niepełnosprawnych? A może zrobisz dobry uczynek i zaprosisz gdzieś taką jak ja, żeby uczynić jej szare, ale dobrze ubrane życie trochę bardziej ekscytującym... - Zakryła rękami twarz. - Niech to szlag. Chyba mi całkiem odbija.

- Ale to naprawdę zabawne.

To musiał być głos Richarda. Sara wyjrzała przez rozsunięte palce, czując pod dłońmi rozpalone policzki. Powoli odsunęła rękę od twarzy.

- Yyy... cześć. Od dawna tu jesteś?

Gapił się na nią, jakby wyrosła jej druga głowa - ale minę miał dosyć pogodną.

- O rany. Czy dla ciebie to było równie żenujące jak dla mnie? - spytała z bladym półuśmiechem.

- Szczerze mówiąc, najbardziej podobała mi się ostatnia scenka, bo to była autentyczna improwizacja. Mogłabyś jednak popracować nad głosem.

Zastanawiała się, czy skok przez okno nie byłby jakimś wyjściem z sytuacji.

- Wiesz, co ci powiem? Rzeczywiście dobrze się ubierasz. I jesteś ładną dziewczyną. - Rzucił jej krótkie, spłoszone spojrzenie. - Nie w sposób wyzywający, oczywiście... Ale mogłabyś popracować nad stylem - odpowiedział, prawie nieśmiało.

Sara nie odrywała od niego wzroku. No tak, małpowała Martikę na próżno. Być może jej szef, ekscentryczny multimilioner, miałyby jakieś wskazówki.

- Co byś mi radził?

Ściągnął w skupieniu śnieżnobiałe brwi.

- Cóż, więc po pierwsze, przydałoby się popracować nad głosem.

- Wiem -jęknęła. - Mówię jak pewna postać z filmu Disneya.

- Problem polega na tym, że mówisz jak Myszka Miki... ale Myszka Miki pozująca na Tallulah Bankhead \*. Powinnaś wykorzystywać swoje atuty, moja droga.

- To znaczy, mówić jak dziewczynka?

- Gotów jestem założyć się, że osoba, która udziela ci teraz wskazówek, jest wielką łanią o talii osy i rozłożystych biodrach... typ wojowniczej, niezależnej Amazonki.

- Jakbyś ją widział. - Sara pomyślała o Martice.

- Ale to nie jesteś ty. Nie mówię tego w negatywnym sensie, myślę tylko, że nie jesteś w tym typie.

- Więc powinnam być po prostu czyjąś żoną? - Westchnęła ciężko.

- Dobry Boże, nie! - zaprotestował z taką pasją, że Sara się roześmiała. - Pomyślałem sobie, że mogłabyś postawić na niewinność połączoną z figlarnością - biel przy jej czerni, w pewnym sensie. Ze swoimi włosami, twarzą i głosem - cóż, nie jestem ekspertem, ale wydaje mi się, że dobrze by ci było w pastelowych kolorach.

- Nie wiem. - Zmarszczyła brwi. - Lubię pastelowe kolory, ale wyglądam w nich strasznie młodo.

- To twój plus - powiedział ze śmiechem. - Im młodziej, tym lepiej. Najlepiej na granicy dorosłości. Możesz być jak... och, jak ona się nazywa? Alicia Silverstone. Krótsze włosy, oczywiście, ale pewnego rodzaju jędrzowatość... jak to określić? Tak. Kobieta dziecko.

Kobieta dziecko. Dwa w jednym, pomyślała, krzywiąc się z niesmakiem. Tfu.

Wyciągnął ręce w pojednawczym geście.

- Tak, wiem, że to cofa feminizm do mroków średniowiecza. - Po jego twarzy przebiegł kpiący uśmieszek. - Ale z drugiej strony, to samo można powiedzieć o trenowaniu przed lustrem technik łowienia mężczyzn.

Wykrzywiła się do niego. To było silniejsze od niej.

- Jesteś o wiele zabawniejsza od pani Honeywell. Jadłaś lunch?

\* Tallulah Bankhead - aktorka, która słynęła ze skandalizującego trybu życia; Marlena Dietrich nazwała ją „najbardziej niemoralną kobietą, jaka żyła na Ziemi”.



Sara spojrzała na zegarek.

- Jest dziesiąta rano.

- Ooo... - Richard zamrugał. - Mam rozumieć, że nie. Co byś powiedziała na wspólny posiłek?

Sara, niewiele myśląc, zgodziła się na „brunchową” randkę ze swoim szefem. Zamiast zwykłego zapoznawczego posiłku z nowym pracownikiem - na co zazwyczaj składały się drobne przytyki pod adresem jego poprzednika, zwięzły opis układów panujących w biurze (kogo unikać, komu się podlizywać) i jakieś ogólne sondujące pytania o aspiracje zawodowe delikwenta („gdzie widzisz się za pięć lat?”) - Richard poszedł na całość. Nim się zorientowała, zaczęła mu opowiadać o Benjaminie i dlatego przeniosła się do Los Angeles.

- Niewiarygodne, jaki to drań! - powiedział, szokując ją na tyle, że odrobina *huevos rancheros* \* spadła jej z talerza na obrus.

- Zabawne, jak często to słyszę.

Przepróznowali w mieście dobre trzy godziny. Po relaksującym posiłku zrobili przegląd wystaw sklepowych na Trzeciej Ulicy, a potem Richard zatrzymał się przy księgarni „Borders” i kupił jej kilka egzemplarzy swojej książki. Sara po raz pierwszy, odkąd przyjęła tę posadę, poczuła się tak dobrze.

- Po południu muszę pisać - powiedział Richard przepraszającym tonem, kiedy wróciła do swojego biurka.

- Przepraszam, jeśli zajęłam ci zbyt dużo czasu!

- Nie, nie, ależ skąd! To ładuje mój akumulator. Czy dzisiaj mam jeszcze coś do załatwienia?

Sara otworzyła szybko terminarz.

- Nie.

- Świetnie. Może zrobisz sobie wolne popołudnie?

- Naprawdę? Mogłabym?

- Naprawdę! Spraw sobie kilka ciuszków, o których rozmawialiśmy, weź kąpiel w pianie. - Uśmiechnął się. - Poćwicz przed lustrem w domu.

Pokazała mu język. Oceniała go właściwie - zaśmiał się radośnie.

\* *Huevos rancheros* (meksyk.) - jajka po farmersku - gorące placki kukurydziane z jajkami sadzonymi, ostrym sosem i posiekanymi liśćmi kolendry.

- Dobrze. W takim razie już mnie tu nie ma. Do zobaczenia jutro rano.

- Nie musisz się spieszyć - powiedział ze śmiechem.  
- Przyjdź, kiedy chcesz.

Kiedy zniknął w głębi holu, Sara zebrała swoje rzeczy, ale zanim doszła do drzwi wyjściowych, usłyszała jego ciężkie kroki.

- Saro! Zaczekaj chwilę!

Odwróciła się. Musiał biec, żeby ją dogonić, bo sapał jak lokomotywa.

- Tak?

Wręczył jej coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak firmowa kartka pocztowa albo jakaś reklama, ale okazało się zaproszeniem - bardzo wykwintnym, ze złotą folią i tak dalej. Treść była krótka:

ANAIS.COM

- Co to jest?

- To... magazyn poświęcony seksowi. W eleganckim stylu, oczywiście. Tak naprawdę to pismo na bardzo wysokim poziomie intelektualnym. Jego właścicielem jest mój wydawca. Poznałem redaktora naczelnego, kiedy robili materiał o... mniejsza z tym. W każdym razie ich przyjęcia są legendarne. To odbędzie się w Hollywood, pewnie gdzieś przy Sunset. Możesz zabrać swoich przyjaciół.

Sara spojrzała na zaproszenie.

- Chętnie się wybiorę na dobrą imprezę.

Martika by to pochwaliła.

Richard skinął głową.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### *Light My Fire (Rozpal we mnie ogień)*

- To nie impreza - wymamrotała Sara prosto w ucho Martiki. - To orgia.

- Właśnie dlatego mi się podoba.

Impreza Anais.com odbywała się w jednej z tych charakterystycznych frontowych hal z mlecznymi szybami, gdzieś w Venice, w sąsiedztwie starych magazynów. Kolejka do wejścia była niewyobrażalnie długa, a ludzi bez zaproszeń odprowadzono z kwitkiem. Sara przyprowadziła swoją stałą ekipę - Martikę, Taylora, Luisa, Pink, a nawet Kita. Wszyscy oprócz Kita wyglądali zabójczo. Martika miała na sobie opalizujący top, czarną mini i swoje tradycyjne platformy. Pink włożyła sukienkę w trapez w stylu lat sześćdziesiątych i białe buty go-go. Taylor był w metalicznie niebieskim obcisłym T-shircie i czarnych spodniach. Luis odwrócił ten zestaw, zakładając czarną, obcisłą koszulkę i niebieskie spodnie. Sara skorzystała z rad Richarda i Pink - wybrała błękitną, dziewczęco słodką sukienkę, buty na wysokich podszewkach z paskiem na klamerkę, a we włosy wpięła błyszczące spineczki.

Kit... jak to Kit, był w džinsach i białej koszuli z krótkimi rękawami. Sara miała wielką nadzieję, że w sprawie stroju nie obowiązywał tu żaden kodeks.

Niepotrzebnie się martwiła. Okazało się, że niewielu ludzi miało na sobie cokolwiek. Zauważyła dwa prowizoryczne bary po przeciwnych stronach sali, obydwie obleżone. Barmani,

głównie mężczyźni, występowali w wykwintnych slipkach, które nie pozostawiały wiele pola dla wyobraźni. Impreza była sponsorowana przez Bacardi, więc wszystkie drinki miały neonowo mleczny kolor, a w powietrzu unosił się przenikliwy zapach rumu. Dookoła przechadzały się kobiety w stringach, na wysokich obcasach i w stanikach bikini. Niektórzy skąpo ubrani mężczyźni i kobiety tańczyli na specjalnych platformach i w kilku klatkach.

- Czadowa impreza! - powiedział Taylor, gapiąc się na faceta, który miał na sobie tylko szkocki kołnierz i rozmawiał z facetem wyglądającym rozbijając nie na miejscu w trzyczęściowym garniturze... dopóki ktoś nie zauważył, że miał rozpięty rozporek, z którego zwisał jego penis, jak trąba słońca. No, może słońca. - Widziałem chyba... to Moby!

- Jedna z najlepszych imprez, na jakich kiedykolwiek byłam! - powiedziała z zachwytem Pink. - Właśnie ktoś wcisnął mi do ręki pakiecik imprezowy, jest w nim ecstasy! Cudne, prawda?

Sara wolała udawać, że niczego nie słyszała.

- I co... rozglądasz się za jakimś celem? - spytała z uśmiechem Martika.

- Wiesz, że chyba jestem gotowa. - Sara pozwoliła sobie na równie diaboliczny uśmiech.

- Gotowa na co? - zapytał Kit.

- To prywatna rozmowa, Kit.

- W takim razie nie powinnaś krzyczeć! - krzyknął, żeby jego głos mógł się przebić przez ogłuszającą muzykę.

Przewróciła oczami i odchyliła głowę w stronę Martiki, rozmyślnie go ignorując.

- Czuję, że wezmę dzisiaj kogoś do domu - powiedziała, biorąc głęboki oddech.

- I tak trzymaj! A kogo?

- Jeszcze nie wiem. Ale dam ci znać.

Robiła obchód z Martiką i Pink, podczas gdy Taylor, Luis i Kit walczyli z tłumem, żeby zdobyć drinki. Nie brakowało w tym tłumie atrakcyjnych ludzi, ale w każdym przypadku wątpliwa była ich orientacja seksualna. Poza tym wszystkich obecnych Martika zaliczyła do osobistości niższego sortu... jakiś chłopaczek ze zdjętego z anteny sitcomu, sporo aktorów

z listy B. Pink wydawało się, że namierzyła jakichś prawdziwych VIP-ów, ale ci ukrywali się widocznie w „prywatnych” salach. Nawet na gorących imprezach obowiązywała separacja, pomyślała Sara.

Wszyscy pozostali albo próbowali uprawiać seks (w niektórych przypadkach dosłownie - interesująca scena rozgrywała się w jednej z klatek), albo wypatrywali kogoś znajomego.

- Oczarował mnie jeden barman - oznajmił radośnie Taylor.  
- Proszę, wasze drinki. Saro, jesteś wielka - zrobiłaś nam fantastyczny prezent.

- Ja tylko dostałam zaproszenie... - Uśmiechnęła się zawstydzona. - To dzięki temu, że kogoś znam.

- Kwiatuszk, niedługo odkryjesz, że znasz mnóstwo ludzi - powiedział Taylor z egzaltacją, omal nie wylewając swojego drinka na Martikę. - A któregoś dnia bardzo ci się to przyda, wspomnisz moje... o mój Boże.

Sara, zauważywszy, że i Martice z wrażenia opadła szczeka, odwróciła się, żeby zobaczyć, co ich tak poruszyło. I skamieniała. Nie chciała nawet mrugnąć, żeby nie stracić ani ułamka sekundy tego widoku.

Jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu, w czarnym, obcisłym topie, który uwydatniał zamiast okrywać wspaniale rzeźbiony tors. Jego skóra miała kolor ciemnej opalenizny i jakby połyskiwała. Miał brązowoczarne lekko kręcone włosy, a ciemnymi oczami mógłby przewiercić ścianę.

- O kurde... to Raoul - wymamrotał Taylor. Przynęli się do siebie i gapił jak szkolne podlotki.

- Raoul, ten model od bielizny? - spytała Martika, nie odwracając głowy, żeby nie stracić dobrego kąta widzenia.

- Ooo! Musi być sławny.

- Kpisz sobie? - Martika, wyglądająca na autentycznie zdenerwowaną, ścisnęła Sarę za ramię. - Obchodzi mnie jedno: co zrobić, żeby taki się ze mną ożenił i urządził mi życie, do którego lubiłabym być przyzwyczajoną.

- Więc podejdź do niego i pogadaj z nim - zachęciła ją Sara, zaskoczona nagłą zamianą ról. Koniec świata!

- Uhm... Może po następnym drinku.

- Po kilku drinkach - poprawił Taylor. - Chodź, popłynij ze mną pod prąd.

- I przynieś mi butelkę wody, jeśli coś takiego mają! - zawołała za nimi Sara.

Pink tańczyła z dziewczyną ubraną jak FEM-bot\*. Luis nadąsany, próbował przedrzeć się do drzwi. Nie wiedziała gdzie jest Kit - i tak naprawdę, patrząc na Raoula, nie mogła być tym mniej zainteresowana.

Facet wyglądał absolutnie bosko. Jak wcielenie grzechu. Zastanawiała się, czy smakuje jak wielki deser lodowy z bitą śmietaną albo jak seksuczka w Tajlandii.

Co się ze mną dzieje!

Przestała o tym myśleć, kiedy zauważyła, że on się na nią gapi. Uśmiechnął się. Poczowała, jak jej żołądek skręca się w węzeł.

No i co powinna teraz zrobić?

Ułatwił jej decyzję, powoli zмирzając w jej stronę. Z każdym krokiem, który zmniejszał odległość między nimi, węzeł w jej żołądku zaciskał się jeszcze mocniej.

Pogadaj z nim. Powiedz coś dowcipnego.

Siłą woli odepchnęła się od ściany. Stała przez chwilę, zbierając się na odwagę, w końcu zrobiła krok naprzód.

- Hej! - usłyszała radosny głos i nagle mężczyzna z przesywającym spojrzeniem został osaczony przez dynamiczny tandem Taylora z Martiką. - Jesteś Raoul, zgadłam? - Tika rzuciła mu najlepszy ze swoich wyzywających uśmiechów. Taylor stał tuż za nią.

Sara zastanawiała się, które z nich go oczaruje. Pewnie oboje, pomyślała smętnie. Powinna posadzić swój tyłeczek Lolitki na najbliższej kanapie i udawać, że wstała tylko po to, żeby rozprostować kości.

Raoul dał się wciągnąć w rozmowę. Martika nęciła go uśmiechami, a Taylor dotykał częściej i przysuwał się bliżej, niż to było konieczne... i nagle on, to męskie bóstwo, odwrócił się do Sary i puścił do niej oko.

Zaczęła przemawiać sobie do rozsądku. Właściwie dlaczego miałyby uciekać? Fakt, że chciała dzisiaj pójść z kimś do łóżka... ale nie musiał to być pierwszy facet, z którym uda jej się pogadać. Jeśli, tak jak przypuszczała, Tika zaciągnie Raoula do

\*FEM-bots - uwodzicielskie roboty-zabójczynie z filmu „Austin Powers”.

domu, po prostu powie mu cześć i może zamieni z nim kilka słów przy porannym grejpfrucie. Dlaczego by nie?

Podeszła do niego i z uśmiechem wyciągnęła rękę.

- Cześć, jestem Sara.

- Słucham?

- Mam na imię Sara - powiedziała prosto w jego ucho.

Odwzajemnił uśmiech, przeznaczony, jak się zdawało, tylko dla niej.

- Sara. Ładnie. Brzmi swojsko. - Jego akcent sprawiał, że każde słowo było jak perlista kropelka miodu.

- Ja mam na imię Raoul.

- Tak, słyszałam. - Musiała się powstrzymać, żeby nie zrobić czegoś głupiego - pocałować go... albo zemdleć.

- Świetna impreza, prawda? - Jego zęby były tak olśniewająco białe, że zastanawiała się, czy grywa też w reklamach pasty do zębów.

- Fantastyczna - usłyszała głos Martiki. - Skąd znasz „Anais.com”?

Sara zmarszczyła brwi. Martika piała egzaltowanym głosem. Nigdy tego nie robiła.

- Byłem kiedyś na ich okładce. I pozowałem do aktów na rozkładówkę. Nic specjalnego.

Martika wyglądała, jakby miała się zacząć ślinić. Sara podejrzewała, że Taylor już zaczął.

- My znamy Richarda Peersona. Napisał dla nich artykuł - powiedziała Sara.

- Przyszedłbym na tę imprezę, nawet gdybym nie miał z nimi żadnych powiązań.

Czy on się na nią gapił czy już kompletnie oszalała? Zmarszczone czoło Martiki mówiło, że nie zwariowała. Jak to rozegrać?

- Możemy postawić ci drinka? - spytała Martika, próbując pokierować go w stronę baru.

Taylor odciągnął ją na bok.

- Widziałś Luisa? Strasznie chciałbym, żeby poznał Raoula.

- Wydaje mi się, że szedł w stronę wyjścia - podpowiedziała Sara.

- No to nieźle. Cholera, czuję, że będzie dramat. -I zniknął za drzwiami.

- Uważam, że byłeś nieeesamowity w tej reklamówce Luisa Vuittona. - Martika znówu piała. - Mam nadzieję, że kolejka do baru nie będzie zbyt długa. Na co masz ochotę?

- Prawdę mówiąc, na nic, dzięki. Może usiadzimy? - mówiąc to, patrzył na Sarę.

Ruszyła za nimi. Nagle poczuła lekkie muśnięcie w okolicy krzyża i odwróciła głowę. To był Kit.

- Widziałas gdzieś Taylora i Luisa?

- Chyba wyszli na zewnątrz.

- Co?

- Powiedziałam, że chyba wyszli!

- Cholera. Mieli mnie zawieźć do domu. Mam nadzieję, że nie dają sobie po pysku. Jeśli oni nawalą, będę mógł się zabrać z tobą?

- Eee... Nie wiem. To znaczy, nie jestem pewna, co będę robić później. Rozumiesz chyba...

Pogładził ją po plecach, wpatrując się w jej twarz. Bez żadnego dobrego powodu poczuła się winna. Wysunęła podbródek. Była pewna, że Kit nie był jakimś niezłomnym skautem i gdyby to jego upatrzyła sobie jakaś supermodelka, z radością wylądowałby z nią w domu.

- Uważaj na siebie - powiedział, łaskocząc oddechem jej szyję. - Okej?

Skinęła głową.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem wolno odszedł.

Sara odwróciła się do Martiki i Raoula. Martika była wyraźnie zdenerwowana, bliska wściekłości, ale udawała znudzoną. Raoul patrzył na Sarę.

- To był twój chłopak? - Jego oczy były jak więzienne reflektory szperacze, skierowane prosto na nią.

- Skądże! - odpowiedziała ze śmiechem, widząc, że Raoul wskazuje jej miejsce na kanapie, które zwolnił Taylor. - Kit jest tylko moim przyjacielem.

- Naprawdę fantastyczna impreza.

Wyciągnął rękę na oparciu kanapy, za jej plecami. Teraz Tika wyglądała na wściekle znudzoną, pomijając wyraz jej oczu, które nieznacznie się zwięziły.

Oho... nie jest dobrze.

- A więc, Raoul... - Tika nachyliła się, pokazując głęboko odsłonięty dekolt. - Co robisz później?



Raoul łypnął okiem, wzruszył ramionami i odwrócił się z powrotem do Sary.

- To zależy.

Poczuła piekące ciepło na policzkach. Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że zaproszenie jest czytelne. To nie była jej specjalność. Ale będzie, nic straconego.

Gdy odwrócił głowę do Tiki, poczuła się jak osierocona. Ale tylko na moment.

- Wybaczysz nam? - spytał i odwrócił się z powrotem do Sary. - Zatańczymy?

Już nie widziała twarzy Tiki, tylko jego oczy.

- Z przyjemnością.

Martika wychyliła następną „kamikadze”\*.

- Jeszcze raz to samo - powiedziała do Taylora.

Przewrócił oczami, ale poszedł spełnić jej życzenie.

Co za pieprzony tupet! Sama sobie wychowała tę niewdzięczną sukę. Z panienki z farmy w jakimś Fairfield zrobiła prawdziwą klubową maniaczkę, i takie dostała podziękowanie? Sara dobrze wiedziała, że ona jest zainteresowana tym facetem. W tych sprawach obowiązują pewne zasady. Wyrywaniu przyjaciółce kogoś, kto wpadł jej w oko, to zwykłe kłusownictwo. Gorzej, to zdrada. Tańczyć z tym facetem tuż przed jej nosem!

To był chwyt poniżej pasa. Martika nauczyła Sarę wszystkiego, co wiedziała o uwodzeniu facetów, o nocnym życiu L.A. Teraz Sara udaje, że to jej impreza, jej przyjaciele, i że jest lepszą partią, bo jest młodsza, bo zrobiła sobie te cholerne złote pasemka i ma na sobie ciuchy, w które Martika nie wcisnęłaby się nawet w jej wieku...

Pohamowała się w środku tyrady. Okej. To zaczynało być przerażające. Czy naprawdę właśnie to ją tak denerwowało?

- Widziałś gdzieś Luisa? - Podszedł do niej Taylor. - Szukam go w tym cholernym bajzlu i...

- Gównu mnie to obchodzi.

- Co w was wszystkich wstąpiło? Kit zniknął, Luis pewnie wyszedł obrażony, a ty jesteś na jednej z najlepszych imprez,

\* „Kamikadze” - koktajl na bazie wódki, z sokiem cytrynowym i innymi trunkami, np. likierem pomarańczowym.

jakie trafiły ci się w życiu, i siedzisz tu z miną Joan Crawford, która zobaczyła Grincha. Co się z tobą dzieje?

- Jestem... Sara mnie wkurza. Już prawie miałam Raoula, a ona wyciągnęła go do tańca. - Rewizjonistyczne ciagoty, to pewne, ale ona nie miała zamiaru się w tym wszystkim babrać. Wychyliła cytrynowozielonego drinka, którego wręczył jej Taylor, i z głośnym brzdękiem odstawiła na stół szklankę. - Nic to. Nadrobię stracony czas później.

Alkohol solidnie uderzył jej do głowy, więc dopiero po minucie zdała sobie sprawę, że Taylor ma zakłopotany wyraz twarzy - co u niego nie wróżyło nic dobrego.

- Co? No co? - Uszczypnęła go tak, że się skrzywił. - Gadaj.

- Myślę, że powinnaś sobie odpuścić dzisiaj Raoula - powiedział, z teatralną gorliwością zbierając przed sobą wszystkie szklanki. - Bo coś mi się zdaje, że on właśnie pojechał do domu z Sarą.

- Pojechał do domu... z Sarą? - To się nie mieści w głowie!  
- Co masz na myśli? Odwozi ją do domu czy co?

Taylor chrząknął subtelnie.

- Myślę, że oni nie mają w planie wyłącznie jazdy samochodem.

Zamrugała nerwowo. Raoul, model z reklam bielizny, pojechał do domu z Sarą, panienką z farmy. Żeby się z nią przespać.

- Co za zdzira!

Taylor zakrył jej usta ręką, tłumiąc resztę soczystego komentarza. W końcu jęknęła z bezsilności.

- Tika, ty byś zrobiła to samo.

- To mnie się należał ten facet!

- Och. - Uniósł arystokratycznie brew. - I kiedy w poniedziałek zaczniesz się szkoła, diabli wezmą twoją reputację w całej Słodkiej Dolinie. - Pokręcił głową. - Opanuj się, kwiatuszku. Ja jestem dumny, że nasza dziewczynka awansowała w łańcuchu pokarmowym od robienia za pucybuta jakiegoś pierwotniaka do pieprzenia się z modelem z reklamy bielizny. Zaszczepiliśmy w niej poczucie klasy, nie sądzisz?

- Nie, nie sądzę. Myślałam, że przyjaźń to coś więcej.

- Jasne. A fakt, że boski, dwudziestokilkuletni model z reklamy bielizny wybrał twoją młodszą, trochę surową przyjaciółkę, nie ma tu nic do rzeczy.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Ciągłe chodzi tylko o ciebie, skarbie - powiedział ze śmiechem.

Zobaczyła, że Luis idzie w ich stronę. W pierwszym odruchu chciała ostrzec Taylora, ale była tak wkurzona, że okrutna strona jej charakteru okazała się silniejsza.

Taylor odwrócił się i w tym samym momencie Luis wymierzył mu silny policzek.

- Ty draniu!

- Co? Coja takiego zrobiłem?! - krzyczał Taylor, zasłaniając się przed gradem ciosów.

- Pieprzyłeś się z tym didżejem!

- Nieprawda! Postawiłem mu tylko drinka!

- Koniec z nami, Taylor. Koniec! - Zaczął wymyślać mu po hiszpańsku i w końcu odszedł.

Taylor ruszył za nim, najwyraźniej zapominając o problemie Martiki. Zazgrzytała zębami. Cieszyła się, że Taylor zostanie ukarany za samo podejrzenie, że jest zazdrosna o swoją protegowaną, ale wciąż czuła krążącą w niej truciznę. Musiała się jakoś wyładować, uspokoić. Buzujący w niej alkohol sprawiał, że każdy pomysł wydawał się dobry.

Potrzebowała relaksującego pieprzenia, tak jak narkoman na głodzie potrzebuje działki. Czuła, że tutaj już nic nie działa. Poszła na parking, wsiadła do samochodu i pojechała do „Probe”. Swojego klubu. Tam był jej wybieg.

Wmieszała się w rozedrgany, dyszący tłum na parkiecie. Ludzie tańczyli jak oszaleli, transowy rytm działał jak plemienny afrodyzjak. Dała mu się ponieść, czuła, jak przesywa ją na wskroś, i rozglądała się za kandydatem.

Znalazła go, faceta w garniturze i krawacie - dlaczego by nie? - wyglądającego okropnie nie na miejscu i, sądząc po wyrazie jego twarzy, czującego się okropnie nie na miejscu. I zdeteminowanego... - odgadła to ze sposobu, w jaki penetrował tłum wygłodniałym wzrokiem, podobnie jak ona. Na oko miał jakieś dwadzieścia siedem lat. Nie tak młody, jak by sobie tego życzyła, ale przecież nie potrzebowała go na długo. Przysuwała się do niego w tańcu, doskonale świadoma tego, co wyćwiczone ciało potrafi zdziałać dobrym biustem. Był zahipnotyzowany/zanim zbliżyła się na wyciągnięcie ręki.

Nie musiała pytać, czy ma ochotę zatańczyć. Podeszła i przylgnęła do niego, prowokując delikatnie, żeby ocierał się o nią w podniecający sposób. To ona prowadziła, nadawała rytm. Najlepszy sposób, żeby sprawdzić, jaki facet jest w łóżku, to wziąć go na parkiet - powiedziała swojej współlokatorce całe wieki temu. Sara okazała się dobrą uczennicą, chociaż kiepską przyjaciółką. Jeszcze da jej nauczkę.

Oddychał ciężiej, poczuła na udzie jego twardą męskość. Nieźle. W tym opakowaniu krył się całkiem niezły towar, pomyślała. Pora go wypróbować. Pochyliła się, dotykając policzkiem jego spoconej twarzy, i wyszeptała mu do ucha:

- Chcesz pójść w jakieś ustronne miejsce?

Skinął głową jak nastolatek i dał się wyprowadzić na korytarz. Było tam ciszej - a może jej się tylko zdawało, może głośna muzyka stępiła jej słuch. Choroba klubowa, pomyślała z leniwym uśmiechem.

Facet był całkiem przystojny, ale trochę gnojkwaty. Jak prawiczek. Uwielbiała deprawować ludzi.

- O czym chciałaś porozmawiać? - spytał ochrypłym głosem.

- O tym - mruknęła, przywierając do niego w długim pocałunku. To, co robiła swoim biustem, było niczym w porównaniu z tym, co potrafiła zrobić językiem.

Zaczerpnął powietrza i nagle zaczął całować ją gwałtownie, niezdarnie, z nieopanowaną zachłannością. Kiedy ścisnął jej pierś, pozwoliła sobie na uśmiech, przesuwając dłoń z jego karku na tors (i próbując go nieco ostudzić), w końcu sięgnęła w dół i chwyciła jego penis. Jęknął.

- Chcesz go gdzieś schować, kochanie?

- A to nie będzie mnie... eee... nic kosztowało?

- Darowanemu koniowi... i tak dalej, chłopcze.

- Tutaj? - Jego głos zabrzmiał piskliwie. Zniżył go szybko, spoglądając na wejście do sali. - Teraz?

- Noo... - Rozważała zabranie go do domu, ale wiedząc, że Sara będzie z Raoulem, pomyślała, że to lekka przesada.

- Poczekaj chwilę.

Wzięła go za rękę i zaciągnęła do tylnej klatki schodowej, która prowadziła do opuszczonych pomieszczeń biurowych i magazynu. Na szczęście był otwarty.

Chwycił ją, zanim zamknęła dokładnie drzwi. Pięć minut później nie miała na sobie majtek, a jej spódnica była zadarta do góry, chociaż i tak niewiele zakrywała. Jednym gwałtownym ruchem rozpiął suwak rozporaka.

- Kondom?

Sięgnął do portfela (ten gest ją oczarował) i wyjął foliową paczuszkę. Ciekawe, jak długo tam się uchowała. W marnym oświetleniu ledwie widziała grymas pożądania na jego twarzy i frustrację, z jaką zmagał się z prezerwatywą. Oparła się o jakieś pudła, a on podszedł i wbił się w nią z głośnym jękiem. Miała rację - był całkiem duży.

I nie był zły. Poruszał się coraz szybciej, ze spodniami wokół kostek, a ona odpowiadała mu równie mocnymi pchnięciami. Kiedy róg pudła wbił jej się w krzyż, oplótła go nogami, próbując dźwignąć się wyżej.

- Uch, ooch... - dyszał w jej ucho, wciskając się tak głęboko, że myślała, że dźgnie ją w serce.

- Tak. Pieprz mnie. Właśnie tak! - Drapała paznokciami jego elegancką koszulę, koncentrując się ze wszystkich sił. Pomyślała o Raoulu i skrzywiła się, ściskając go tak mocno, że jęknął, i z rozkoszy, i z bólu. Pomyślała o różnych facetach, z którymi pieprzyła się przez ostatnie... ile lat? W ilu miejscach, na ile sposobów?

To nie pomagało. Zamknęła oczy i przywołała swoją ulubioną fantazję, tę z gladiatorem i niewolnicą. Na szczęście z natychmiastowym efektem - ugryzła go w kark, żeby nie krzyknąć.

- Ach, aaa... - Wbił się w nią mocno, do końca. Potem wysunął się, odwrócił tyłem i zajął się sobą, dyskretnie chowając prezerwatywę do foliowego opakowania.

Słodkie, pomyślała, opuszczając spódnice. Zauważyła, że jest strasznie mokra. Będzie musiała iść do łazienki albo pojechać do domu i wziąć prysznic, a potem jeszcze gdzieś wyjść. Nagle zdała sobie sprawę, że jest zmęczona, więc może powinna wrócić do domu i tam zostać. Oho, zdaje się, że już nie ta kondycja. Włożyła majtki, myśląc z niesmakiem, że prawdopodobnie przez resztę wieczoru będą mokre.

Odwrócił się do niej.

- No tak... Czy mogę... czy dasz mi swój numer telefonu. Zaśmiała się, nagle czując się dużo, dużo lepiej.

- Dlaczego by nie?

Była pierwsza w nocy i od długiego siedzenia przy komputerze Judith zaczęły boleć plecy, mimo ergonomicznego fotela.

- Roger, naprawdę muszę już iść - wystukała na klawiaturze.

*Roger: Śpiąca?*

- Nieprzytomna. Zwykle nie siedzę do późna w nocy.

*Roger: Tu jest czwarta nad ranem.*

- Boże, przepraszam! - Naprawdę było jej przykro. Rozmawiała z nim od jakichś... pięciu godzin. Nie, sześciu. - Nie chciałam ci zająć tyle czasu.

*Roger: Nie ma sprawy. Udało mi się porozmawiać z piękną kobietą... i popraw mnie, jeśli nie mam racji, ale potrzebowałaś tej rozmowy.*

- To był nie najlepszy tydzień - zgodziła się, rumieniąc. Nie żeby był cięższy od innych. Po prostu przeżyła go wyjątkowo świadomie. - I trochę się boję. Może nie boję, ale denerwuję. Jestem sama w domu.

*Roger: Nie jesteś do tego przyzwyczajona?*

- Pewnie myślisz, że powinnam być - odpowiedziała, nie bardzo wiedząc, dlaczego nie mogła tego wieczoru zasnąć -dlaczego pójście do łóżka i zamknięcie oczu tak ją przerażało. - Kiedy David był na stażu w sądzie okręgowym, prawie go nie widywałam. Tylko dzisiaj czuję się jakoś dziwnie.

*Roger: Może trochę samotna? (Ruszające się brwi).*

- Tak, to chyba to. - Judith zachichotała, napełniając echem ciszę późnego wieczoru.

*Roger: Rozumiem. Każdy port jest dobry, gdy nadciąga burza! :)*

- Jesteś tak daleko, że trudno cię nazwać dogodnym portem  
- odpisała, zaskoczona własną śmiałością. Ta rozmowa była mało rzeczywista. Coś jak przedłużenie snu.

*Roger: Ale mógłbym być... nawet stąd. (Srogie ruszające się brwi!)*

- Nie boję się ciebie. - Zaśmiała się na cały głos.

*Roger: To dlatego, że nigdy się ze mną nie całowałaś. Podobno jestem w tym niezły.*

- Oho, grozisz mi - odparowała. To było głupie. Dziecinnie głupie. - Uważasz się za Don Juana?

*Roger: jak by to powiedzieć... Pamiętasz ten dialog, kiedy Bull Durham mówi, że wierzy w długie, głębokie, delikatne, mokre pocałunki, które trwają trzy dni?*

Poczuła podniecające mrowienie, zupełnie jak nastolatka. Zawsze uwielbiała tę scenę.

- Pamiętam i co z tego?

*Roger: Nie jestem aż taki szybki.*

Judith ciągle się śmiała, ale w środku czuła ciepło, a jej śmiech stawał się bardziej zduszony.

- Więc wierzysz w długie pocałunki. Zdarzały mi się długie pocałunki.

*Roger: I nie tylko w usta.*

W pierwszej chwili nie była pewna, czy dobrze przeczytała. Potem, kiedy dotarło do niej, co napisał, zarumieniła się mocniej.

- Jesteś paskudny - odpisała bez głębszego przekonania. Zaczynało ją to męczyć.

*Roger: Ja tylko wierzę w podejście kompleksowe. Mężczyzna może wiele zdziałać ustami i językiem, wierz mi.*

Nagle sobie wyobraziła... Nie mogłaby... za nic. Ale z jakiejś przyczyny... cholera, była sama w domu, rozmawiała z zupełnie obcym człowiekiem i brzmiało to dobrze. Do diabła. Brzmiało fantastycznie.

- Tak, tak - odpowiedziała, próbując przywrócić lekki ton rozmowie i nie dać po sobie poznać, ile zasiał w niej niepokoju. -Wszyscy faceci uważają się za ósmy cud świata. Podejrzewam, że miałeś wiele kobiet, które po mistrzowsku udawały!

*Roger: Nie dowiesz się, póki nie spróbujesz, hm?*

Judith wierciła się nerwowo na krześle. Zaczynała się czuć odrobinę... Do diabła! Była naprawdę podniecona, co zakrawało na śmieszność.

- Jesteś tysiące kilometrów stąd. A nawet gdybyś nie był...

*Roger: Mógłbym cię przez to przeprowadzić. :)*

To tylko Internet, tłumaczyła sobie. To się nie dzieje naprawdę.

Nikt się nie dowie.

- Daj mi przykład. - Prawie dygocząc, wpatrywała się w ekran.

*Roger: Po pierwsze, całowanie jest bardzo ważne. Powiedzmy, jakieś pół godziny głębokich, wolnych pocałunków. Potem zacząłbym cię rozbierać, a ty mnie, ale ciągle najważniejsze byłyby pocałunki. I dotyk. Poznałbym każdy centymetr twojego ciała.*

Nie mogła uwierzyć, że czyta coś takiego. Ale wcale nie chciała, żeby przestał. Kiedy ostatni raz całowałam się z Davidem dłużej niż dziesięć minut, zanim przeszedł do konkretów? I kiedy jej rozbieranie się było czymkolwiek innym niż środkiem do celu? Jego dotyk już od dawna na nią nie działał. Nie zastanawiała się nad tym aż do tej chwili, kiedy zupełnie obcy facet pisał do niej słodkie, graficzne „nic” na ekranie jej komputera.



*Roger: Potem, kiedy bylibyśmy już nadzy, położyłbym cię na łóżku. Całowałbym cię niżej. Twoje piersi - one zasługują na uwagę, ale to zależałoby od ciebie. Chciałaś, żebym się nimi zajmował?*

Nie myślała o tym nigdy wcześniej.

- Tak... ale nie za długo.

Dała się wciągnąć w jego grę.

Nastąpiła przerwa i Judith zastanawiała się, czy go zaszokowała - a może on po prostu żartował. Albo zasnął.

Zanim zdążyła pomyśleć, co robi, albo zawstydzić się, przyszła nowa wiadomość:

*Roger: Czy ja cię szokuję? Bo jeśli nie, to mógłbym ci coś zaproponować.*

Czy ją szokował? Nie. Poczła bolesny uścisk w dole brzucha. Śmieszne, ale była nieprawdopodobnie podniecona. Miała ochotę na seks, i to na dobry seks. Naprawdę tego chciała.

- Co masz na myśli?

*Roger: jeśli czujesz... jeśli chcesz, mogę sprawić, że poczujesz się o niebo lepiej. Ale będziesz musiała mi w tym pomóc.*

- Jak? Co mam robić?

*Roger: Użyj swoich rąk, pod moje dyktando. Wyobraź sobie, że są moimi ustami, moim językiem.*

Oblała ją fala gorąca. Rozejrzała się dookoła, jakby ktoś mógł ją widzieć. Rolety były opuszczone, dom pusty. Podciągnęła nocną koszulę i włożyła lewą dłoń w majtki. Czuła się dziwnie. Nieprzyzwoicie. Połaskotała się.

- Co teraz? - napisała prawą ręką.

*Roger: Gdybym był z tobą, położyłbym cię na łóżku i pieścił twoje uda... od wewnątrz. Znaczyłbym pocałunkami twoje ciało, aż dotarłbym tam... Potem rozchyliłbym cię powoli, tylko trochę, wsunąłbym język i pomyszkował w środku...*

Judith poczuła się jak w transie. Z obiema rękami w majtkach, jedną nogą na biurku, czytała wiadomości przez półotwarte powieki. Jej palce krążyły, zagłębiały się, pieściły delikatnie. Potem coraz mocniej i szybciej. Oddychała płytko. Jego słowa ciągle nadchodzący, szybciej, a ona przeżyła się, wygięta w łuk na ergonomicznym krześle. I nie mogła się sobą nasycić.

-Ooo... och... Oo! - krzyczała, tak jak nie zdarzyło jej się od lat z Davidem. Orgazm uderzył ją jak pięść, omal nie zrzucając jej z krzesła. Kiedy doszła do siebie, nie wiedziała, jak długo przychodziły wiadomości ani kiedy przestały przychodzić.

Nie była pewna, co się naprawdę stało. Kręciło jej się w głowie. Czuała się winna.

Chciała...

- Co jeszcze byś mi robił?

Sara weszła z Raoulem do ciemnego mieszkania. Tańczyli blisko siebie na imprezie, muzyka owijała ich ciasnym kokonem, nadając rytm ich ruchom. Pragnął jej... tyle mogła wyczuć. Ona pragnęła jego, a raczej tego, co sobą reprezentował. Był boski, ale nie знаła go, ledwie pamiętała jego imię. Niewykluczone, że był głupkiem, który sam ledwie zna swoje własne imię. Reprezentował wszystko, na czym jej teraz zależało - formę zamiast treści, radość z obecnej chwili zamiast zastanawiania się, czy mają przed sobą jakąś przyszłość.

Jak by to ujęła Martika?

Chciała zabzykać na śmierć Raoula, modela z reklam bielizny. Tego wieczoru.

Miała lekkie poczucie winy, ale czuała też, że Tika byłaby dzisiaj z niej dumna. Wygłosiła tyle kazań na temat jej obsesji na punkcie Benjamin i „syndromu opłotka”, krytykując jej wartości rodem z farmy w Fairfield. No więc teraz czuała się Dziewczyną z Miasta.

Gdyby jeszcze nie była tak zdenerwowana.

Chodziła z Benjaminem jakieś pół roku, zanim się z nim przespała - po wielu randkach, znając go na stopie koleżeńskiej dwa razy dłużej. Dziewictwo straciła z chłopakiem, który był jej szkolną sympatią. To miało być...

Wzięta głęboki oddech i zamknęła za nimi drzwi.

- Ładne mieszkanie — powiedział.

- Dzięki - wydusiła, zastanawiając się, czy on też się denerwuje. Czy faceci w ogóle się denerwują? - Mój pokój jest tam. To znaczy, moja sypialnia.

Uśmiechnął się, jakby zrozumiał aluzję. Oczywiście, że zrozumiał. Tańczyli i zapytała go, czy chciałby zobaczyć jej mieszkanie. Chciała właściwie powiedzieć: „czy prześpisz się ze mną?“, ale jakoś nie przeszło jej to przez gardło. Na szczęście nie musiała się wysilać. On dobrze wiedział, co jest grane.

Poszedł pierwszy. Modliła się, żeby w pokoju nie było zbyt wielkiego bałaganu. Może to nie zrobiłoby mu różnicy - w końcu coś z tego będzie miał - ale ją jeszcze bardziej wyprowadziłoby z równowagi. Na szczęście nie było tragicznie. Przynajmniej brudne ubrania były ułożone dość porządnie na fotelu. Zarzuciła na nie prześcieradło, potem spojrzała na niego nerwowo.

Znów przejął prowadzenie, przygarniając ją do siebie i całując. Poczła pierwsze ukłucia podniecenia w koniuszkach nerwów. Podciągnęła jego koszulę. Zdjął ją przez głowę i nagle sprawy nabrały tempa. Po sukience próbowała zrzucić na stojąco buty, ale bezskutecznie. Szarpała się z nimi dalej, opadając na stos brudnych ubrań. On szybko pozbył się swoich, sięgnął do rozporka spodni i rozebrał się do swoich markowych slipów. Stał tak przez chwilę, patrząc na nią z lekkim uśmiechem.

No proszę. Mam w sypialni żywą, oddychającą reklamę męskiej bielizny.

Potem zdjął resztę, a ona przyglądała mu się bez ruchu, ściągawszy wreszcie buty.

- No, w porządku - sapnęła.

Przyciągnął ją do siebie. Pocałowała go, poczuła, jak otacza ją ramionami, sięga do zapięcia stanika i zsuwa go delikatnie z jej ramion. Teraz dzieliły ich już tylko majtki.

Zaczął prowadzić ją do łóżka, całkowicie opanowany. Jest problem, pomyślała.

- Masz prezerwatywę?

- No... nie. - Zmarszczył czoło.

- Co? Chyba nie myślałeś, że będę się z tobą kochać bez prezerwatywy?

- A ty nie masz? - odpowiedział pytaniem.

- Posłuchaj, przecież możesz mieć... Możesz się zarazić wszystkimi możliwymi chorobami!

Westchnął, kładąc się na łóżku. Jego ciało wyglądało jak posąg... a penis jak maszt flagowy.

- Myślałem, że przyszedliśmy tu uprawiać seks, a nie prawić sobie kazania. - Urwał. - Czasem namiętność tak na mnie wpływa.

Kompletny głupek, pomyślała, czując, że płomień jej namiętności nieco przygasł.

Przyciągnął ją do siebie i przewrócił na łóżko. Zaczął całować jej szyję i piersi z gwałtownością, która ją zaskoczyła. Jak to, że znów oddychała szybciej. Czuła jego napierającą męskość.

- Poczekaj sekundę. - Wyrwała się i nago pobiegła do pokoju Martiki, modląc się, żeby jej tam nie zastać. Zastała tylko okropny bałagan - łóżko niepościelone, ubrania rozrzucone po podłodze, stanik na abażurze lampy. Podeszła do jednej z szafek nocnych i wysunęła szufladę. Powitało ją coś, co wyglądało jak pamiętnik, i coś, co wyglądało jak wibrator. Okej, to był wibrator. Skrzywiła się, zamknęła szafkę i poszła do drugiej.

Bingo. Chwyciła kilka kondomów - w szufladzie było ich pełno.

Wróciła biegiem do siebie, prawie trzaskając drzwiami. W porządku, maszt flagowy ciągle tam był, gotowy do akcji. Wręczyła Raoulowi prezerwatywę. Uraczył ją słodkim, protekcyjnym uśmiechem, potem rozerwał foliowe opakowanie, mrużąc z niezadowoleniem, bo zawartość nie do końca odpowiadała jego rozmiarowi.

Sara była z siebie naprawdę dumna. Zsunęła majtki i rzuciła je na podłogę obok łóżka.

- Zostawić światło czy wyłączyć?

- Bez znaczenia. Jak wolisz.

- Pod przykryciem, tak?

- Jasne.

Przygryzła wargę, sięgając do wyłącznika lampki.

- Nie chcesz jakiejś muzyki? Mogę nastawić... mmm...

Uciszył ją pocałunkiem. Zdawało się, że ma trzy dodatkowe

pary rąk. Dotykał jej całej. Znaczył pocałunkami twarz, szyję, piersi. Był wszędzie. Nie kochał się z nią, on ją pochłaniał.

- Hej... - Usiłowała protestować, ale przeszkodził jej w tym język w ustach, na pewno nie jej własny. Skoncentrowała się na pocałunkach i oddechu, żeby nie zemdlec i niczego nie przegapić.

Była chyba podniecona, tak przypuszczała. Łatwiej byłoby jej to ocenić, gdyby wiedziała, gdzie kończy się jej ciało, a zaczyna jego...

Wszedł w nią tak gwałtownie, że aż straciła dech. To nie żarty, kiedy niespodziewanie wślizguje się w ciebie coś tak dużego... Odrzuciła w tył głowę, próbując ustawić się pod lepszym kątem, żeby czuć go tam, gdzie tego potrzebowała. Nauczyła dopasowywać się z Benjaminem - to nie było tak trudne, jak się spodziewała.

Spieszył się jednak bardziej, niżby chciała, i ciężko oddychał. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Mógłbyś...

- Och, tak. Oooo...

Wbił się w nią tak mocno, że czuła, jakby jeden z jej jajników zmienił położenie. Potem zadrżał i omal jej nie zmiądzzył.

No nie, chyba żartujesz!

Poklepała go po ramieniu, dwukrotnie, jak szkolny zapaśnik uznający swoją porażkę.

- Raoul?

Stęknął i stoczył się z niej. Miała wrażenie, że wysuwał się z niej całą wieczność. Zdjął prezerwatywę, zawinał ją w jednorazową chusteczkę i wyrzucił. Potem leżał bez ruchu.

Ona też leżała, oszołomiona. No dobrze. I co teraz?

Czekała, aż zacznie rozmowę. Albo wstanie, ubierze się i pójdzie do domu. Cokolwiek.

Zaczął chrapać. Niemożliwe, żeby to się działo naprawdę. Po prostu niemożliwe.

Poczekala jeszcze chwilę, a potem go lekko trąciła. Potem jeszcze raz, mocniej.

Przewrócił się na drugi bok, zabierając jej cały koc.

Wstała, skrzywiona, włożyła bokserki i T-shirt i poszła do kuchni zrobić sobie drinka.

Usłyszała szmer prysznic. Martika była w domu?

Zastanawiając się, co jej powie, nalała sobie tylko soku pomarańczowego, bez wódki. Usiadła przy stole i czekała.

Martika wyszła z ręcznikiem na głowie i w kusej koszuli nocnej. Spojrzała na Sarę, kompletnie zaskoczona, potem na zamknięte drzwi jej sypialni.

- Skończone?

- Uhm - Sara mruknęła pośepnie. - Poprawka. To on skończył. Ja niezupełnie. Czy to ma jakiś sens?

Idealnie rzeźbione brwi Martiki podskoczyły tak wysoko, że schowały się pod ręcznikiem. Nagle zaczęła się śmiać.

- Tak, to zabawne - przyznała Sara i sama zaczęła chichotać.  
- Tika, przepraszam cię, wiem, że miałaś na niego ochotę...

- Nie przejmuj się - powiedziała wielkodusznie Martika, sięgając po szklankę wody i garść witamin. - Na początku byłam wściekła, ale w końcu to ja cię tego nauczyłam. Twoje pierwsze wyjście, pierwszy facet na jedną noc, i zaliczasz ostatnią bazę. Jak mogłabym się nie cieszyć?

Sara uśmiechnęła się. To znowu była Martika, którą znała - matkująca całemu Bulwarowi Hollywood.

- Dzięki, Tika. Mam u ciebie dług.

- Owszem, masz, chociaż wystarczy mi chyba cała ta historia z supermanem Raoulem. - Zaśmiała się i nagle zamilkła.

- Zaraz. On tam ciągle jest? Nie powinnaś być... No nie, nie powiesz mi, że on śpi?

- Chrapie.

Martika odrzuciła w tył głowę i parsknęła śmiechem na całe gardło.

- Coraz lepiej! I może ma małego fiuta?

- Co to, to nie. - Sara wciąż była pod wrażeniem ostatniego pchnięcia. - Ale był... taki w gorącej wodzie kąpany, jeśli wiesz, co mam na myśli...

- Musimy mu zmienić ksywkę na „Błyskawica i Wybuchowe Jaja”. Rany, nie mogę się doczekać, żeby sprzedać to Taylorowi.

- Powiesz mu? - Sara była oburzona.

- Jasne. - Tika machnęła szklanką i połknęła tabletki.  
- Wkrótce to zrozumiesz, wierz mi.

- Jest jeden kłopot. Przespałam się z nim, ale... Jak mam się go teraz pozbyć?

- O! - Martika uśmiechnęła się szatańsko. - Jeśli naprawdę chcesz mi to wynagrodzić... pozwolisz, że go wyrzucę?  
Sara parsknęła, wskazując drzwi.
- Baw się dobrze.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### *Hello, I Love You (Hej, Kocham cię)*

W czasie przerwy na lunch Sara wybrała się do księgarni Waldenbooks. Stała w dziale „Miłość i związki”, kompletnie wytrącona z równowagi. Za bardzo ją to wciągnęło, żeby dać sobie po prostu spokój, ale była zbyt wybredna, żeby napalać się na byle kogo. A tak właśnie było z Raoulem.

I jak żałosny koniec miała ta historia.

Nauczka na przyszłość, pomyślała, przeglądając dyskretnie „Kamasutrę”. Nie będzie już szukała przygody na jedną noc. Wszystko przemyśli i zaplanuje - i następnym razem znajdzie faceta, który uszczęśliwi ją w łóżku.

Jeżeli będzie równie atrakcyjny jak Raoul, to świetnie. Ale chętnie zamieniłaby zabójczy wygląd na trochę wytrwałości. Nie, na dużą wytrwałość. Facet musi znać się na rzeczy i nie mieć uprzedzeń. Zaliczyła już etap życia jak z „Ozzie i Harriet” \*. Teraz szukała czegoś w stylu „Henry i June” \*\*.

Tylko gdzie ja znajdę takiego faceta?

- Sara?

Spojrzała w górę, zamykając książkę z głośnym klapnięciem.

To był Jeremy. Słodki Jeremy z agencji marketingowej. Ten, któremu porządkowała kartoteki.

- Jeremy. - Uśmiechnęła się. - Jak miło cię widzieć.

\* „Ozzie and Harriet” - serial (z czasów telewizji czarno-białej) o życiu idealnej amerykańskiej rodziny z klasy średniej.

\*\* „Henry and June” - film Phillipa Kaufmana oparty na fragmentach pamiętników Anais Nin, poświęconym związkowi pisarki z Henrym Millerem i jego żoną.



W białej koszuli i karmazynowym krawacie wyglądał jak zawsze apetycznie. Miał lekko krzywy uśmiech i świdrujące spojrzenie. Właśnie takim go zapamiętała. Wyprostowała się i wypięła pierś. No, wreszcie cały ten trening na coś się przyda. Nie miał obrączki, poza tym Sara słyszała w biurze, że był zawodnikiem wysokiej klasy. Nada się znakomicie.

- Próbowałem się z tobą skontaktować - powiedział.

- Naprawdę?

- Było mi strasznie przykro, kiedy usłyszałem, co ci się przydarzyło. - Jego spojrzenie powędrowało na moment w dół i prześliznęło się po jej biuście. - Wiesz, te oskarżenia... Wydało się to nieprawdopodobne. Wyglądałaś na taką miłą dziewczynę.

Sara sposepniała, wątpiąc, czy może wziąć jego słowa za dobrą monetę.

- Nie mogłem uwierzyć, że pracowałaś dla kogoś innego i celowo skasowałaś dokumentację finansową. Szpiegostwo dla konkurencji... to było nie do pojęcia.

- Tak, tak... - Sara zachichotała. - To ja, Mata Hari sekretariatu. - Zatrzepotała rękami. Mata Hari. Wulkan zmysłów. Łapiesz?

- No więc przeprowadziłem małe dochodzenie.

- Co? - Natychmiast spowaźniała.

- I zgadnij, czego się dowiedziałem. Janice przekroczyła budżet o piętnaście milionów. To ona usunęła dokumentację, a potem próbowała obciążyć tym ciebie, żeby zyskać na czasie. Kiedy wszystko wyszło na jaw, próbowała się ratować, oskarżając jeszcze kilka innych osób. Kontrola księgowy wykazała, że nie tylko nieudolnie zarządzała pieniędzmi, ale wydała pięćdziesiąt tysięcy na swoje potrzeby.

- Niemożliwe! Na co?

- Zwykle rzeczy - masaże, pokoje hotelowe, wszystko na rachunek firmy.

- O rany...

- Zadzwoń mi do „Temps Fugit” i próbowałem oczyścić cię z zarzutów. - Uśmiechnął się jakoś przewrotnie. - Ale nawet nie raczyli mi dać twojego numeru telefonu.

Już miała mu podziękować, kiedy zdała sobie sprawę, że jego intencje nie były tak czyste, jak Dobrego Samarytanina. Zwiłyła językiem usta.

- Powiedz, w jaki sposób mogłabym ci się odwdziżyć?  
- Naprawdę, nic mi nie przychodzi do głowy. - Jego uśmiech stał się niemal drapieżny.

- Może kolacja, na dobry początek - powiedziała wolno, uważnie obserwując jego twarz.

Zareagował, niestety, lekko znudzonym grymasem. .

- Może moglibyśmy dopracować ten pomysł.

- Tańce! Chyba mi nie odmówisz.

- Dlaczego akurat tańce? - Uniósł brwi, ale wciąż się uśmiechał.

Idź na całość, Walker! Sara wzięła głęboki oddech.

- Bo wiadomo, że po tym, jak człowiek tańczy, najłatwiej ocenić, jaki jest w łóżku. - Modliła się, żeby nie spieć raka.

Zaszokowała go, przynajmniej na chwilę, ale uśmiech nie schodził mu z ust, a w oczach miał czysty, grzeszny seks. Prysunął się bliżej... na tyle, że wyczuwała ciepło jego ciała.

- Rozumiem - szepnęła. - W tej chwili też jestem oceniany?

Ani drgnęła, kiedy musnął jej usta krótkim pocałunkiem. Teraz on ją zaskoczył.

- Zostałeś poddany próbie - szarżowała dalej, sprawdzając kątem oka, czy ktoś ich nie obserwuje. Jeremy cudownie pachniał.

- Rozumiem, że taniec ma być następnym etapem tej próby... A co potem? - zniżył głos, oddechem łaskocząc ją w ucho.

- Och, na pewno coś wymyślę - odpowiedziała z uśmiechem, odkładając „Kamasutrę” tak, żeby zauważył okładkę.

Spojrzał na książkę, a potem wydał niski, prawie zwierzęcy odgłos.

- Podobasz mi się - powiedział po prostu, chociaż jego oczy płonęły jak pochodnie. - Powiedz, że dasz mi swój numer telefonu.

Martika siedziała przy swoim stałym stoliku w klubie „Pointless Party”. Bywała tam od dwóch miesięcy i nie sądziła, żeby potrwało to dużo dłużej. Przez dwa tygodnie nikogo nie poderwała - a ostatni facet, którego próbowała poderwać, miał...

Skrzywiła się, przyciskając dłonie do brzucha. Niech to szlag. Musiała przestać jeść w pracy lunchy w tym cholernym barku

na kółkach. Napiła się coli, mając nadzieję, że to uspokoi jej żołądek.

Nie żeby facet nie chciał się ze mną pieprzyć. To ja nie byłam zainteresowana.

Zresztą, co za różnica. Z jej życiem seksualnym zaczynało być beznadziejnie, a życie towarzyskie w L.A. schodziło na psy, żeby nie powiedzieć dosadniej.

Dzisiaj i tak nie zamierzała imprezować. Miała do spełnienia misję: poprawić nastrój Taylorowi. Jego ostatnie zerwanie z Luisem okazało się ostateczne - ten podły gad nie pokazywał się już od tygodni. Zdawało jej się, że widziała go z kimś innym w „Beer Bust”. Tam też wpadała coraz rzadziej - wciąż uwielbiała być dziewczyną w Mieście Chłopców, ale środowisko gejów zaczęło ją męczyć. Wystarczył jej Taylor.

- Skarbie, przynieść ci następnego drinka? - zapytała. Nawet nie ubrał się porządnie - w wytartych džinsach i T-shircie wyglądał, jakby to Kit go wystroił. Zły znak. Przynęła się bliżej i pocieszającym gestem ścisnęła go za ramię. - Mówiłam już... lepiej ci będzie bez niego.

- Tak, ale ja go znałem. Przywiązałem się do niego. Nawet do jego wad....

- Dosyć tego, przestań. To, że był łatwy we współżyciu, nie znaczy, że był facetem dla ciebie. Zasluguje na coś lepszego.

Taylor miał zaczerwienione oczy i zamiast zwykłego ironicznego błysku widziała w nich - co to, do cholery, było? - smutek? Czy pogardę?

- Martika, nie pomagasz mi w ten sposób.

- Staram się, skarbie, wierz mi, ale ty naprawdę zasługujesz na najlepsze.

- Tika, skąd możesz wiedzieć, co jest dla mnie najlepsze?

- Jak to? - Uśmiechnęła się i rozparła na oparciu kanapy. - Ja wiem, co jest najlepsze dla wszystkich.

- W takim razie, co jest najlepsze dla ciebie?

- To. Nocne rajdy, dobra zabawa, pocieszanie mojego jedyne go, najlepszego przyjaciela.

- Nie zrozum mnie źle... ale czy nie brakuje ci prawdziwego życia?

Powiedział to tak zwyczajnym, ciepłym tonem, że dopiero po minucie dotarł do niej sens jego słów.

- Co jest, do cholery...? - Jej głos podskoczył o oktawę. Odsunęła się gwałtownie, mrużąc oczy.

Taylor uniósł ręce w obronnym geście, próbując ją uspokoić.

- Tika, nie myśl, że nie doceniam twoich wysiłków. Doceniam. Ale ty nigdy nie rozumiałaś, co mnie łączyło z Luisem. Nie rozumiesz, że można kogoś tak kochać - tak, że zrobiłabyś dla niego wszystko.

- Co za brednie! - prychnęła z wściekłością. - Pomyśl o wszystkim, co dla ciebie robię. Cholera, jeszcze opiekuję się Sarą... No dobra, nie jestem w żadnym stałym związku, ale powiedz mi, komu to potrzebne?

- Nie mówię, że musisz kogoś znaleźć, żeby być szczęśliwa.

- Na szczęście.

- Mówię tylko - ciągnął rozbijającą delikatnym głosem - że nie jesteś szczęśliwa. Więc nie powinnaś uczyć mnie, jak być szczęśliwym.

Nie wierzyła własnym uszom. Gdyby wstał i ją spoliczkował, nie zdziwiłaby się bardziej.

- Od jak dawna się znamy? - Musiała z tego jakoś wybrnąć.

- Od czasów, kiedy miałam szesnaście lat.

- Odkąd uciekałaś z domu. Znam cię, odkąd zmieniłaś imię. I wiesz, co jest najdziwniejsze? Poza tym, że odrobinę wyrosłaś, nie zmieniłaś się ani trochę.

- Dzięki - powiedziała z uśmiechem.

- Niezupełnie to miałem na myśli.

- Słuchaj, wiem, że mam na swoim koncie kilka głupich posunięć, ale dostałam za swoje. Pamiętasz, jak wyszłam za mąż?

- Chryste. - Przewrócił oczami. - Wymazałem to z pamięci.

- To była głupota, ale przez półtora roku, dopóki on się ze mną nie rozwiódł, dawałam z siebie wszystko. A ty pomogłeś mi się pozbierać... Nie mów mi, że nie wiem, co to znaczy kogoś kochać. Zdecydowałam po prostu, że nie będę marnować uczucia dla facetów, z którymi się pieprzę, to wszystko.

- Tika. - Pokręcił głową. - Co ja mam z tobą zrobić?

- Nic. To moje życie. Ja gram, ja płacę.

- No właśnie, wyjęłaś mi to z ust. Poradzę sobie, Martika. Tylko... pozwól, że zrobię to samodzielnie.

Zaczęła się zastanawiać.

- Nic z tego - powiedziała w końcu. - Czy ci się to podoba czy nie, zajmę się tobą. Więc co chcesz do picia?

Judith lustrowała towarzystwo zebrane na ogrodowym przyjęciu wydanym przez dziekana względnie małej (ale, jak często podkreślał jej mąż, równie dobrej jak USC\*) uczelni prawniczej. Goście wyglądali jak z filmu z lat czterdziestych - mężczyźni w smokingach i czarnych muszkach, kobiety w sukniach koktajlowych. Ona sama była w bladuróżowej jedwabnej sukni, skrojonej na wzór czegoś, co w starych westernach nosiły właścicielki chińskich burdeli. David lubił, kiedy podkreślała swoje pochodzenie. Fakt, że nie była czystej krwi Chinką, nie mówiła po chińsku i nigdy nie była w Chinach, nie miał dla niego większego znaczenia. Jej matkę szczerze by to ubawiło.

Spojrzała przez zatłoczony trawnik w okna biblioteki dziekana, z jego domowym biurem. Ma komputer, pomyślała.

Nie. Nie będziesz teraz sprawdzać poczty.

Próbowała zapomnieć o tamtym zdarzeniu i przestała czytać e-maile od Rogera... a było ich sporo. Ale myślała o nim i jego słowach. Nawet po tym, jak David wrócił do domu. Był zaskoczony, gdy poszli do łóżka i ona kochała się z nim z większą namiętnością niż przez cały ostatni rok.

Zrobiła coś więcej. W wannie, sama, pamiętając Rogera i to wszystko, co pisał. Jego słowa, jej ręce... Jeszcze teraz czuła się trochę winna.

Uśmiechnęła się do przechodzącego obok mężczyzny.

- Witaj... Michael? Daniel? Eric. Jak miło cię znowu widzieć.

Eric przedstawił swoją towarzyszkę, Phylis. Potem przeszedł do opisu pogody („zaskakująco zimno!”), swojej nowej pracy w firmie Davida („tak się cieszę!”) i najnowszego filmu, przy którym pracowała Phylis („jest stażystką!”). Judith uśmiechała się uprzejmie.

Gdy podszedł do nich David i wziął na siebie ciężar rozmowy, Judith poczuła wielką ulgę. Wkrótce do ich kółka dołączył dziekan. Eric wyraźnie się spłoszył i odciągnął Phylis w stronę baru. Dziekan gestem ręki przywołał swoją żonę.

\* USC - Uniwersytet Południowokalifornijski.

- Ile to już lat, Davidzie, sześć? A ty wciąż przychodzisz. Cieszę się, że pozostałeś lojalny wobec szkoły.

David uśmiechnął się i pociągnął łyk szkockiej, z tym swoim charakterystycznym kliknięciem językiem.

- Chodziłem do niej z przyjemnością. To jej zawdzięczam, że jestem tym, kim jestem.

Żona dziekana zjawiła się w bładożółtej sukni, której nie powinna nosić. Wyglądała w niej upiornie blado, zauważyła Judith.

- A jesteś fantastycznym prawnikiem, kochany Davidzie - powiedziała, biorąc pod rękę męża. - Ale może pomyślisz kiedyś o zawodzie nauczyciela.

- Właściwie myślę o tym coraz częściej. - David uśmiechnął się szeroko. - Być może praca na uczelni byłaby lepszym zajęciem, kiedy pojawiają się dzieci.

Judith zakrztusiła się drinkiem.

- Wszystko w porządku, moja droga? - uprzejmie spytała żona dziekana, ale dziekan mówił dalej, ledwie na nią spojrzawszy.

- Dzieci... jesteś już po trzydziestce, Davidzie. Czas zacząć o tym myśleć. Jestem pewien, że Judith już o tym myśli, prawda?

- Oczywiście, że o tym myślimy - odpowiedział David, co pozwoliło nie odpowiedzieć jej. Albo nie pozwoliło odpowiedzieć, zależy, jak na to spojrzeć. - Ale nie jest to dobry moment. Chciałbym najpierw zostać partnerem kancelarii, okopać się, a do tego trzeba czasu.

- Dave, nie chcesz mieć chyba sześćdziesięciu pięciu lat, kiedy twój syn będzie błyszczał na prawie - powiedział z uśmiechem dziekan, wskazując własnego syna, wychylającego ukradkiem kolejną margaritę. - Na pewno nie chcesz być stetrycznym staruszkiem, kiedy oni będą wychodzić na czoło.

- Ale chcę im ustawić cholernie wysoką poprzeczkę, Barry. - Spojrzeli na siebie z porozumiewawczym mrugnięciem, zrozumiałym najwyraźniej tylko dla prawników. Zastanawiała się, czy uczą tego dopiero po zdaniu końcowego egzaminu. Może dołączali instrukcję do wyników testu?

- Przynieść ci jeszcze jednego drinka, kochanie?

Spojrzała na Marthę, żonę Barry'ego od Bóg jeden wie ilu lat.

Ta niezwykła na swój sposób kobieta uważała się za pisarkę. Z tego, co wiedziała Judith, jej pisarstwo ograniczało się do rozwlekłych listów do znajomych i rodziny z okazji Bożego Narodzenia, i książeczek dla dzieci, właściwie dla jej syna, tego samego, który teraz „błyszczał na prawie”. Oczywiście w ich szkole. Ona zauważała głównie to, że Martha zawsze była odprasowana, wymuskana, taka „na wysoki połysk”, jak jeszcze jeden mebel w domu. Przypadkiem usłyszała, jak jeden ze studentów (który również nie załował sobie margarity) nazwał ją Martha Stewart. Zaśmiała się i zawstydziła - dlatego, że się zaśmiała, i dlatego, że była tego samego zdania.

- Nie, dziękuję. - Ale gdyby zrobiło się naprawdę ponuro, mogłaby się napić trochę margarity, pod warunkiem, że ich syn nie opróżnił ostatniego dzbanka.

Rogerowi cała ta sytuacja wydałaby się zabawna.

- A więc, Judy... - Dziekan Matthews zwrócił się do niej, wreszcie, i wprawił ją tym w zakłopotanie. - Jak tam twoja milutka praca?

Prawnikom każde inne zajęcie wydawało się „milutką pracą”.

- Jestem dyrektorem działu produkcji w Salamanca Advertising... jednym z najmłodszych w historii firmy. - Judith miała nadzieję, że wybrała właściwy ton: nie przesadzając z przechwalaniem się, dała do zrozumienia, że ma dostatecznie wysoką pozycję, żeby być żoną Davida, choć bez cienia złudzeń, że może go prześcignąć lub przyćmić. Jakby to w ogóle było możliwe.

Robiła się zgorzkniała. Lepiej, żeby więcej nie piła.

- Cóż! Masz się czym zająć, kiedy David pracuje do późna. Znam go - w szkole był taki sam.

- Tak. - Opanowany do perfekcji uśmiech zrozumienia, niedopowiedziany, a wiele mówiący. - Robię, co w mojej mocy.

- Rzucisz to oczywiście, kiedy pojawi się dziecko - powiedziała Martha rzeczowym tonem, który trochę Judith zaskoczył.

- Prawdę mówiąc, nie rozmawialiśmy jeszcze o tym. Może przez pierwsze lata...

Pozostała trójka wybuchnęła śmiechem, a Judith poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie.

- Dzieci to zajęcie na pełny etat, wierz mi. - Martha

poprawiła włosy, potem skinęła na Jeffreya, ich zalanego w pestkę syna. - Kiedy wreszcie odfruną z domu, czujesz się, jakbyś miała więcej powietrza. - Gdy zauważyła, że mężczyźni spowaznieli, uśmiechnęła się w równie subtelny, wyćwiczony sposób jak Judith. - I oczywiście masz więcej czasu, który możesz poświęcić swojemu ukochanemu, zapracowanemu mężowi. - To znów ich rozbawiło, chociaż wcale nie brzmiało zabawnie.

W wyrazie oczu Marthy również nic było śladu rozbawienia. To było raczej spojrzenie sprzedawcy, który próbuje dać znać, że za ladą jest człowiek z bronią.

Pomóż mi, mówiło. Uciekaj, póki jeszcze możesz.

- Zastanawiałam się, paniczkie... -

- Mów mi Barry, bardzo cię proszę! - Poklepał ją po ramieniu, odrobinę za mocno. - Po tylu latach możesz mi chyba mówić po imieniu.

- A więc, Barry, pracuję nad pewnym projektem i powinienam coś sprawdzić - powiedziała łagodnie, biorąc go pod rękę i prowadząc w stronę domu. - Nie chciałabym wyjść na pracoholiczkę, ale czy mogłabym zajrzeć do Internetu, dosłownie na minutkę?

Sara stała przy barze, ubrana w wystrzałową białą minisukienkę, która pozostawiała niewiele pola dla wyobraźni. Klub nazywał się „Moomba” - Martika nazwała go kiedyś „tandeta” i „stajnią luksusowych dupofanek”. Oczywiście, co wytknął jej wtedy Taylor, nic mówiła tak nigdy o „Love Lounge”, „Cherry” czy „Club 1980's”. „Ona jest ze starej szkoły”, mruknął, delikatnie akcentując słowo „starej”. Martika ignorowała go przez resztę wieczoru.

Sara popijała swojego drinka, podczas gdy Jeremy, jej towarzysz i obiekt „próby”, był w toalecie. Zastanawiała się intensywnie, kto kogo tak naprawdę testował. Czułaby się różnie, mając tu gdzieś pod ręką Taylora, Pink albo Kita. Choćby Martikę, która stała się ostatnio trudna do wytrzymania.

Jeremy okazał się całkiem dobrym tancerzem. Pokołysali się zmysłowo w kilku wolnych kawałkach, zaczynając o stopę od siebie, a kończąc chwilę przed tym, jak Jeremy wyszedł do toalety, na jakimś milimetrze odległości. Najwyżej.



Jeżeli nie nosił w przedniej kieszeni pojemnika z pieprzem, to bił Raoula na głowę.

Sara pociągnęła łyk swojego „cosmopolitana” \*. Na szczęście to Jeremy kupował drinki - były tutaj diabelnie drogie.

Przez cały wieczór droczył się z nią, robił różne aluzje do jej pracy, żartując, że jest „człowiekiem do wynajęcia”. Pytał, czy robi absolutnie wszystko.

- Wszystko, czego wymaga powierzone mi zadanie - odpowiedziała, zaskoczona swoją bezwstydną śmiałością. Ocierała się o niego prowokująco. Przejęcie inicjatywy dało jej poczucie siły. Niewątpliwie to ona trzymała tutaj wodze.

- Dobrze się bawisz?

Aż podskoczyła, i przeklęła się za to w duchu. Wyglądałaby na o wiele bardziej opanowaną, gdyby nie to miejsce, w którym czuła się niezbyt swobodnie.

- W porządku? - zapytał dobitniej.

- Przepraszam. No wiesz... to nie jest klub, do którego jestem przyzwyczajona.

- A gdzie zwykle chodzisz?

Powiedziała mu. Otworzył szeroko oczy i zaśmiał się.

- Aha... Trasa raczej dziadowska - powiedział lekceważąco, na co Sara skrzyżowała ramiona w obronnym geście. - Nie ma w tym nic złego. Jeżeli człowiek jest spłukany, to rzeczywiście świetne miejsca. - Naprawdę nie podobał jej się ten ton.

- Chodzą tam moi przyjaciele - powiedziała z naciskiem.

- Nie wydymaj warg. Podoba mi się twój dziewczęcy wygląd, ale takie dąsy są mało atrakcyjne.

Naburmuszyła się jeszcze bardziej i nagle rozplynęła się w uśmiechu.

- Mógłbyś mi to wynagrodzić.

- Co ty powiesz... - Łypnął na nią spod przymrużonych powiek.

Wzięła głęboki oddech. Ignoruj jego bezczelność - skoncentruj się na ciele i na tym, co może z nim zrobić. Nie potrzebujesz go na stałe.

- Mógłbyś zawsze...

\* „Cosmopolitan” - koktajl na bazie wódki, z sokiem żurawinowym, cytrynowym i likierem Triple Sec Curacao.

Przerwał im ostry dzwonek telefonu komórkowego. Jeremy spojrzął na numer i mruknął coś pod nosem.

- Muszę odebrać. Wyjdźmy na zewnątrz - nic tu po nas.

Schodziła stromymi schodami do wyjścia, a on krzyczał: „Halo?! Halo?!” z telefonem przyciśniętym do jednego ucha.

Potem stała na ulicy i patrzyła, jak Jeremy znika za rogiem budynku.

Akurat kiedy miałam przejść do drugiej rundy, pomyślała. Niekoniecznie do seksu - miała zamiar nalegać na grę wstępną, bardzo długą. Zatopiona w myślach, nie zauważyła, kto zmierza w jej stronę. Ale znajome gderanie natychmiast wzbudziło jej czujność.

- Nie rozumiem, dlaczego musimy iść do tego klubu - narzekał męski głos. - Mogliśmy wpaść zwyczajnie do „Islands”, a potem wypożyczyć jakiś film.

- Kochanie - przekonywała kobieta. - My nigdy nigdzie nie wychodzimy.

Sara odwróciła się... i znalazła twarzą w twarz z Benjaminem.

- Witaj... - Miał na sobie garnitur - nieszczęśliwy, zupełnie nie na miejscu w tym modnym nocnym klubie. Wyglądał jak świadek Jehowy, i czuł się chyba nieswojo. Był typem faceta, który zdecydowanie woli bary sportowe.

Sara powoli przeniosła wzrok na jego towarzyszkę. Była wysoka i nieprawdopodobnie szczupła. Skóra i kości, pomyślała bezlitośnie, przypominając sobie o własnych kilogramach, które zarobiła dzięki drinkom w klubach i restauracyjnej diecie. Kobieta miała proste włosy koloru czekolady, lekko podwinięte na końcach. Nie uśmiechała się.

Na jej miejscu też bym się nie uśmiechała.

- Jak ci się wiedzie? - spytał dopiero po chwili Benjamin, wyraźnie zmieszany.

Odkąd wybiegłam z twojego domu, bo przespałeś się ze mną w tym samym łóżku, w którym spałeś każdego wieczoru ze swoją... Jessiką? - dokończyła w myślach. Rzuciła okiem w stronę Jeremy'ego. Stał na drugim końcu ulicy, pogrążony w rozmowie. Wzruszyła ramionami.

- U mnie wszystko w porządku. A co u ciebie?

- Interesy idą naprawdę nieźle. Szeffowie przebakują coś o awansie, ale nie wiem... Zaczynam mieć dość tego miasta.

Może poszukam czegoś innego, na północy. Bez smogu i tych wszystkich popaprańców.

Sara zauważyła, że jego towarzyszki nie ucieszyła ta deklaracja. Z zachmurzonym czołem jej ładna twarz postarzała się w oczach. Zastanawiała się, ile ona naprawdę ma lat.

- Znalazłaś pracę? - Udało mu się zrobić zadowolony minę. Cholera, pewnie rzeczywiście się o nią martwił. Rzucanie posady z perspektywami na awans po to, żeby zostać pracownikiem czasowym /sekretarką/ czymkolwiek - tak zwanym normalnym ludzom wydawało się szaleństwem.

To było szaleństwo, pomyślała, w każdym razie została wychowana tak, żeby w to wierzyć.

- Tak, mam nową pracę.

- O! Coś z widokami na przyszłość, mam nadzieję?

- Właściwie nie szukam niczego z widokami na przyszłość - odpowiedziała, wzruszając ramionami.

- Coś, co by ci pozwoliło mieć trochę więcej luzu? To chyba dobry pomysł - ostatnio byłeś taka zestresowana. - Oczywiście, teraz potrafił być wyrozumiały. Żaden problem, przecież teraz był z kimś innym. Jakby sam sobie o tym przypomniał, odwrócił się i zapytał z szerokim, próżnym uśmiechem: - Przedstawiłem ci już Jessikę?

A więc to była Jessika. Ona też się uśmiechnęła. Pewnie miał to być ciepły uśmiech, ale Sara dostrzegła w nim cień nieufności.

- Nie, nie przedstawiłeś mi Jessiki. Cześć, mam na imię Sara, byłam kiedyś zaręczona z Benjaminem.

Dziewczyna rzuciła Benjaminowi spojrzenie pełne bólu. Najwyraźniej tego szczegółu jego życiorysu nie знаła. Ale zamiast wyglądać jeszcze starzej, Jessika nagle wydała się młodsza - i bezbronna. W tym momencie Sara szczerze nienawidziła Benjaminą. Za siebie i za nią.

- Właściwie bardzo mi się podoba ta nowa praca - dodała od niechcenia. Mogła wspomnieć o ich ostatnim spotkaniu, ale darowała sobie. Ta kobieta i tak, wcześniej czy później, przekonana się, jaki jest Benjamin. Swoją drogą, co by zrobiła, gdyby się dowiedziała? Sara nie chciała o tym myśleć. - To, co robię... Sądzę, że nazwałbyś to posadą sekretarki. Jestem osobistą asystentką. Richarda Peersona.

- Czy powinienem go znać?

Wzruszyła ramionami.

- Zdobył Nagrodę Pulitzera, jest autorem bestsellerów, ale masz rację, nie każdy musi to wiedzieć.

Trafiła w jego czuły punkt, co sprawiło jej radość... ale też poczuła się trochę niewyraźnie, bo może nie powinna się cieszyć z jego zakłopotania. Do diabła ze skrupułami.

- Więc robisz mu kawę i zmieniasz toner w drukarce?  
- powiedział z uśmiechem skierowanym do Jessiki. - Pniesz się w górę...

- Saro! Przepraszam, nie mogłem go spławić. Dlaczego niektórzy idioci nie potrafią zostawiać spraw zawodowych w pracy? - Jeremy z trudem łapał oddech. Stał u jej boku, z lekko zmierzwionymi włosami. Wyglądał świetnie w swoim zwyczajnym, ale doskonałej jakości ubraniu, zwłaszcza w porównaniu z Benjaminem. Jessika wybałuszyła na niego oczy, a Sara znów poczuła lekki dreszczyk zadowolenia.

- Nie przeszkadzam?

- Skądże! To jest mój były narzeczony, Benjamin, a to jego... uhm... Jessika. - Nie była do końca pewna, kim Jessika jest dla Benjamin.

Sara przysunęła się do Jeremy'ego i pochyliła do jego ucha.

- Masz ochotę na dalsze... próby? - Starła się mówić szeptem, przypuszczając jednak, że Benjamin usłyszał.

- Niestety, nie mogę. - Wyglądał na szczerze zawiedzionego. - Muszę jechać do biura i przejrzeć kilka papierów.

- Nie jesteś przypadkiem jednym z tych idiotów? - spytała z uwodzicielskim uśmiechem, lekceważąc piorunujące spojrzenie Benjamin.

- Chyba tak. - Jeremy roześmiał się. - Ale jestem pewien, że powtórzymy ten wieczór. - Pochylił się i, ku jej zdumieniu, pocałował ją w usta. I nie było to zwykłe cmoknięcie. - Zadzwoń do ciebie. Naprawdę strasznie mi przykro, że muszę lecieć. Poradzisz sobie?

- Jasne. Nie martw się. Samochód zostawiłam kilka kroków stąd.

Zanim odszedł do swojego samochodu, rzucił jej powłóczyście spojrzenie i puścił oko.

Uszczęśliwiona, odwróciła się do Benjamin i Jessiki. Ona uśmiechała się z satysfakcją, ale musiała zauważyć

coś niedobrego w oczach Benjamina, bo w ułamku sekundy jej twarz przeobraziła się w maskę bez wyrazu. Sara miała przeczucie, że Jessica była już do tego wprawiona, i to od dawna.

- Muszę iść. Spróbuję złapać paru znajomych - powiedziała lekkim tonem. - Ale było to bardzo... - Jakie? Szukała dobrego określenia. Ciekawe? Satysfakcjonujące? Wkurzające? - Cieszę się, że dobrze ci się wiedzie - powiedziała w końcu. - Ale naprawdę muszę już iść.

- Nie chciałbym cię zatrzymywać. - Jego głos zabrzmiał lodowato.

- Nie martw się. Nie byłbyś w stanie.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### *We Could Be So Good Together* (*Mogłoby nam razem być tak dobrze*)

Sara przyzwyczała się do rutyny. Przychodziła, jadła z Richardem śniadanie w kuchni, a potem zostawiała go samego, do chwili, kiedy robił przerwę w pisaniu i proponował jej wspólne wyjście na lunch, albo sama koło południa wychodziła na długi spacer. Po południu zajmowała się przeszukiwaniem Internetu. Zwykle oglądała nowe propozycje makijażu, o których wspominała jej Pink, albo ze znużeniem sprawdzała wyniki sprzedaży książek Richarda. Nigdy nie dzieliła się z nim tymi informacjami - liczby, jak często mówił, okropnie go denerwowały. Wychodziła o czwartej. I tak codziennie.

Gdyby ktoś dorzucił do tego „nagiego faceta, który zadawała ją na każde wezwanie dzwoneczkiem”, jak mawiała Martika, byłaby to najdoskonalsza praca na świecie.

Zadzwoił telefon.

- Sara Walker - odebrała najbardziej służbowym tonem, na jaki było ją stać.

- Masz strasznie dorosły głos. Niesamowite.

- Kit. - Uśmiechnęła się.

- Gdybyś znalazła trochę czasu dla nas, zwykłych roboli, moglibyśmy się spotkać jutro na lunchu - to znaczy, Taylor skrzykuje ekipę. Odwiózłbym cię oczywiście do tej bajecznie ważnej pracy, w której masz okazję rozmawiać z ludźmi znacznie bardziej interesującymi ode mnie i o lepszych notowaniach towarzyskich.

- To nie tak - zaprotestowała. - Moja praca nie jest aż tak...  
Telefon zapiszczał - rozmowa oczekująca. To mogła być Oprah, pomyślała z uśmiechem. Czy Kit nie uznałby tego za dobry żart?

- Mógłbyś chwilę poczekać?

- Nie.

- Dzięki. - Przełączyła rozmowę. - Sara Walker, słucham.

- Tu Jeremy. - Jego głos był cholernie seksowny.

- Co za niespodzianka...

- Masz ochotę gdzieś wyjść, zabawić się?

- Jestem zajęta, Jeremy. - Nie powinien odnieść wrażenia, że jest na niego przesadnie napalona. Czuła, że ten błąd popełniła z Raoulem.

- Zawsze jesteś zajęta. Ciągłe praca i praca, żadnej zabawy.

- Ależ ja się bawię.

- Naprawdę, teraz? - Kusząco seksowny. Komicznie seksowny. Sara poczuła, że się rumieni. - Ciekawe. Chciałbym zabawić się z tobą...

- Nie wątpię - powiedziała, myśląc o Kicie czekającym na drugiej linii. Jego głos brzmiał zupełnie inaczej, bez tej uwodzicielskiej nuty. Kit nie był rasowym graczem. Był tylko przyjacielem. Stosunkowo przystojnym facetem, z dużym poczuciem humoru. Może spróbuje poderwać kogoś takiego jak on, ale później. Kiedy osłabnie jej niechęć do jakichkolwiek związków. Jeremy z kolei był wymarzoną postacią do łóżka, cholernie seksownym, a nie wymagał zaangażowania. - Jeszcze nie jestem gotowa.

- Masz mój numer. Ale i tak będę dzwonił, aż będziesz gotowa. Pa, droga Saro.

Uwielbiała sposób, w jaki wymawiał jej imię. Saa-ro, dwa długie „a”. Brzmiało to egzotycznie, nie jak pospolite imię dziewczyny z farmy.

- Przepraszam, Kit.

- To był jakiś facet, co?

To nie było pytanie. Poczula, że unosi podbródek.

- Możliwe. Dlaczego tak sądzisz?

- Wątpię, żebyś dostawała zadyszki, rozmawiając z dziennikarzami. Chyba że jesteś bardziej oddana tej pracy, niż mi się wydawało.

Dziwne, ale poczuła w piersi leciutkie, ledwie wyczuwalne ukłucie. Wyrzuty sumienia? Jeszcze czego.

- Przykro mi - powiedziała, papugując Martikę tak słodko, że prawie nie wyczuwało się ironii. Prawie. - Wiesz przecież, że oni wszyscy są na przystawkę, zanim zabiorę się do ciebie.

- Jasne. Ale ja raczej nie zaliczę żadnej akcji. Jestem miłym facetem. Z mojego doświadczenia wynika, że w tym mieście trzeba być niezłym sukinsynem, żeby się na jakąś załapać.

- A kiedy się ostatnio załapałeś, Kit?

- To dosyć osobiste pytanie, nie sądzisz?

- Nie musisz na nie odpowiadać.

- Tak. Wiem.

- Okej - odezwała się po chwili. - To było dziwne... cała ta rozmowa.

Kit znowu zamilkł. Wiedziała, że zrozumiał, o czym mówiła.

- Ale to był facet, prawda?

- Kit, czy to ma jakieś znaczenie? - Niemal usłyszała, jak wzruszył ramionami, mogłaby przysiąc. Jakby się uniosła słuchawka.

- Po prostu jestem ciekawy.

- Dlaczego?

- Jesteś przyjaciółką Tiki. Ja jestem jej przyjacielem. Obydwoje wiemy, jaki ona ma stosunek do mężczyzn. Są centrum jej świata - krótko, i regularnie.

Teraz już naprawdę nie podobał jej się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa.

- I co z tego?

- To, że bardzo się starasz ją naśladować. Trochę się o ciebie martwię - dodał cicho, niższym niż zwykle głosem.

- O co konkretnie? Że zaliczę połowę facetów w tym mieście? Czy wy wszyscy myślicie tylko o tym?

- Masz rację. Facet myślący o seksie. Niezwykłe zjawisko.

- Tak, pieprzę się z każdym, kto mi się nawinie - powiedziała, przewracając oczami. - Biorę dodatkowe lekcje jogi na wypadek, gdyby zawitała tu Trzecia Flota. Rozdaję karty stałego klienta, a po każdej dziesiątej sesji kupuję facetowi kanapkę.

- Hm. Zawsze reflektuję na dobrego sandwicza.

- Pieprzę cię, Kit.



- Tak jak wszystkich innych, co?

Z wściekłością odłożyła słuchawkę. Kiedy telefon znowu zadzwonił, odebrała.

- Cześć, jestem facetem, który werbuje dla ciebie marynarzy. Melduję, że Trzecia Flota jest już w...

Znowu cisnęła słuchawkę. I zaczęła się śmiać. Kit był... jak młodszy brat, którego nigdy nie miała. Albo ten chłopak z trzeciej klasy, który ciągle rzucał w nią kamyczkami. Łatwo było z nim rozmawiać, a nawet wypłakać mu się w mankiet. Był zupełnie nieszkodliwy. Po prostu miły facet. Ale miał rację. Ona też nie miała ochoty przespać się z miłym facetem.

- Ja chyba umieram.

Taylor siedział wyciągnięty na krześle w barze „Mormount”, patrząc, jak Tika wpatruje się w swoją szklankę.

- Wybacz, ale w tej strefie... - zatoczył ręką niewidzialny krąg wokół stolika - dramatyzowanie jest zakazane.

- Taylor, ja to czuję, naprawdę. Jestem chora. Czuję to w płucach, w żołądku, w głowie... wszędzie.

- Na pewno - westchnął. - Więc jakie to uczucie?

- Jakbym miała zwymiotować - powiedziała nerwowo, czując mdłości na samą myśl o tym.

- Dziewczyno, odkąd pamiętam, twój żołądek był wrażliwy na stesy. Czy ktoś potwierdził, że to choroba wrzodowa?

- Taylor, zmiłuj się, to było, kiedy pracowałam w biurze projektów.

- Nie powiesz, że teraz nie jesteś zestresowana. Sara, po historii z Raoulem, zaczyna przeobrażać się w małą diwę, poza tym twoja kariera utknęła w miejscu, dobiegasz trzydziestki...

Syknęła na niego, rozglądając się na boki.

- Masz mnóstwo powodów do stresu - dokończył. - Nie ty jedna.

Wiedziała, że pije do ich rozmowy po tym, jak rzucił go Luis. Próbowwała uszanować jego potrzebę przestrzeni, spokoju, jakkolwiek by to nazwać. Długo to nie trwało. Kilka dni spędzili oddzielnie, a potem wszystko wróciło do normy. Ich normy-

- Poza tym często boli mnie głowa. I czuję się rozdęta.

- Opowiedz. - Spojrzał wymownie na jej czarny obcisły

kostium. - Pora wrócić do siłowni, kochanie, i zrzucić trochę tłuszczu.

- Oduś sobie - powiedziała, kręcąc szklanką. Pociągnęła łyk wody. Chętnie by się upiła, ale kiedy ostatnim razem spróbowała... uff! Przypomniała sobie sensacje żołądkowe Sary tamtej pierwszej nocy, kiedy biedaczka dobrała się do jej butelki. - Naprawdę się martwię.

- Widzę. Dlaczego nie pójdziesz do lekarza?

- Bo nie chcę usłyszeć, że umieram.

- Chodź tutaj. - Taylor wstał i rozłożył ramiona.

- Taylor, co ty wyprawiasz...

- Nie kłóć się ze mną, kobieto - powiedział stanowczym, zupełnie niegejowskim tonem i otoczył ją ramionami, co mogło się udać tylko komuś o jego wroście. - Ty nie umierasz.

- Skąd możesz wiedzieć - wymamrotała z ustami przyciśniętymi do jego koszuli.

- Ciii. Nie umierasz, bo wszystko kręci się wokół ciebie. Jesteś zbyt wspaniała, żeby umrzeć. Jeśli umrzesz, to smutek z tego powodu będzie nie tylko zbyt ciężki do zniesienia dla całego świata, ale zupełnie bezcelowy, bo świat przestanie istnieć, jeśli zabraknie cię w jego centrum, jeśli przestaniesz wskazywać nam cel i mówić, co mamy robić. Ty nie możesz umrzeć.

Łzy pociekły jej z oczu i przytuliła się jeszcze mocniej. Musieli ciekawie wyglądać - stojąc jak para związanych uściskiem gigantów w środku modnego baru w Los Angeles, jak uchodźcy z umarłej dyskoteki, z królową nocnych klubów płaczącą jak aktorka w jakiejś kiepskiej telenoweli. Martika uśmiechnęła się do swojego wyobrażenia, ciągle płacząc i wiedząc, że będzie przez to wyglądać paskudnie. Czuła, jak wielka dłoń Taylora gładzi ją pocieszająco po ramieniu.

Pomyślała o swoim ojcu, nie wiedząc czemu - ile czasu minęło, odkąd po raz ostatni z nim rozmawiała? Miała piętnaście lat, a niedługo później uciekła z domu.

- Lepiej się czujesz?

- Żartujesz? Po takiej przemowie? W tle powinna jeszcze lecieć muzyka z „Pattona”. - Pociągnęła nosem, siadając z powrotem na krześle. Wytarła oczy i skrzywiła się na widok czarnych smug, które zostały na serwetce. - Rany, muszę

zabójczo wyglądać. Ale, wiesz co, mój żołądek rzeczywiście czuje się trochę lepiej.

- A jak naprawdę umrzesz, mogę wziąć twój samochód?

- Drań! Ty jeździsz jak staruszka.

- A ty jak jakiś szpetny rajdowiec Nascar - powiedział, wrzuszając ramionami. - Uzupełniamy się. Wiesz, czego ci trzeba?

Zadzwonił jej telefon, wygrywając elektroniczną wersję „Animal” w wykonaniu Nine Inch Nails.

- Czego mi trzeba? - spytała, patrząc na numer, którego nie rozpoznała.

- Jeszcze jednej wyprawy do „Pointless Party”. - Taylor zatarł z radości ręce. - To co? W drogę?

- Chyba tak. Ale żadnego picia... wyjaśnię ci później. To ja, a ty kim jesteś? - odebrała wreszcie telefon.

- Martika?

Nie poznała głosu - wysoki jak na mężczyznę, ale... jakby znajomy. To zawężyło możliwości do jakichś pięciuset facetów. Mniej więcej.

- Tak? Kto mówi?

- Ray.

- Ray... - Nadal nic jej to nie mówiło.

- Z „Pointless Party”. Z... - zniżył dyskretnie głos - no wiesz, z magazynu.

- A, to ty. Minęło trochę czasu. - Nie musiała pamiętać każdego, z kim pieprzyła się w ciągu kilku ostatnich tygodni. Chociaż, tak naprawdę, zajmowała się w tym czasie Taylorem, próbowała przywyknąć do nowego wcielenia Sary i trochę wypadła z gry. Możliwe, że od tamtego numeru z nikim nie spała. A on był niezły. - Zabawne, wyobraź sobie, że właśnie rozmawiałam o tym, żeby się tam wybrać. Chcesz się przyłączyć?

Taylor zapytał ją bezgłośnie: „kto?”, a ona odegrała pantomimiczną scenkę, robiąc gest, jakby zamykała drzwi, a potem ruszając wymownie biodrami. Zauważyła, że gapią się na nią jacyś ludzie, i uśmiechnęła się do nich słodko. Taylor parsknął śmiechem, a Ray ciągle nic nie mówił.

- Możesz rozmawiać? - spytał w końcu.

- Oczywiście, słyszysz mnie przecież.

- Miałem na myśli... Wiesz, trudno mi o tym mówić.
- Więc albo to z siebie wyrzuc - powiedziała zniecierpliwiona
- albo nic nie mów.
- Pamiętasz tamten wieczór?
- Jak przez mgłę - powiedziała z czystej złośliwości.
- Muszę ci się do czegoś przyznać. Jestem... żonaty.
- Rozumiem. - Klepnęła się dłonią w czoło, potem pokazała Taylorowi palec serdeczny lewej ręki. Zaczął się śmiać jeszcze bardziej. - Pomyłki się zdarzają, w takim razie cofam zaproszenie. To było... hm, niezbyt inspirujące, jeśli mam być szczerą. Miłego życia.
- Nie rozłączaj się!
- Westchnęła, odrzuciła w tył głowę i wbiła wzrok w sufit.
- Chesz powiedzieć, że jest coś jeszcze? Twoja żona to facet, coś w tym rodzaju?
- Nie! Nie. Nic z tych rzeczy. Jestem żonaty od roku i zastanawiałem się, czy przypadkiem nie popełniłem błędu. Kiedy się pojawiłaś... Pragnąłem cię. Chciałem sprawdzić, czy mogę się kochać z kimś innym niż April.
- Fantastycznie. Miło mi, że się do czegoś przydałam.
- Chodzi o to, że byłem strasznie zdenerwowany, i do tego zawiany - nie byłem sobą. Miałem kłopoty z prezerwatywą.
- Chyba sobie przypominam. Też byłem niezłe zawiana.
- No więc ona pękła, ale pragnąłem cię tak bardzo, że...
- Zaraz. - Poczula, że oblewa się zimnym potem. - Co to znaczy: pękła?
- Powiedziałem, że byłem pijany, prawda? Byłem niezdarny, niecierpliwy i głupi...
- Chcesz powiedzieć, że robiliśmy to bez prezerwatywy?
- Żołądek podszedł jej do samego gardła. Uczucie mdłości rozchodziło się po klatce piersiowej jak ogień. Ostre objawy choroby wrzodowej, jasne, kogo ona oszukuje?
- Oczywiście powiedziałem o wszystkim April. Zrozumiałem, że chcę z nią być do końca życia, że zrobiłem okropny błąd...
- Pieprz się - powiedziała ostro. - Po jaką cholere do mnie dzwonisz? Coś ty narobił, ty wymóźdzony gnojku?!
- April chce, żebyś zrobiła badanie krwi. Chce wiedzieć, czym mogłaś mnie zarazić.

- Co???
- Dopiero po sześciu miesiącach wyniki testu na HIV są absolutnie pewne - powiedział płaczącym głosem. - Ona nie chce czekać pół roku, żeby dowiedzieć się, co ze mną będzie i czy powinna ze mną zostać, czy nie. Uważa, że powinnaś się zbadać...
- Powiedz swojej żonusi, że może sobie poczekać i policzyć się z tobą. Poza tym skąd mam wiedzieć, że nie przespałeś się z nikim innym? Idiota!
- Zrozum, ja nie mam zwyczaju sypiać z kompletnie obcymi kobietami. Mógł być... No dobrze, był jeszcze jeden raz, ale naprawdę...
- Gdybyś tu był, urwałabym ci jaja - syknęła.
- Moja żona... - westchnął.
- To nie jej zasrany interes! To wszystko twoja wina!
- Ty byłaś...
- Zamknij się. Nie możesz mnie zmusić do zrobienia tych cholernych testów.
- Ale ona może. Jest prawnikiem.
- Tika rozłączyła się, a potem wyłączyła komórkę.
- Co się stało? - Taylor miał w oczach strach.
- Idę na badania krwi. I może jednak jestem umierająca. Albo będę powodem czyjejś śmierci. Co za dupek!

Judith siedziała przy swoim biurku w pracy. W jej schludnym zazwyczaj gabinecie panował totalny bałagan - w kubku po kawie rosła pleśń, harmonogramy zajęć leżały w nieładzie na kredensiku z tyłu, terminarz ciągle był otwarty na poprzednim miesiącu - nie zwracała sobie głowy notowaniem w nim czegokolwiek.

Wpatrywała się wyczekująco w ekran monitora.

*Roger: Judith? Muszę z tobą porozmawiać.*

Usłyszawszy sygnał nadchodzącej wiadomości, wstała i próbując opanować zakłopotanie, zamknęła drzwi... a potem zasłoniła żaluzje.

- Roger. - Czuła, jak pąsowieją jej policzki. - *Stęskniłam się za tobą* - wystukała. Czuła się głupio, ale napisała to mimo wszystko. Nie wysyłała mu wiadomości przez cały weekend - David bez przerwy okupował komputer. - Próbowałam się z tobą skontaktować w sobotę rano, ale nie było cię.

*Roger: Była piąta rano. Ale dostałem twój e-mail. Przykro mi, że nie mogłem z tobą rozmawiać.*

Serce biło jej coraz mocniej. To było śmieszne.

Obudziła się w ten weekend w środku nocy, czując wypukłość w bokserkach Davida, i zdjęła ją... obrzydzenie. Potrzeba napisania do Rogera była przemożna, nie do odparcia. Przypuszczała, że nie będzie go o tej porze przy komputerze - ale miała nadzieję. Nie odpowiadał, więc musiała się zadowolić przeczytaniem po raz kolejny jego listów. Napisała do niego, wylewając z siebie wszystko, co czuła.

*Roger: Myślałem o tobie. Codziennie.*

- Ja też o tobie myślałam - odpisała, zastanawiając się, jak zareagował na jej e-mail.

Zaczęła z nim korespondować tamtego wieczoru, kiedy była na przyjęciu u dziekana szkoły prawniczej. Przeprosił ją na wypadek, gdyby czuła się urażona. Przeciwnie, odpisała, że nic się nie stało, że są tylko przyjaciółmi, że to tylko Internet. Po prostu dobrze się bawili.

I bawili się dalej - następnym razem, kiedy David musiał wyjechać z miasta. Raz, kiedy był na meczu piłki nożnej z jakimiś studentami. I prawie każdego wieczoru brała długą kąpiel, myśląc o Rogerze.

*Roger: Judith, to, co napisałaś w e-mailu...*

- W której części? - Poczuła, jak ściska ją w żołądku.

*Roger: W tej, w której piszesz, że chyba się we mnie zakochałaś.*

- Ach. W tej.

*Roger: I w tej, w której napisałaś, że wiesz, że to głupie.*

- Bo to jest głupie. Nie znam cię, jestem mężatką, to żalosne...

*Roger: Nie jesteś tam szczęśliwa.*

- To żadne usprawiedliwienie! Zobowiązałam się do czegoś. Oczywiście, nie jest tak, jak myślałam, że będzie. Ale co jest tak, jak nam się wymarzyło?

*Roger: Zastługujesz na miłość.*

- To niczego nie zmienia. - Zbierało jej się na płacz. Nie mogła płakać - była w pracy, na litość boską! Ale miała ochotę położyć głowę na biurku i ryczeć.

*Roger: ja też cię kocham, Judith. I nie uważam, żeby to było głupie.*

Przetarła oczy i przeczytała jeszcze raz ostatnie zdanie. I jeszcze raz. Wytarła łzy. To wszystko zmieniało. Nie wiedziała, co teraz zrobi, ale... on ją kochał. Kochali się, na swój sposób.

*Roger: Chciałem ci to powiedzieć, kiedy się zobaczymy, ale chyba potrzebowałaś to usłyszeć już teraz.*

- Och, Roger - wyszeptała, pisząc: - Więc co teraz zrobimy?

*Roger: Nie wiem, nigdy dotąd nie byłem w takiej sytuacji.*

Judith otarła łzy, wyjęła z szafki puder i naprawiła szkody w makijażu. Jej oczy wyglądały na odrobinę mniejsze, ale wątpiła, żeby ktokolwiek mógł to zauważyć.

- W każdym razie dobrze wiedzieć, że tam jesteś. Dobrze wiedzieć, że ktoś tam mnie kocha.

To było cudowne nienasycenie. Była kochana. Była zakochana. To wystarczyło. Jak w romansach rycerskich. Nie licząc tego wirtualnego seksu, do którego Judith sama przed sobą próbowała się nie przyznawać.

Judith, ty chyba tracisz rozum. Co dalej? Potajemnie przygo-

dy w motelach, które mają połączenie z Internetem? Szybki numerek za zamkniętymi drzwiami - sama ze sobą? Czy już kompletnie zwariowałaś?

Było jej wszystko jedno. W tej chwili czuła się szczęśliwa. To jej wystarczyło.

*Roger: Myślę, że powinienem przylecieć do LA. i zobaczyć się z tobą.*

Judith przeczytała tę linijkę i nagle uleciało z niej całe szczęście i radość.

- Co, proszę?

*Roger: Przylecę do LA. Musimy się zobaczyć. Musimy o tym porozmawiać.*

- Ale po co?

*Roger: Tak robią ludzie zakochani. Nie sądzisz chyba, że będziemy to ciągnąć w ten sposób?*

Judith chwyciła komputer, jakby dla odzyskania równowagi... albo jakby chciała potrząsnąć Rogerem i na odległość przywołać go do porządku.

- Nie możesz. Mój mąż! Moja rodzina! Co oni pomyślą?

*Roger: Nie jestem zakochany w nich. Co za różnica? Nie chcesz się ze mną zobaczyć?*

On nie mógł mówić tego serio. Mieli tylko cyberromans, na litość boską! To przecież nie działa się...

To działa się naprawdę. Było dziwne, na pewno żałosne, ale całkowicie rzeczywiste.

Spędziła większość życia, spełniając oczekiwania innych - była idealną córką, idealną dziewczyną, która przeistoczyła się w idealną żonę. Była wzorowym pracownikiem. Nawet nie śmieciła, na miłość boską. Nawet rzadko przekraczała dozwoloną prędkość.

Miała w głowie gonitwę myśli. Wzięła kilka głębokich



oddechów, rozpaczliwie usiłując sobie przypomnieć, czego nauczył ją trener medytacji o stresujących sytuacjach. Kiedy ostatnio się z nim widziała?

*Roger: Nie chcę ci sprawiać więcej przykrości...- Ale chcę cię zobaczyć, poczuć, bardziej niż cokolwiek na świecie.*

Czy mogła to zrobić? Przenieść się z wirtualnego romansu do romansu rzeczywistego? Czy chciała czegoś więcej niż roman-su?

*Roger: Judith, jeżeli nie chcesz, nie przyjadę. Wszystko zależy od ciebie.*

Odpisała, wolno i z namysłem, potem patrzyła przez chwilę na ikonkę „wyślij”. Zagryzając wargę, kliknęła i zobaczyła, jak jej własna wiadomość pojawia się na ekranie, jakby napisał ją ktoś inny:

- Kiedy?

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### *When The Music's Over (Gdy skończy się muzyka)*

- Richard? - Sara zapukała lekko do drzwi. - Mam nadzieję, że mogę wyjść dzisiaj wcześniej? Mam randkę.

- Och, dobrze, że jesteś. Ja... możemy chwilę porozmawiać?

Weszła do gabinetu, zastanawiając się, o co chodzi. Może zbliżała się jakaś trasa promocyjna - nie, pamiętałyby, gdyby miał coś takiego w planach. Cholera. Może kiedy była na lunchu, zadzwoniła jego agentka. Takie telefony zawsze wprowadzały go z równowagi.

- Wszystko w porządku? - spytała z troską, siadając po drugiej stronie jego biurka. Spieszyła się, ale naprawdę lubiła Richarda.

- Co? Tak. Nie. Otóż... - Zaczął splatać nerwowo dłonie.

- Coś nie tak, prawda? - Kręcenie dłońmi oznaczało poważne zmartwienie.

- Nie jest źle! - zapewnił ją, a potem spochmurniał. - Cóż, prawdę mówiąc, jest źle.

- Powiedz szybko, o co chodzi. Wymyślimy coś.

- Chodzi o to... Saro, nie możemy tego dalej ciągnąć.

- Czego nie możemy ciągnąć?

- Codziennie wychodzimy razem na lunch, spacerujemy, włączymy się po sklepach... Wszystkie te przyjemne rzeczy robimy razem.

- I to jest problem?

- Niestety tak - powiedział grobowym tonem. - Ja... Pamiętasz, że zbliża się mój termin?

- Za trzy tygodnie masz oddać zakontraktowaną książkę.  
- Pamiętasz, jak mówiłem, że jestem prawie na finiszu?  
- Taaak...  
- Bujałem.  
- No więc na jakim jesteś etapie? - spytała, mrużąc oczy.  
- Mam prawie gotowy szkic. - Jego głos zabrzmiał całkiem optymistycznie.

- Szkic? - Była przerażona. - Powiedziałaś, że szlifujesz całość!

- Szlifuję szkic fabuły, gwoli ścisłości.

- No to rzeczywiście jest problem - westchnęła. - Chcesz, żebym zadzwoniła do Madeline? - Madeline była jego wydawcą. Zaliczyła już kilka rozmów z Madeline. - Skoro to ja cię rozpraszam, pomogę ci z tego wybrnąć. Powiem jej, że jesteś chory - albo że coś ci się...

- Saro, muszę cię zwolnić.

- Słucham?

- Mnie też to się nie podoba! -jęknął. - Ale rozmawiałem już dziś z Madeline i... wiesz, ona to ze mnie jakoś wyciągnęła. Są naprawdę wkurzeni. Nie masz pojęcia!

Sprzedajesz mnie? Może nie powinna była tak myśleć, ale ten człowiek oświadczył jej właśnie, że jej winą było to, że się z nim zaprzyjaźniła. Nie mogła doszukać się w tym sensu.

- Dostaniesz ode mnie wspaniałe referencje... i miesięczną odprawę.

Poczucie upokorzenia przemknęło po jej twarzy jak światło błyskawicy.

- Dwumiesięczną - poprawił się. - I nie przestaniemy się kolegować, prawda?

- Och, Richard - westchnęła przeciągle. Dwumiesięczna odprawa, z takiego miejsca pracy, wydawała się więcej niż przyzwoitością - to było wariactwo.

Czy ja niczego nie potrafię robić, jak trzeba?

- Nie wiem, czy jest coś, czym mógłbym ci to wynagrodzić?

- No tak - powiedziała wolno. - Przypuszczam, że mogę wyjść dzisiaj wcześniej.

Martika siedziała w gabinecie ginekologicznym. Kilka dni wcześniej zrobiła badania krwi, i przez ten czas niemal wy-

chodziła z siebie, dzwoniąc co godzinę do Taylora. Zastanawiała się, czy nie pogadać o tym z Sarą, ale ona była na takim odjeździe, ze swoim strojeniem się, randkami, ciągłym chichotaniem, że jedyne, co Martika mogła zrobić, to zaproponować jej kubeł zimnej wody na głowę.

- Pani Adeli?

Spojrzała na niego. Doktor Powell. Nazwisko brzmiało tak szacownie, że pasowało do kogoś starszego. Przypominał jej neurotycznego doktora Nilesa z „Frazier” - był drobiazgowy i dokładny, i zerknął na nią tylko przelotnie.

- Tak. Śmiało, panie doktorze: czy jestem umierająca?

- Nie. W każdym razie badania niczego nie wykryły. Jak pani wie, zarażenie wirusem HIV można wykluczyć dopiero po sześciu miesiącach, ale za trzy miesiące będzie pani miała osiemdziesiąt pięć procent pewności i...

- A inne rzeczy? - Nie żeby chciała umierać. Ale była w dość patetycznym nastroju. - Czy coś mi dolega?

- Nie, z pani zdrowiem jest wszystko w porządku. Bardzo bym jednak przestrzegał przed niebezpiecznymi praktykami seksualnymi.

- Dziękuję. - Wstała, czując, że jej żołądek ma się znacznie lepiej. - Cieszę się, że mam to z głowy. Było mi bardzo...

- Zechce pani usiąść, pani Adeli. Wynik testu ciążowego jest pozytywny, więc może o tym porozmawiamy.

- Zaraz, chwileczkę... - Usiadła tak ciężko, że aż jęknęło pod nią krzesło. - Jak to?

Młody lekarz skrzywił się, jasna grzywka zasłoniła mu na chwilę oczy. Nerwowym ruchem odgarnął ją z czoła.

- Rozumiem, że to nie jest coś, co pani planowała?

Zamrugała z wrażenia. Jak to możliwe, żeby facet, który przebrnął przez Bóg wie ile lat studiów medycznych, był takim palantem?

- Nie wiem, Sherlocku. Przyszłam tu sprawdzić, czy nie jestem seropozytywna. Więc jak pan myśli? Czy to pasuje do kogoś, kto prowadzi szczęśliwe domowe życie?

- To jest L.A. - Wzruszył ramionami.

Nie odrywała od niego oczu. W porządku, kolego, dobra odpowiedź.

- A więc ciąża. Dziecko. - Kompletna abstrakcja. - Ile... Jak zaawansowana jest ta...

- Miesiąc, mniej więcej. Na tyle to wygląda.

- Miesiąc. - Wzięła głęboki oddech. Rozregulowała się ostatnio pod wpływem stresu, a teraz ma istotniejszy powód, żeby się stresować. Dziecko. Miesięczna ciąża.

- Jak mogę pani pomóc?

Pytanie było retoryczne. Czuła się odrętwiała, jak w półśnie. Raczej jak na dobrym haju.

- Pani Adeli, czy życzy pani sobie, żebym usunął tę ciążę?

- Mówił obrzydliwie spokojnym głosem. Był w tym taki profesjonalny. Zastanawiała się, czy uczyli tego na medycynie.

- Eee... Tak. - Oczywiście, że tak. Ona i dziecko!

- Cóż, musimy panią umówić na rozmowę w poradni konsultacyjnej. Potem ustalimy dalsze postępowanie. Dzień przed zabiegiem założę pani wkładkę z pewnej rośliny, żeby rozszerzyć kanał szyjki macicy.

Przestała go słuchać. Ma obłeńskie wąskie usta, pomyślała ni stąd, ni zowąd. Jakby nie miał górnej wargi...

- Pani Adeli? Czy dać pani do wypełnienia formularze?

Już otwierała usta, żeby powiedzieć „tak”.

- Mogę to przemyśleć?

To była tylko praca - i to głupia praca. Mam dzisiaj ważniejsze sprawy na głowie.

Zapukawszy do drzwi Jeremy'ego, Sara zauważyła, że ma spocone dłonie. Pomachała nimi przez chwilę, nie chcąc zostawić wilgotnych śladów na ubraniu. Usłyszała ciężkie kroki.

Etap prób zakończony, pomyślała, zaciskając zęby. Jeremy ma usta stworzone do całowania i na pewno potrafi robić użytek z rąk. Duże nadzieje wiązała z resztą jego ciała... Uśmiechnęła się. To nie będzie powtórka historii z Raulem. Ani jednorazowy seksmaraton w stylu Martiki. Czuła, że po tym wieczorze przejdą jej wszelkie stesy.

- Sara. - Drzwi otworzył Boski Jeremy. - Tak się cieszę. Nie mogłem się doczekać...

- Ja też. - Weszła do środka. - Piękny dom.

- Powinnaś obejrzeć sypialnię - powiedział z uśmiechem.

Ostro zaczynamy, pomyślała. Wydawał się równie niecierp-

liwy jak ona - ale lepiej sobie z tym radził. Poszła za nim bez słowa. Dom był olbrzymi. Nie umywał się do rezydencji Richarda w Bel Air, ale dom Benjaminą wyglądał przy nim jak skromne kawalerskie gniazdko, nie mówiąc o jej mieszkaniu. Zwróciła uwagę na wykwintne meble i japońskie grafiki na ścianach. Musiała zrobić spłoszoną minę, kiedy dotarło do niej, że samuraj o odpychającym wyglądzie i dama w opuszczonym kimonie...

- Jesteś cudowna. - Roześmiał się i zatrzymał przed pornograficzną ryciną. - To klasyka. Japończycy w bardziej graficzny sposób przedstawiają pewne rzeczy. Powinnaś obejrzeć ich animacje.

- Oglądałam, w „Perversion” - odpowiedziała szybko, wpatrując się w bezpiecznie wyglądający wazon.

- Ciągłe zapominam, że prowadzisz takie światowe życie.

Poczuła przyjemne mrowienie na plecach. To był dobry pomysł. Wszystko pójdzie jak z płatka. Dała się nieco zbić z tropu, ale tylko na moment.

- Zastanawiam się... jak bardzo chcesz się zabawić. - Czuła, że jej podbródek unosi się defensywnie, ale nic nie mogła na to poradzić. Mogła się spodziewać, że to nie będzie jak w cikliwym romansie. Tu chodziło o ostry seks. Musiała być przygotowana na niezbyt smaczne momenty.

- Posłuchaj, ja jestem nastawiona na dobrą zabawę - zapewniła go. Wciąż miał ten drażniący uśmiech na twarzy. - Lubię przygody jak... - Mało brakowało, a powiedziałyby „jak Martika”. - Jak każdy - dokończyła mało przekonująco.

- No dobrze. - Znów się zaśmiał. - Postaramy się zadowolić młodą amatorkę przygód.

Przeszły ją ciarki, znacznie mniej przyjemne niż poprzedni dreszczyk. Ciężka orka, ten cały seks dla seksu. A facet wyraźnie jej nie pomagał.

- Czy mój młody Robinson Crusoe życzy sobie drinka?

- A co masz?

- Kochanie, mamy tu wszystko.

- No to... Może być wódka z sokiem żurawinowym?

- Jasne. - W jego uśmiechu było coś drwiącego albo ona była przewrażliwiona. - Jedna żurawinówka, już się robi.

Wyszedł, a ona usiadła, czując się cholernie niezręcznie.

Może powinna się na niego rzucić? Nie miała ochoty słuchać zbyt długo jego gadania. Chciała przejść do rzeczy. Chciała szalonego seksu.

- Rozgość się! - zawołał Jeremy z kuchni.

Odetchnęła głęboko i ściągnęła przez głowę bluzkę. Okej, Saro, idziesz na całość. Dasz sobie radę? Sięgnęła za plecy. Cholera. Żeby na rozbieraną randkę wybrać stanik z najtrudniejszym zapięciem! Poradziła sobie z haftkami, ale zanim zdążyła rozebrać się do naga, usłyszała zbliżające się kroki. Do dzieła, Saro.

- Pomyślałam, że moglibyśmy... - zaczęła i raptownie urwała.

Kobieta miała lśniące rude włosy, opadające ciężkim płaszczem na plecy. Jej wielkie zielone oczy patrzyły na Sarę z zaciekawieniem.

- Moglibyśmy co?

Sara wydała ciche, zduszone „eee” i omal nie oderwała sobie uszu, wciągając z powrotem bluzkę. Usłyszała śmiech kobiety.

- Och. Cześć, Mindy. - Do pokoju wszedł Jeremy.

- Mindy? - Z wlepionym w niego wzrokiem, zerwała się na równe nogi, uderzając golenią o kant stolika. Fizyczny ból był niczym w porównaniu z dotkliwym upokorzeniem. - Nie powiesz mi, że... Zdaje się, że znam tę rolę na pamięć. To twoja dziewczyna?

Mindy uśmiechnęła się, podnosząc prawą rękę, na której skrzył się kpiąco brylant.

- Ciepło.

- Jesteś żonaty? - Jasna cholera! Czy w całym Los Angeles nie było jednego wiernego faceta? Może w ogóle taki nie istniał?

- Tak. Ale to nie ma nic do rzeczy, prawda?

- Nie, nieprawda! Co za draństwo!

Mindy roześmiała się, a Jeremy pogładził ją po ramieniu.

- Masz rację, Jeremy. Ona jest słodka.

- Ty... powiedziałaś jej o mnie?

Skinał głową i podszedł do Sary. Wzdrygnęła się, kiedy pogładził ją w ten sam sposób.

- Oczywiście. Mindy i ja nie mamy przed sobą żadnych tajemnic.

- Słuchajcie, pewnie bawicie się w „otwarte małżeństwo”, ale mnie to naprawdę...

- Saro, powiedziałaś, że masz ochotę na seksualną przygodę. - W łagodnym głosie Jeremy'ego pojawiła się nuta zniecierpliwienia. - Czego się spodziewałaś?

- Nie tego. - Odskoczyła od niego jak oparzona.

- Nie bój się, wszystko w porządku - powiedziała kojącym głosem Mindy. - Nikt nie zamierza cię skrzywdzić.

- W porządku?! Więc nie obchodzi cię, co on robi i z kim? Dobrze byś się czuła, patrząc na nas? A może nie jesteś aż do tego stopnia „otwarta”?

- Z pewnością nie czułabym się dobrze, patrząc... - odpowiedziała urażonym tonem.

- Widzisz? - Sara rzuciła piorunujące spojrzenie Jeremy'emu.

- Zdecydowanie chciałabym mieć w tym udział.

- Co?! - Sara tak gwałtownie odwróciła głowę, że aż chrupnęło jej w karku.

- To będzie cudowna przygoda. - Mindy z uśmiechem pogładziła ją po policzku. - Tak się cieszę, że Jeremy znalazł właśnie ciebie. Wyglądasz jak uczennica... a to twoje szczere oburzenie jest po prostu rozkoszne. Spodoba ci się, zobaczysz...

Sara poczuła na szyi jej oddech. Cofnęła się i pędem rzuciła do drzwi. Na ulicy złapała ją kolka, ale zatrzymała się dopiero przy samochodzie. Oparła się ciężko o dach, uruchamiając alarm. Dwukrotnie nacisnęła niewłaściwy guzik, zanim to cholerstwo się wyłączyło.

O rany. O rany!

Wtedy zdała sobie sprawę, że zostawiła stanik. Cała ta historia wydała jej się potwornym koszmarem. Wsiadła do samochodu, zablokowała wszystkie drzwi, położyła głowę na kierownicy i zaczęła płakać.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### *The Crystal Ship (Kryształowy okręt)*

Judith siedziała przy kawiarnianym stoliku w centrum handlowym Century City Mail. Wiedziała, jak on wygląda. On wiedział, jak wygląda ona. Na wszelki wypadek miała przypiętą do żakietu pospolitą sztuczną różyczkę.

Boże, co ja robię? Powinnam była o tym z kimś porozmawiać... Niby z kim? Z Sarą, dla której miłość oznacza seks ze starannie dobranymi obcymi mężczyznami?

Tak naprawdę, jedyną osobą, z którą od kilku miesięcy miała bliski kontakt, był Roger - troskliwy „głos” z ekranu monitora. Jak przysłało na dwudziesty pierwszy wiek, pomyślała gorzko, w którym niewierność przekracza granice stanów bez fizycznego kontaktu...

Westchnęła. Byłoby to zabawne, gdyby dotyczyło kogoś innego.

- Judith?

Spojrzała w górę i zamarła z przerażenia.

- Dziekan Matthews? - Niestety, to był on, w swoich pretensjonalnych tweedach i tak dalej. - Co ty tu robisz?

Rzucił jej dziwne spojrzenie - w jej tonie zbyt wyraźnie zabrzmiała nagana, uśmiechnęła się więc z taką swobodą, z jaką powinna była zadać mu to pytanie.

- Wybrałem się z Marthą na zakupy. - Niepewnie odwzajemnił jej uśmiech. - Zostawiłem ją w sklepie Disneya. Uwielbia tam buszować.

Czekał, aż Judith podejmie jakąś rozmowę, podczas gdy ona

wyczekiwała swojego potajemnego, jeszcze nieucieleśnionego kochanka. Doskonale. Tylko tego mi trzeba, żeby pojawił się Roger i wykonał dla mnie striptiz na oczach dziekana Matthews-a.

- A... jak się miewa Martha? - spytała.

- Dobrze. Ostatnio bywam trochę częściej w domu - powoli przymierzam się do emerytury - i myślę, że dla nas obojga to miła odmiana. Nadmiar pracy zawsze odbija się na małżeństwie.

Przytaknęła. To Bóg się ze mnie śmieje.

- Wiesz, że kiedy byłem na pierwszym roku prawa... - O nie, zapowiada się wykład! - Miałem takiego profesora... Boże, jak on się nazywał? W każdym razie powiedział coś, czego nigdy nie zapomnę: „Studenci, rozejrzyjcie się na prawo, a potem na lewo. Zapewniam was, że kiedy skończycie te studia, tylko jeden na trzech z tego grona będzie w tym samym związku, co dzisiaj. Życie tutaj jest zbyt ciężkie”. Rzeczywistość okazała się jeszcze smutniejsza. A mnie się z Martha poszczęściło. Była przy mnie cały czas, przetrwała wszystko... niewiarygodnie długie godziny, wszelkie trudy.

Judith kiwała tylko głową, bojąc się cokolwiek powiedzieć.

- Tak jak Davidowi poszczęściło się z tobą! Prawda? - Puścił do niej oko i spojrzał na zegarek. - Cóż, pójdę po Marthę, zanim zacznie mnie szukać. Pozdrowisz ode mnie Davida?

- Oczywiście. - I wytłumaczę mu, co robiłam wieczorem w Century City Mall? Jasne. Niewykluczone. Pozwoliła uścisnąć się dziekanowi, który, nim odszedł, spojrzał ciekawie na klapę jej czarnego blezera.

- Bardzo ładna różyczka.

- Dziękuję - odpowiedziała z chłodnym spokojem, który ją samą zaskoczył. - Próbuję przywołać dawny styl.

Nie wiedziała, czy kupił jej wykręt. A jeśli powie Davidowi? Jeśli powie żonie, a ona rozpowie wszystkim innym i dowie się o tym David? Jeśli...

- Judith?

Nosowo brzmiący głos wyrwał ją z zamyślenia. Odwróciła się. Roger.

Był równie przystojny jak na zdjęciu. Trzymał w ręku różę, w egzotycznym pomarańczowym kolorze, przechodzącym

w szkarłat na brzegach płatków. Miał niewiarygodnie seksowny uśmiech.

- Roger? - wyszeptwała.

- We własnej osobie.

Skrzywiła się. To nie może być jego prawdziwy głos.

A jednak wszystko na to wskazywało. Mówił jak nakręcony.

- Czekałem, aż skończysz rozmowę z tamtym dżentelmem... Nie chciałem wyjść na intruza, rozumiesz.

„Dżentelmen” zabrzmiał jak „dżyntylmyn”. A najgorszy był ten wysoki tembr... prawie dziewczęcy, lekko piskliwy. Lepsze wrażenie robiła jego twarz - wyraźnie zarysowana szczęka, głębokie inteligentne oczy.

- Masz ochotę... coś zjeść?

Nic nie mów. Proszę, nic nie mów.

- Nie. - Potrząsnęła głową, nie odrywając od niego wzroku.

- Nie mówię... to znaczy, nie jestem głodna.

- Okej. - Wskazał ręką stolik.

Odrętwiała, usiadła bez słowa. Patrzyli na siebie przez moment w błogosławionym milczeniu. W końcu on chrząknął.

- Jak to dobrze cię widzieć. Ciągle się zastanawiałem, jaka jesteś, no wiesz, jak wyglądasz.

- Uhm. - Gdyby tak był jakiś sposób wystukania mu tego na klawiaturze!

- Jestem trochę zdenerwowany.

- Jestem trochę zamężna - powiedziała bardziej szorstko, niż zamierzała. - Dla mnie to nie jest seans medytacyjny.

Zamilkł na te słowa, a ona poczuła się trochę winna.

- Przykro mi - odezwał się w końcu. - To jest... sam nie wiem. Nie wiem, jak sobie wyobrażałem nasze spotkanie. Może jak na filmie - coś jak z „Angielskiego pacjenta”, w którym kochankowie są w sobie zakochani do szaleństwa i nic nie mogą na to poradzić. Długie, udręczone spojrzenia.

Bardziej męski głos, pomyślała bezlitośnie.

- No więc nie wiem... to trudne - westchnął. - Ale niezupełnie tak to sobie wyobrażałem.

- Nie tak?

- Po prostu... inaczej jest przez Internet, to wszystko. - Przeczesał palcami włosy, i naprawdę wyglądał jak supermodel. Mogłaby zapomnieć o głosie dla twarzy takiej jak ta.

Ale czy mogła zapomnieć o małżeństwie?

- W jakim sensie inaczej?

- Byłaś taka zagubiona i nieszczęśliwa, kiedy zaczęłaś do mnie pisać, więc myślałem... cholera, wciąż myślę, że mógłbym ci pomóc. Nie wiem... Ratować cię.

- Ratować mnie? - Nie rozumiała, dlaczego zjeżyła się na te słowa, ale właśnie tak zareagowała.

- Nie wiem. Myślałem chyba, że przyjadę tutaj, będziemy się całować, a potem porwę cię do Atlanty. Ale z tego, co widzę, ten plan jest niewykonalny. - Wziął głęboki oddech. - I z tego, co sobie powiedzieliśmy... - Zapadła długa, bolesna cisza.

- Rozmawiamy dopiero minutę, Roger. - Nie rozczarował go chyba jej głos? A może? Boże, co za ironia losu. - W czym problem?

- Ty jesteś... no cóż, zimna.

Z wrażenia wybałuszyła oczy. A potem się zaczerwieniła.

- Nie chciałem cię urazić - powiedział swoim piskliwym głosem. - Naprawdę. Rzecz w tym, że wydajesz się o wiele bardziej bezbronna... przez Internet.

Zamrugła nerwowo. O tym, że wydawała się bardziej bezbronna, decydował generator szybkości transmisji i przepustowość łącza?

- A jakie teraz robię na tobie wrażenie?

- Czuję, że zdzieliłabyś mnie, gdybym się do ciebie zbliżył.

- Nic z tego nie będzie, prawda? - zapytała smutnym głosem.

- Moglibyśmy podejść do tego z dystansem. Przyjechałem na tydzień... na krótki urlop. Będę mieszkał u przyjaciela. Moglibyśmy pogadać przez telefon. Może przejście z Internetu do rozmowy twarzą w twarz było zbyt dużym szokiem...

- Nie sądzę, żeby to coś dało. - Była pewna, że kilka godzin rozmowy z tym głosem nic by nie dało. Jego głos, Boże zmiłuj się, działał jej na nerwy jak zgrzyt żelaza po szkłe. - Może... może powinniśmy zostać przy Internecie.

- Może. - Przynął się do niej bliżej. - Naprawdę myślałem, że cię kocham, Judith. Po tym wszystkim, co mi mówiłaś, wierzyłem, że jesteśmy w sobie zakochani. - Kiedy dotknął jej twarzy, mimowolnie się uchyliła. - Nie znam cię, prawda? Nie znam prawdziwej Judith.

- Jeżeli to może być jakimś pocieszeniem, ja też jej nie znam. Smutek, z jakim westchnął, złamałby jej serce, gdyby nie przypominało to westchnienia Myszkki Miki.

- Więc może powinniśmy chwilę porozmawiać.

Wzruszyła ramionami, ale poczuła bolesne ukłucie w sercu. Był jej najbliższym przyjacielem i nie była pewna, czy gotowa jest to utracić.

- Nie zniknę - zapewnił ją. - Ale... to strasznie dziwne. Potrzebuję trochę dystansu.

Kiwnęła głową.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli sobie już pójdę.

Znow nic nie powiedziała, a Roger, ku jej zdumieniu, pochylił się i pocałował ją delikatnie w usta. Przeszył ją lekki dreszczyk.

- Szkoda - powiedział blisko jej ucha, a ona wzdrygnęła się, jakby ktoś przejechał paznokciem po szkolnej tablicy.

- Skąd możesz wiedzieć - mruknęła.

Patrzyła, jak odchodzi... odprowadzany ciekawymi spojrzeniami innych kobiet. Widziała, jak znika w tłumie.

Więc o co tu naprawdę chodziło?

Myślała, że znalazła wielką namiętność, jak „angielski pacjent”. Wyszła z tego kompletna farsa. Marzył jej się romans - romansu nie będzie.

Zdała sobie sprawę, że wciąż tego chce. Chce czegoś więcej od życia.

Tu nie chodzi o Rogera. Chodzi o Davida.

Wstała, wyjęła z klapy różyczkę i zostawiła ją na zimnym blacie stolika.

A przede wszystkim chodzi o nią.

Martika siedziała na kanapie, z ręką opartą na brzuchu. Zauważyła, że jest lekko zaokrąglony. Jasne, od dawna był lekko zaokrąglony. Tak naprawdę, mniej więcej kiedy skończyła dwadzieścia cztery lata, przestał wyglądać jak deska. Teraz miała lat trzydzieści i swój okrągły brzusek zawdzięczała nadmiarowi tłuszczu - jeszcze nie dziecku. Nie miała prawa siedzieć beczynnym przed telewizorem i klepać się po brzuchu jak przyszła matka z jakiegoś cikliwego niedzielnego serialu.

Ale ty jesteś przyszłą matką.

Powiedziała oczywiście Taylorowi, który, tak jak się spodziewała, oniemiał z przerażenia. Cholera, ona też. Chełpiła się, że jest odporna na wszelkie ciosy, ale ten ją kompletnie wytrącił z równowagi. Naprawdę powinna zdecydować się na skrobankę i zapisać to na swoim koncie jako bardzo, bardzo złe doświadczenie. Oczywiście w przyszłości byłaby ostrożniejsza. Koniec z przypadkowymi bzykankami. Niewielka strata. Związałyby się z kimś, może nawet znalazłaby „tego jedyne”.

Ale jej ręka wciąż leżała na brzuchu.

Ciekawe, czy to chłopiec, czy dziewczynka? Tego nie miała by się szansy dowiedzieć. Dziwne, ale zawsze myślała o dzieciach w odniesieniu do innych ludzi. Dzieci zupełnie nie pasowały do klubowego stylu życia, a jej życie należało do niej. Dzieci wiązały się z obowiązkami. Stałymi. Wizyty u specjalistów, całodzienna opieka, brak snu. Potem w wieku dwóch lat stają się małymi potworkami - naoglądała się takich w telewizji.

A jednak wciąż się zastanawiała. To nie było po prostu dziecko. To było jej dziecko. Czuła jego obecność w swoim ciele, ale nie w złym sensie. Myślała, że całe to gadanie o „czuciu” dziecka, zwłaszcza w tak wczesnej ciąży, to brednie, ale nadwrażliwość jej piersi, mdłości, wszystko to się akumulowało w zadziwiającym tempie.

Taylor nie mógł tego zrozumieć. Czuła potrzebę porozmawiania z jakąś kobietą. Czyli z Sarą. Dotąd nie była wobec niej zbyt wylewna, ale teraz nie miała wyjścia. Była pewna, że Sara zrozumie.

Usłyszawszy zgrzyt klucza w zamku, zdjęła z brzucha rękę i położyła ją na kanapie.

- Cześć! - zawołała, zanim Sara zamknęła drzwi. - Masz wolną chwilę?

- Miałam piekielny dzień. Zostałam wylana. Potem facet, z którym chciałam się przespać, okazał się kompletnym dupkiem. - Opadła z jękiem na fotel. - Chcę iść do klubu i upić się w pestkę.

- Zacznieś szukać nowej pracy?

Sara łypnęła na nią wściekle.

- Nie musisz się ciskać - powiedziała ostrym tonem Martika. - Mam kłopot, o którym chciałam z tobą pogadać, to wszystko.

Sara wytrzeszczyła oczy.

- Och... oczywiście, Martiko. Proszę, opowiedz mi o swoich kłopotach.

Martika spochmurniała. O, nie...

- Przepraszam. Zapomnij.

- Nie zbrzydła ci przypadkiem rola mamuśki?

- Co? - Martika z wrażenia aż stęknęła.

- Twoja matczyzna opiekuńczość jest toksyczna, tak to się chyba określa. Tłamsisz nas - mnie, Taylora i każdego, do kogo się zbliżysz - tak długo, jak ten ktoś z tobą wytrzyma. Mówisz mi, że mam olewać pracę, pieprzyć się, ile wlezie, z facetami, i ja tak robię. Tylko spójrz, jak na tym wyszłam! Jestem w kanale!

- Z mojej winy?! - Martika była wściekła. - Masz obsesję na punkcie toksycznej matki i myślisz, że ja ciebie tłamszę?

- Robisz to! - Sara zerwała się z fotela. - Tak! Zawsze chodzi o ciebie. Ty zawsze wiesz, co jest słuszne. Ciągłe mi mówisz, co powinnam zrobić! A jak coś nie wychodzi, nie pozwalasz mi narzekać! Dlaczego? Bo twoje problemy są o wiele ważniejsze od moich. Bo wszystko kręci się wokół ciebie!

- W takim razie słuchanie biadolenia dwudziestopięciolatki o tym, że jej życie nie jest usłane różami, nie wydaje mi się śmiertelnie niebezpieczne - powiedziała zimno Martika. - Kiedy cię poznałam, byłaś tak udupiona przez tego palanta, którego nazywałaś narzeczonym, że prawie czołgałaś się na każde jego gwizdnięcie. To samo robiłaś w pracy, Saro. Wystarczyło powiedzieć: „aport!” Cholera, powinnaś mi podziękować...

- Podziękować ci? - Oczy Sary płonęły jak pochodnie. - Za co? Wszystko, co miałam przedtem, trzymało się kupy! Wiedziałam, czego chcę!

- Chciałaś być potulną żoneczką, bez własnego życia, tylko dlatego, że na nie trzeba zapracować. Chcesz posłuchać o innych problemach? Pozwól, że ci opowiem o...

- Nie, nie opowiesz. To ty mnie wysłuchasz. Nie jesteś taka „cool”, jak ci się wydaje. Nie jesteś genialna ani taka ostra, i nie masz dwudziestu lat.

Tego Martika się nie spodziewała.

- Co powiedziałaś?!

- Mówię, że nie ma nic złego w tym, że ma się trzydzieści lat. Pod warunkiem, że nie udaje się osiemnastolatki. Wtedy jest to cholernie żałosne.

Martika poczuła, jakby dostała cios prosto w serce, i zaczęło jej się zbierać na płacz. Sama nauczyła Sarę, jak to się robi. Nauczyła ją bezczelności, stawiania się - i teraz ma za to nauczkę.

I ja myślę o dziecku?

- Martika, jesteś przeżytkiem. Znalazaś sobie prowincjuszkę z Fairfield, pokazałaś jej kilka klubów kategorii B i C i przekonałaś ją, że pieprzenie się z byle kim to zabawa, a praca to głupota. Teraz widzę, jaka jesteś naprawdę. Jesteś tylko pozobawioną wiary w siebie kobietą, która przedwcześnie straciła młodość, która tak zajadle nienawidzi samej siebie, że każdemu, kto się do niej zbliży, musi coś udowadniać.

- Wiesz... - Martika odezwała się grobowym głosem. - Chciałam z tobą pogadać. Traktowałam cię jak przyjaciółkę. Ale jeśli mam być besztana we własnym domu...

- To mieszkanie jest wynajęte na moje nazwisko.

Martika wstała, chwyciła swoją torebkę i telefon.

- Zostaw sobie swoje przekłete mieszkanie. Za tydzień się wyprowadzam.

Sara wytrzeszczyła oczy. Wzięła kilka głębokich oddechów.

- Obie jesteśmy... Przepraszam, Martika. Miałam naprawdę koszmarny dzień i... chyba mnie trochę poniosło...

- Nie, powiedziałaś szczerze, co myślisz - odpowiedziała zimno. - Więc teraz ja powiem swoje. Może i jestem trzydziestoletnią zwichniętą kobietą, kandydatką do „Oprah Show”, która musi nauczyć się kochać siebie, poddać solidnej terapii i przestać się pieprzyć z każdym facetem, który się jej nawinie. Może mam swoje problemy. Ale jeśli naprawdę myślisz, że z tobą, zanim mnie poznałaś, było wszystko w porządku, to oszukujesz samą siebie. Ty nie chcesz wymyślić sposobu na ułożenie sobie życia! Chcesz, żeby ktoś ci mówił, co robić, bo nie masz do siebie zaufania!

- Ale zdecydowałam, że tym kimś nie będziesz ty.

Martika patrzyła na nią, przygryzając do krwi dolną wargę i czując, że za chwilę naprawdę wybuchnie płaczem.

- Mam cię gdzieś. - Odwróciła się na pięcie i wyszła.



- To jeden z najgorszych dni w moim życiu - powiedziała smętnie Sara.

- Gdzie jest twoja mentorka? - spytał Taylor, siedzący na przeciwległej kanapie, obok Pink.

Pink nie słuchała, całą uwagę skupiwszy na przystojnym facecie, którego wypatrzyła w tańczącym tłumie.

- No właśnie. Miałyśmy straszną awanturę.

- Nie przejmuj się - zachichotał. - Jej napady szału nie trwają dłużej niż dwa dni. O co się pokłóciłyście?

- Znow zaczęła głądzić, żebym się nie przejmowała utratą pracy, że znajdę następną, że muszę się upić, zabawić i przestać o tym myśleć.

- I co jej powiedziałaś...?

- Że... wygląda na to... że jej to na dobre nie wyszło.

Taylor parsknął krótkim, szczekliwym śmiechem.

- Cholera. Założę się, że dostała piany.

- I powiedziałaś jej, że mnie tłamsi... jakoś tak.

- Żartujesz! - Taylor zrobił wielkie oczy.

- Ona nas wszystkich traktuje jak niewyżyta matka kwoka.

- Sara pociągnęła następny łyk dżinu z tonikiem. Strasznie mocny, pomyślała - Tommy, który zwykle pilnował tych rzeczy, musiał mieć dzisiaj wolne. - Przecież ciebie ona też czasem wkurza...

- Jasne, ale ja jej nigdy tego nie mówię! - Taylor znow się roześmiał. - Sara, jesteśmy rodziną Martiki. Zamiast świrować tak jak my, czy załamywać ręce, ona całą swoją energię poświęca na uczenie nas, jak mamy żyć. Taka już jest. Nad-mamuśka Bulwaru Hollywood. - Pokręcił głową. - Więc jak to się skończyło?

- Krew ją zalała. Nie byłam w nastroju na przeprosiny, więc przyszedłam tutaj.

Taylor westchnął i podniósł wzrok.

- Ooo! Ładny chłopiec przy barze.

Z apatyczną miną odwróciła głowę. Poczwała się solidnie wstawiona. Niedobrze, za wcześnie. Do domu miała niezbyt daleko, ale jeśli ubzdryngoli się za bardzo... - zawsze może wezwać taksówkę.

Taylor wstał, patrząc na nią przenikliwym wzrokiem.

- O rany. On łąpie na mnie. Wymienić ci szklankę na pełną?

- Eee... lepiej nie. Bez Martiki... - Cholera, nie potrzebowała dozorcy. - Jasne, że tak.

Patrzyła, jak podchodzi swobodnie do baru, zamawia drinki i z niedbałym wdziękiem nawiązuje rozmowę z facetem, który go zainteresował. Nie miała pojęcia, jak on to robi, ale za każdym razem podziwiała jego zdolności aktorskie - był teraz taki spokojny, jak gdyby minutę wcześniej nie pisał z podniecenia na sąsiedniej kanapie.

Zrobiła zdziwioną minę, kiedy przysiadł się do niej Kit.

- Hej, wszystko w porządku?

Była zła, że potrafił wyczuwać jej nastroje - zwłaszcza że on zdawał się mieć zawsze taki sam nastrój. Facet w nastroju uniwersalnym. Albo w nastroju XL. Zachichotała pod nosem. Tak, tym razem alkohol zdecydowanie dobrze jej robił.

- Spytałem, czy wszystko dobrze.

- A nie wyglądam dobrze?

- To polowanie na komplement?

- Daj spokój, Kit.

Wrócił Taylor, z drinkami w obu rękach i z chłoptasiem prawie wiszącym mu na ramieniu.

- Bardzo proszę, kochanie - powiedziała z wylewną serdecznością. - Och! Kit się objawił. Widzę, że jesteś w dobrych rękach. My chyba wyskoczmy do innego klubu. Poradzisz sobie, słonko?

Sara przewróciła oczami. Inny klub, akurat. Znała ten jego błysk w oczach.

- Jasne, że tak.

- Fajnie. To pa, kochani! - Wybiegł prawie galopem.

- Co to znaczyło, że jesteś w dobrych rękach?

- Bo ja wiem? - Wzruszyła ramionami.

- Gdzie jest Tika?

- Nie potrzebuję dozorcy, Kit.

- Oczywiście. Pokłóciłaś się z królową Amazonek, czy wyszła z upolowanym towarem?

- Prawdopodobnie. Nie wiem.

- Saro, dlaczego jesteś tu sama?

- Odczep się, nie potrzebuję niańki! Jestem dorosłą kobietą. Dorosłą kobietą bez pracy i bez faceta, ale sama potrafię o siebie zadbać!

- Rozumiem. Bez pracy i bez faceta. Lubiłaś pracę, którą straciłaś?

- A co to ma do rzeczy?! Nie chodzi o to, czy lubiłam swoją pracę! - Zorientowała się, że wrzeszczy, bo patrzyli na nią ludzie. Zniżyła głos, a Kit przysunął się trochę bliżej.

- Chodzi o to, czy lubię żyć tak, jak żyję. Mam... miałam pracę, która pozwalała mi się utrzymać, rozumiesz? Nie zależało mi na robieniu kariery.

- Dbanie o karierę zawodową nie jest niczym złym.

- Wiem!

- Wewnętrzny głos, proszę.

Była tak rozdrażniona, że miała ochotę go zdzielić. Mętным wzrokiem spojrzała mu prosto w oczy.

- Myślałam, że w końcu mi się udało. Próbowалам robić plany zawodowe, a jakże, poszerzać „sferę wpływów”, i nic z tego nie wyszło. Potem próbowałam się bawić i totalnie migać, i nawet to schrzeniałam. Jak można coś schrzanic, nie mając żadnych ambicji?

- Zdarzają się ludzie o wyjątkowym talencie - powiedział z uśmiechem.

- Mam tego dosyć. Poddaję się.

- Ustalisz na nowo cele?

- Nie wiem, co zrobię, Kit. - Zażenowana, poczuła, jak łzy nabiegają jej do oczu. - Po prostu nie wiem.

Objął ją nieporadnym gestem, ale odtrąciła jego rękę, równie niezdarnie.

- Posłuchaj, Saro, przykro mi...

- Nie mów mi, że ci przykro - syknęła. - Nie chcę słyszeć, że komuś jest przykro. Wszystkim jest przykro. Nie musisz tego mówić.

Siedzieli w milczeniu. Nagle poczuła coś dziwnego... jej serce zaczęło bić trochę szybciej. Zerknęła na Kita, jak gdyby zobaczyła go po raz pierwszy - i to pod mikroskopem.

- Masz takie śmieszne oczy...

I ten zabawny półuśmiech. Zauważyła maleńką bliznę na lewym policzku przy ustach.

- Taaak?

- Uhm. - Wypiła połowę drinka, oblewając sobie bluzkę. Odstawiła szklankę z hałasem. - Twoje oczy są jakby zielono-

brązowe, z żółtymi cętkami. Jak... jak u kota. A może jaszczurki.

- Miło, że to zauważyłaś. - Pogładził ją po włosach. - Saro, kotku, ile dzisiaj wypijaś?

- Dziwne... - powiedziała, myśląc o tym z wysiłkiem. - To dopiero moja druga... Tak mi się wydaje.

Odwróciła głowę w stronę parkietu i nagle znieruchomiała. Sala zaczęła wirować. Światła, tańczący ludzie, wszystko przesuwało się w jej oczach jak na zwolnionym filmie - kilka klatek na sekundę. Wpatrywała się, zafascynowana, jakby oglądała to pod mikroskopem.

Tańczące w półmroku kobiety miały na sobie króciutkie spódniczki i topy bez ramiączek, i wszystkie wyglądały na dwadzieścia lat - potem zauważyła te, które były w zdecydowanie innym wieku. Mężczyźni prawie się ślinili, patrząc na ich nagie dekolty i nogi - ale było w tym coś rozpaczliwego, jakaś bezsilność... nie. Mieli w oczach strach. Dlaczego nie zauważyła tego nigdy wcześniej? Kobiety lepiej się maskowały, ale można było to dostrzec - głodny wzrok, gorączkowe szukanie kontaktu, jakiegokolwiek.

Desperacja wisiała w powietrzu jak mgła feromonów. Chciała wstrzymać oddech.

- Ssss....

Nie zwracała uwagi na dźwięki. Zbyt pochłonęło ją to, co działo się przed jej oczami. Nagle odniosła wrażenie, że widzi wyraźnie cały klub, jak w świetle dziennym. Z rozrzedzonej sztucznej mgły wyłoniły się odkryte belki. To był magazyn. A podłoga... pomiędzy gołymi nogami i obcasami czarną lepką powierzchnię pokrywała warstwa mazi z rozlanych drinków i potu. Odsunęła ze świadomości dźwięk kojarzący się z napadem torsji. „Scena” była zbudowana z pomalowanych czarnym sprayem skrzynek.

Wizje atakowały ją z coraz większą wyrazistością, coraz szybciej. Barmani, z wystudiowaną obojętnością w oczach. Bramkarze, ze swoimi odpychającymi twarzami. Tańczący ludzie, ze swoim wyreżyserowanym seksapilem.

To był czysty horror. Koszmar.

W końcu odwróciła się do Kita. Ani śladu ironicznego uśmiechu - miał niepokój na twarzy, i przez moment widziała

w jego oczach ciepło, zamiast wyćwiczonej pogardy. To ma jakiś związek z tym miastem, doszła do wniosku. Potrzeba szukania, potrzeba chronienia się, wszystko w jednej dziwacznej kapsułce.

Kapsułka...

- Kit... - wydusiła. - Myślę... że ktoś wsypał coś...

- Wiem, kotku, wiem. - Jego głos wydawał się tak odległy i głuchy, jakby użył tekturowej rurki jako megafonu. - Zabieram cię do domu.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

### *Love Her Madly (Kochać do szaleństwa)*

Martika stała przed domem swoich rodziców, nie do końca pewna, czy nieprzyjemne łaskotanie w żołądku zawdzięcza w większym stopniu ciąży czy stresowi. Rany... czy naprawdę nie widziała ich dwanaście lat?

Dom niewiele się zmienił - ściany były odnowione, ale różany żywopłot, o który dbała jej mama, nadal strzegł soczysto zielonego trawnika. Zastanawiała się w nerwowym roztargnieniu, czy kupili nowy samochód, czy jej ojciec wciąż jeździł białą furgonetką volvo, w której straciła dziewictwo.

Wszystko w niej dygotało.

Nie była tu, odkąd uciekła z domu. Sama zapisała się do publicznego college'u i znalazła pracę. Utrzymywała się samodzielnie, żyła, jak chciała, i nie potrzebowała dłużej ich pieprzonej łaski. Zmieniła imię i nazwisko, najpierw dla znajomych, potem formalnie. Nie cierpiała tego domu, porzuciła go z rozmysłem i ulgą, a teraz wróciła... z nowiną, że jest w ciąży.

Po co? Chciała rzucić im to w twarz? Co jej przyszło do głowy?

Nacisnęła dzwonek, czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła - całe szczęście, że nie zjadła śniadania. Kobieta, która otworzyła drzwi, wydała jej się niewiarygodnie niska. Czy jej matka zawsze była taka niska?

- Eleanor? To ty?

- Cześć, mamó.

Jej matka zbladła i patrzyła na nią w milczeniu.

Martika czuła znużenie. To był idiotyczny pomysł - miała rażę, uciekając stąd. Nie powinna była wracać do tego domu. Czego się spodziewała? Myślała, że niby co się stanie?

Westchnąwszy lekko, już chciała się odwrócić, kiedy jej matka w końcu się odezwała:

- Ale ty jesteś wysoka...

Doskonałe wejście. Martika pokazała jej swoje obcasy.

- Steve Madden. Trzeba się do nich trochę przyzwyczaić, ale... - Urwała, mając wrażenie, że matka nie chwytą sensu jej słów.

- Bardzo ładne. Może wejdiesz do środka i usiądziesz na chwilę?

Zabrzmiało to strasznie niepewnie... jakby ktoś próbował przekonać uzbrojonego bandytę, żeby się oddał w ręce policji, ale nie chciał być zbyt natarczywy.

Martika weszła jednak bez słowa, stukając obcasami o terakotową posadzkę. Coś nowego. Za jej czasów były wykładziny dywanowe. Rozejrzała się. Dom był teraz urządzony w stylu południowozachodnim. Nuda, ale inaczej, pomyślała z uznaniem.

Zatrzymała się w salonie. Zawsze były tu jakieś zdjęcia, tyle pamiętała, ale zobaczyła swoje zdjęcia - z czasów, kiedy była nastolatką, zanim uciekła z domu. Ona nie trzymała u siebie ich zdjęć. Nie sądziła, żeby miała nawet jedno.

Ona z aparatem korekcyjnym na zębach. Ona, ubrana na wybory Małej Miss Pasadeny, z wystraszoną miną. Ona na konkursie ortograficznym.

Ostatnia fotografia. Ona z rodzicami i z bratem. Ubrana na czarno, z taką ilością cienia na powiekach, że mogłaby konkurować z Robertem Smithem z zespołu The Cure. Miała naburmuszoną minę. Pamiętała, że wkrótce potem uciekła z domu.

Jej matka spojrzała na to samo zdjęcie, a potem na Martikę, z obawą. Zaprowadziła ją do kącika jadalnego w kuchni, do stołu ze szklanym blatem, którego nie było za jej czasów.

- Czego się napijesz?

- Może herbaty?

Jej matka zrobiła zdziwioną minę. To ona uwielbiała herbatę - dlatego Martika jej nie zносиła. Nie zносиła wielu rzeczy.

Matka nastawiła czajnik, a potem popatrzyły na siebie wyczekująco.

- Więc jak ci się wiedzie? - Pytanie matki zabrzmiało uprzejmie, jakby gościła dawno niewidzianego sąsiada.

- Wszystko... - urwała. - Wiesz, że nie jest dobrze, mam.

W oczach matki pojawiła się troska, a to podziałało na Martikę jak płachta na byka. I nagle zdała sobie sprawę, że właśnie dlatego tu jest.

- Nie przyszedłabyś tu, Eleanor, gdyby wszystko było dobrze.

- Martika. Mam teraz na imię Martika. - Jakby na przekór, zranione spojrzenie matki sprawiło jej przyjemność. Ale ból zniknął z jej oczu, a została tylko troska. To się nie zmieniło, bez względu na wszystkie kosmetyczne zmiany w wyglądzie domu.

- Dziwne imię. - Czajnik zagwizdał, więc matka odwróciła się i zaparzyła herbatę w dwóch filiżankach. - Martika. Więc co cię tu sprowadza... Martiko?

- To już... - Jak się do tego zabrać? - Minęło dziesięć lat, prawda?

- Dwanaście. - Niespodziewanie twarz matki stężała.

- Dwanaście...

- I nagle jesteś. Szkoda, że nie przyszedłś później, twój ojciec by się tak ucieszył. - Załamał jej się głos i zacisnęła usta, jakby chciała powstrzymać płacz. Kiedy się pozbierała, nie patrzyła na Martikę, tylko na swoją filiżankę. - Może zostałabyś do kolacji. Jeśli chcesz... - Znów ten proszący ton, ale bez natarczywości.

- Mamo... chciałam porozmawiać z tobą o tym, dlaczego uciekłam.

- Martwiłam się. - Teraz rzuciła jej iskrzące spojrzenie.

- Wiesz, jak długo się martwiłam? Nawet po tym, jak zadzwoniłaś i powiedziałaś, że nie chcesz mieć już ze mną nic wspólnego. Nie mogłam tego zrozumieć, Martiko. Co ja robiłam, że nienawidziłaś mnie tak bardzo?

- To nie było... Nie mogłam tu po prostu dłużej mieszkać, mam. Nie mogłabym sprostać twoim oczekiwaniom.

- Nigdy nie wywierałam na ciebie presji! - Podniosła nieco głos. - Nawet wtedy, gdy wiedziałam, że za wcześniej rozpoczęłaś życie seksualne z tymi okropnymi młodymi ludźmi - tak,



wiedziałam - dodała z naciskiem, kiedy Martika zrobiła zaskoczona minę. - Nawet kiedy zaczęłaś palić, papierosy i Bóg wie co jeszcze! Nigdy! Kochałam cię po prostu, jak dziewczynkę, którą zawsze...

- Nigdy nie byłam dziewczynką, jaką we mnie widziałaś! - krzyknęła Martika. - Właśnie dlatego uciekłam! Zawsze miałaś mnóstwo wspaniałych pomysłów na to, co powinnam robić, i odstawiałaś ten cały cyrk z akceptowaniem mnie, akceptowaniem wszystkich moich podłych, głupich numerów. Nigdy mi niczego nie zabroniłaś, nigdy nie nienawidziłaś mnie tak bardzo, jak ja... nienawidziłam... ciebie...

To tak beznadziejnie trąciło talk-show Oprah. Dziewczyny, które nienawidzą matek, które kochają je za bardzo. Rany, ale Taylor by się uśmieiał.

- Dlaczego mnie nienawidziłaś? - zapytała matka.

- Nie wiem. Teraz wydaje się to głupie. Ja po prostu... Nigdy mnie nie rozumiałaś. Nigdy mnie nie kochałaś. Albo kochałaś tę dziewczynkę w swojej głowie, albo udawałaś, że kochasz tego diabelskiego podrzutka, który zastąpił idealną córeczkę, którą według ciebie byłam. Albo kochałaś Eleanor, albo byłaś zbyt dobrą chrześcijanką, żeby nienawidzić Martiki.

- Jak ty do tego doszłaś? Co po dwunastu latach doprowadziło cię do takiego wniosku, że byłam jakąś potworną hipokrytką? I właśnie to cię tutaj sprowadza...?

- Jestem w ciąży.

Matka wpatrywała się w nią nieruchomym wzrokiem. I nagle zaczęła się śmiać. Pozbawionym wesołości, niskim śmiechem.

- Rozumiem. Właściwie spodziewałam się tej rozmowy jedenaście lat temu. Byłam na ciebie tak zła - tak przekonana, że zmarnujesz sobie życie, że zostaniesz narkomanką, włóczęgą albo zajdziesz w ciążę... - Zmierzyła Martikę przebiegłym spojrzeniem. - Na obrączkę, jak sądzę, się nie zanosi?

- Wiem, kim jest ojciec - powiedziała beczelnie - i mam to gdzieś.

- No tak... - Matka westchnęła. - Czy zamierzasz... - Chyba nie mogło jej to przejść przez gardło. - Zamierzasz urodzić to dziecko?

Dlaczego wszyscy zakładają, że nie?

- Tak. Zamierzam. - Z satysfakcją zauważyła zdziwienie na twarzy matki. - W każdym razie tak mi się zdaje.

- Cóż, nie przyszedłeś chyba po moje błogosławieństwo - to jedno jest pewne. Więc o co chodzi? Potrzebujesz kąta do życia? Szczerze mówiąc, wątpię, żebyś lubiła mieszkać tutaj... Możesz zająć domek gościnny za garażem, ale nie spodziewaj się, że będę pilnować ci dziecka, żebyś mogła włączyć się...

- Mamo - przerwała jej tyradę. - Mam jedno pytanie.

Matka patrzyła na nią wyczekująco.

- Co będzie, jeśli ono mnie znienawidzi? Chybabym tego nie wniosła - powiedziała, zakłopotana drżeniem swego głosu.

Tego, żeby znienawidziło mnie tak, jak ja ciebie.

Matka wstała i usiadła obok niej.

- Masz rację, w pewnym sensie - powiedziała i ku zdumieniu Martiki wzięła ją za rękę. - Chciałam być doskonałą. Chciałam, żebyś ty była idealną córką. A kiedy się okazało, że taka nie jesteś, chciałam to nadrobić - pokazać, że kochając cię, wciąż postępuję słusznie, nawet jeśli ty robiłaś złe rzeczy. Zawsze chodziło o mnie. Kiedy ty będziesz miała dzieci, nie będzie chodziło tylko o ciebie. - Westchnęła. - I za to cię przepraszam. Żałuję tego bardziej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Potrzebowałam wielu lat, żeby to zrozumieć.

Martika widziała szczerłość w jej oczach. Wiedziała, jak ciężko te słowa przeszły jej przez gardło. Pochyliła się, z ociąganiem, a matka uścisnęła ją. Nagle wszystko wydało się trochę znośniejsze, przynajmniej na moment.

Sara budziła się wolno, słysząc głębokie, chrapliwe sapanie. Było jej ciepło... za ciepło. I niewygodnie. Leżała na czymś twardym i nierównym. Odwróciła się i zobaczyła parę brzo- wych oczu, które mierzyły ją ze spokojem.

- Aua! - krzyknęła i spadła z kanapy na podłogę, ledwie uniknąwszy uderzenia głową w stojący obok stolik. W pół- płochu rozejrzała się dookoła.

Gdzie ja, u diabła, jestem?

Ściany oklejone były plakatami filmowymi. Humphrey Bo- gart krzywił się na nią znad kanapy, reklamując „Sokoła Maltańskiego”. Dustin Hoffman spoglądał nerwowo z plakatu „Absolwenta”, a Kim Basinger lustrowała pokój z „Tajemnic

Los Angeles". Sara zauważyła wielki ekran telewizyjny i regał wypełniony kasetami wideo i płytami DVD.

Spojrzała z powrotem na kanapę. Pies nie był z plakatu. Miał dropiatą, lekko kręconą sierść i wielki, różowy wywieszony język. Wyglądało na to, że czuł się właścicielem kanapy, ale był na tyle pewny siebie, że nie robił z tego problemu. Parzył na nią bez niechęci.

- Uuu. - Sara potarła obolały pośladek.

- Jak się czujesz?

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Kita, opartego o framugę drzwi, za którymi, jak przypuszczała, znajdowała się maleńka kuchnia. Była w mieszkaniu Kita.

Nagle poczuła się bardzo, bardzo świadoma faktu, że ma na sobie tylko bieliznę i T-shirt.

- Co ty tu...? Głupie pytanie. Co ja tu robię?

- Odsypiasz. Widzę, że Sophie się nie zachowała.

- Sophie?

Pies podniósł uszy, sapnął i wcisnął się głębiej w legowisko.

- Moja suka. Zwykle śpi ze mną, ale nie jest przyzwyczajona do towarzystwa, więc postanowiła ci chyba pokazać, kto tu jest prawdziwą panią domu.

- Zaraz... Dlaczego nie pamiętam, jak się tu znalazłam?

- Wczoraj w klubie ktoś wrzucił ci do drinka eskę. - Kit skrzywił się i odepchnął od framugi. Był w obcisłej koszulce. Zdziwiła ją rzeźba jego muskułów.

Okej, to nie jest pora na kontemplowanie ciała Kita. Obciągnęła T-shirt, zakrywając nogi aż po kostki.

- Swoją drogą, co ty tam robiłaś zupełnie sama? - spytał swoim zwykłym luzackim tonem, ale jego oczy tryskały energią, co znów ją zdziwiło. - Taylor i Tika powinni mieć więcej rozumu.

- Nie potrzebuję opiekunów.

Zmrużył oczy i czuła, jak prześlizguje się wzrokiem po całym jej ciele.

- Jasne. - Ruchem głowy wskazał kanapę.

- Rozumiem, że mnie uratowałeś.

- Uratowałem raczej faceta, na którego się rzuciłaś.

- Co?

- Przystawiłaś się na kanapie do jakiegoś biednego osiem-

nastolatka. Myślałem, że go zmiądzysz. Chłopak może nie miałby nic przeciwko temu, gdybyś mu dała oddychać.

- Kłamiesz. - Podniosła się.

- Możesz mi wierzyć albo nie. - Odwrócił się do kuchni.

- Ale Bóg jeden wie, gdzie byś wylądowała, gdybym pozwolił ci z nim wyjść - i z jego kumplami.

- Co ty mi wciskasz? - Sara podreptała za nim boso po zimnej podłodze. - Że wyszłabym z tym facetem i prześpałabym się z wszystkimi jego kumplami dlatego, że popełniłam błąd, idąc do klubu bez przywoitki?

Spojrzenie, które jej rzucił, było dostatecznie wymowne. Dorosnij wreszcie.

- Zrobić ci herbatę?

- Więc rzuciłam się na kilku facetów?

- Na jednego faceta, a jego kolesie gotowi byli się podłączyć.

- Dzięki. - Zabrzmiało szczerze. To było szczerze, pomyślała.

Naprawdę była mu wdzięczna, bo ta historia mogła się paskudnie skończyć.

- Nie powinnaś chodzić sama do nocnych klubów.

- Na to czekałam - westchnęła. - W porządku, wiem o tym.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Odruch buntu? - Roześmiała się i usiadła na obskurnym kuchennym stole. Kit postawił przed nią ciężki biały kubek. Herbata pachniała cudownie. - Nie wiem. Martika była w podłym nastroju - nie powiedziała mi, o co chodzi, tylko chciała, żebym to z niej wyciągnęła. A ja właśnie straciłam posadę osobistej asystentki. I... nie wiem. Tak jakoś wyszło, awantura, totalny hard-core... Naprawdę chciałam, żeby wszystko się ułożyło, ale...

- Saro, czego ty się tak boisz?

- Co? Skąd ci to...

- Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem, pomyślałem, że jesteś najbardziej wystraszoną kobietą, jaką widziałem w życiu. Ładną, ale rozpaczliwie przerażoną.

- Przerażoną z jakiego powodu?

- Nie wiem. Ciągłe starasz się dobrze wypaść, mieć odpowiedź, mieć plan - żeby wszystko było, jak należy.

- Wiesz, lubię mieć pieniądze na czynsz. Perspektywa życia bez dachu nad głową nie wydaje mi się zabawna.

- Tak, ale ty zarobisz na czynsz. Może nie będziesz lubiła tego, co robisz, ale nie umrzesz z głodu i nie będziesz mieszkać na ulicy.

- Przez kilka ostatnich miesięcy, od zerwania z Benjaminem, niczym się specjalnie nie przejmowałam.

Usiadł przy niej ze swoim kubkiem. Miał zamglone oczy -jakby rozmarzone. Ale nie był facetem z jej marzeń. Nie był tak czarujący jak Benjamin ani tak zmysłowy jak Jeremy, ani tak przystojny jak Raoul... Może to i dobrze.

- Próbujesz stać się Martiką, na litość boską. Brakuje ci tylko jej rudych włosów.

- Nieprawda!

- Włóczyz się po klubach, bo ona to robi... Próbowałaś udowodnić, że potrafisz sobie radzić sama, tak jak ona.

- Potrafię! - Przygryzła wargę. Znowu zachowywała się jak nastolatka.

- Jasne. - Pokręcił głową. - Nie zgadzam się z Martiką w wielu sprawach, ale jedno muszę jej przyznać - ta kobieta ma niesamowity instynkt samozachowawczy. A ty - jakbyś miała wypisane na czole: „zgwałć mnie albo zabij”.

- Rozumiem. Więc jestem idiotką.

- Nic takiego nie powiedziałem. - Westchnął i ku jej zdumieniu wziął ją za rękę. - Mówię, że za bardzo się starasz. Chcesz pokazać, że jesteś taką ostrą, zabawową panienką, która ma wszystko gdzieś poza imprezowaniem, ale to nie jesteś ty.

Wyszarpnęła dłoń, zmieszana, i wstała.

- Rozumiem. Godziny spędzone za barem zrobiły z ciebie kawiarnianorosłego psychologa.

- Saro, atakowanie mnie w niczym ci nie pomoże.

- Skończ z tymi analizami!

- Cholera! - Zerwał się z krzesła, zaskakując ją tym razem wybuchem gniewu. - Musiałem cię tu przyholować, bo mogłem zostawić cię samej i nie mogłem się dodzwonić do Martiki.

Wróciła do salonu i usiadła na kanapie obok Sophie. Pies spojrzał na nią i ani drgnął. Sara potarła skronie. Była zdenerwowana - i zawstydzona.

- Przepraszam, że narobiłam ci kłopotu. - Zauważyła na podłodze przy drzwiach swoje ubrania i wstała, żeby po nie pójść.

- Jesteś uparta jak osioł. - Położył rękę na jej ramieniu. - Nie narobiłaś mi kłopotu. Martwiłem się o ciebie.

- Nie chcę, żebyś się martwił.

Westchnął. Jej ciało zaczęło reagować. Jezu, była aż tak wyposzczona? Czy aż tak zdemoralizowana...

- Więc nie dawaj mi powodów do zmartwienia. Nie zastanawiaj się ciągle, co musisz zrobić ze swoim życiem, tylko daj mu się na chwilę ponieść. - Pogłaskał ją delikatnie pod brodą.  
- Wtedy przestanę się martwić.

- Łatwo ci mówić - odpowiedziała ze złością. Nie mógł jej skuteczniej ostudzić. - A ty co takiego robisz? Utrzymujesz mieszkanie, które dzielisz z psem. Nie jesteś z nikim związany, nie masz ambicji zawodowych. Żyjesz z dnia na dzień. Ja chcę czegoś więcej. Jak można tak żyć... bez żadnego celu?

- Hm. Więc tak mnie widzisz... - powiedział po chwili grobowego milczenia. - Mam jedno pytanie: o jaki cel ci chodzi, i dlaczego koniecznie musisz wiedzieć, co robić?

- Dlaczego muszę... - Kompletnie osłupiała. - Może dlatego, że nie mogę sobie wyobrazić codziennego odbijania karty zegarowej w pracy, której nienawidzę. Ani życia ze świadomością, że będę robiła to do emerytury, jeśli w ogóle dożyję emerytury. Albo dlatego, że nie chcę być sama, kiedy się zestarzeję - ani teraz. Jestem pewna, że to wyda ci się płytkie, ale kiedy byłam z Benjaminem, bez względu na to, jaki był samolubny i jak dużo ode mnie wymagał, przynajmniej wiedziałam, co mam robić. Prawdę mówiąc, każda moja nowa praca była podobna do poprzedniej - i równie beznadziejna. Kiedy poznałam Martikę, zaczęło mieć to jakiś sens - zależało mi tylko na tym, żeby się zabawić, żyć chwilą. Ale nawet to mi wyszło bokiem. Znowu jestem w punkcie wyjścia. I nienawidzę tego! - Zaczęła płakać. Ocierała nerwowo łzy i zagryzała wargę, żeby nie wybuchnąć głośnym szlochem. - Niech to szlag! Czasami czuję, że gdyby ktoś mi po prostu powiedział, co mam zrobić ze swoim pieprzonym życiem, byłoby mi łatwiej...

Unikała spojrzenia mu w oczy. Co by w nich zobaczyła? Litość? Możliwe, był bardzo współczujący. Gdyby coś z tego, o czym mówiła, miało i dla niego jakieś znaczenie, nie żyłby chyba w ten sposób?

Odrzuciła się, żeby pójść po ubranie... i znów ten delikatny, nieustępliwy uścisk. W końcu na niego spojrzała.

- Wszyscy tak czują.  
- Słucham?  
- Wszyscy tak czują. Nie zauważyłaś? Martika szaleje w klubach, bo daje jej to poczucie celu - rodzaj antycelu, jeśli wolisz. Twoja przyjaciółka Judith stara się zadowolić cały świat - to jej poczucie celu. Każdy myśli, że zna odpowiedź. Jeśli nie masz żadnego poczucia celu, jeśli nie widzisz dobrego powodu, żeby wstawać codziennie rano z łóżka, wcześniej czy później znajdziesz sposób, żeby w ogóle przestać wstawać.

- Więc... - chlipnęła, zażenowana - jaki ty masz powód, żeby się codziennie budzić?

- Pisanie. - Uśmiechnął się, co sprawiło, że jego szczupła twarz wydała się atrakcyjna.

- Pisanie? - spytała głosem bez wyrazu.

- Byłem kiedyś taki jak ty. Studiowałem - chciałem zrobić doktorat z psychologii, bawiłem się w pisanie, tak dla przyjemności, na boku. Swoją drogą, nie znałem nikogo, kto by zrobił karierę jako pisarz. Ale zorientowałem się, że zabawa w pisanie pochłania mnie coraz bardziej, a psychologia coraz mniej. Dostałem dyplom magisterski i dałem sobie z tym spokój.

- Masz magisterium z psychologii?

- A jakie to ma znaczenie? Przeniósłem się do L.A., bo zbierałem jakieś materiały. Wszystko mnie tu szokowało i wkurzało. Jestem z San Diego, tam się żyje zupełnie inaczej, ale nie w tym rzecz. Wynajmowałem jakąś klitkę z trzema innymi facetami. Paranoja - ale było tanio. I zacząłem pisać. Nie wyrabiałem się z płaceniem rachunków, więc złapałem tę pracę w kawiarni, żeby wiązać koniec z końcem. I przysięgam, że nigdy w życiu nie byłem szczęśliwszy.

- I to było to? - Poczwała ukłucie zazdrości. Wydawał się naprawdę szczęśliwy. - Znalazłeś to, co chcesz robić w życiu?

- Myślę, że w jakichś zakamarkach świadomości zawsze wiedziałem, co chcę robić. Nudziłem się potwornie, idąc niewłaściwą drogą, i wszystko mnie popychało do tego, żeby wrócić do pisania.

Usiadł i podrapał Sophie za uchem. Sara przysiadła na oparciu kanapy, obok niego - jak gdyby był instytucją religijną. Kimś z Pokolenia X, kto znalazł odpowiedź.

- Mnie nic nie popycha.

- Może dlatego, że się nie wsłuchujesz. Może powinnaś przestać szukać i pozwolić, żeby to coś znalazło ciebie.

- Jakbym słuchała proroka new age - fuknęła.

- Przepraszam. To taki nawyk.

Zasłoniła nogi jego ogromnym workowatym T-shirtem - to dlatego Kit wyglądał często jak łachmaniarz.

- No dobrze. Myślisz, że kiedyś ci coś wydadzą?

- Już wydali. - Znów się zaśmiał.

- Naprawdę? - Miała ochotę go uścisnąć, ale uczucie radości natychmiast przytłumiła zazdrość. - Mogłam to czytać?

- Chyba nie. - Wskazał regał w kącie pokoju. - Na najniższej półce są moje książki. Na razie tylko trzy, ale...

Podbiegła tam i przeczyła tytuły. Dwie książki wyglądały na powieści science fiction, trzecia była w twardej oprawie - „Szaman w cadillacu”.

- Ta jest ostatnia. - W jego głosie brzmiała i duma, i zakłopotanie. - O czasach, kiedy studiowałem i kiedy przyjechałem po raz pierwszy do L.A.

- Mogę przeczytać?

- Jest twoja. - Podeszedł i zdjął książkę z półki.

- Naprawdę?

- Tak.

- Pewnie zarobiłeś na niej trochę forsy. Musisz dalej pracować w kawiarni?

- Zobaczymy... kiedy wpłyną następne tantiemy. Ale nie narzekam. Pracuję tylko na godziny, lubię właściciela... i to mi pozwala nie odrywać się od ziemi.

- Chciałabym mieć coś takiego. Coś, co kochałabym robić.

- Zacisnęła usta. - Myślę, że właśnie tego się boję - że niczego nie znajdę. - Spojrzała na książkę, ciężką, ważną. Owoc jakiejś pasji. - A jeśli będę czekała na coś... i nigdy się nie doczekam, co wtedy?

- Wtedy - powiedział łagodnie - będziesz przynajmniej wiedziała, że nie straciłaś życia na zamartwianie się tym.

- Wielkie dzień...

Pocałował ją.

Nie była na to... Okej, gdzieś w głębi świadomości była na to przygotowana. Ale nie spodziewała się, że będzie tak...

Najpierw były jego usta, łagodne, jakby niepewne. Nie



poruszyła się - ledwie oddychała. Ale po kilku minutach przysunął się i otulił dłońmi jej twarz.

Nie rozumiała, jak to się stało. Może w swoich niezdarnych poszukiwaniach silnych wrażeń seksualnych zapomniała, jak podniecający - i jak kojący - może być pocałunek. Ale on zrobił to tak, jak ogląda się w filmach, przypierając ją do najbliższej ściany i zatracając się bez reszty w namiętnym pocałunku. Zaciskała dłonie na jego plecach, a on buszował palcami w jej włosach nad karkiem, gładził od spodu jej pierś i, o mój Boże, nie uwierzyłaby, że może być tak cudownie... Nie pamiętała nawet, kiedy ostatnio czuła coś takiego.

To nie miłość, myślała na wpół przytomnie. To bardziej jak... heroina.

Zaczęła szarpać jego ubranie, mrużąc niecierpliwie, kiedy odsunął się, żeby mogła mu ściągnąć przez głowę koszulkę. W oczach miał uśmiech. Ciągnął ją dokądś - domyśliła się, że to sypialnia. Nie miała pojęcia, jak wygląda, ledwie zauważyła łóżko, na które opadła ciężko i pociągnęła go za sobą. Zaśmiała się, zdyszany, ona też. Potem ją rozebrał i następną rzeczą, którą zanotowała jej świadomość, było to, że są nadzy i całują się, wczepieni w siebie, jakby jedno dla drugiego było kołem ratunkowym.

Żaden inny mężczyzna, nigdy, nie poświęcił jej tyle uwagi w łóżku. Całował jej brzuch... Nie poskapił czułości płatkom uszu. Czuła się, jakby narkotyk z ostatniego wieczoru wciąż działał - wszystkie wrażenia były spotęgowane, ale tym razem w dobrym sensie. Odpowiadała pieszczotą na pieszczotę. Kiedy w końcu założył kondom, wciąż chichotała, wciąż się do niego tuliła. Przykrył ją swoim ciałem i znieruchomiał na chwilę, z uśmiechem, który mówił: Czy to nie jest wspaniałe?

Odwzajemniła uśmiech. Zamknęła oczy, kiedy w nią wszedł, powoli, właśnie tak, jak lubiła. Czy to nie jest piękne? - myślała, zgadzając się w duchu z jego niewypowiedzianym pytaniem. Seks, który sprawiał radość. To było naprawdę coś.

Zrobiło się późne popołudnie, kiedy zaczęła wygrzebywać się z łóżka. Spędzili w nim dobre cztery godziny - oczywiście nie tylko się kochali. Czasami rozmawiali, tak na luzie, o wszystkim i o niczym. Kit zdrzemnął się na chwilę, a ona go

obejmowała, wsłuchana w jego oddech, czując, że jest jej bliższy niż ktokolwiek w jej życiu.

Czuła się tak, jakby mieszkała tu od zawsze. Rozejrzała się. Inne plakaty. „Narieczona księcia”. „Bulwar Zachodzącego Słońca”. „The Doors”. Okno wychodziło na ulicę.

Westchnęła, przytulając się jeszcze na moment do poduszki. Może by wyszli na kolację... Nie wiedziała, czy Kit dziś pracuje w kawiarni, ale czuła, że to nie koniec dobrego. To było... Uśmiechnęła się. „Niesamowite” nie było właściwym słowem. To było uczucie fenomenalne - i bardzo, bardzo, bardzo przyjemne.

Dlatego kompletnie ją zaskoczył, kiedy wyszedł z łazienki w czapce baseballowej, w T-shircie i wytartych dżinsach. Włożył już nawet buty.

- Muszę iść - powiedział bez żadnych wyjaśnień.

Zamrugała i jak każda zbita z tropu bohaterka filmowa podciągnęła prześcieradło, jakby to miało ocalić jej godność.

- Okej - odparła, nie chcąc spytać: „w tej chwili?” i zabrnąć do końca w banał.

Kiwnął głową, chwytając ze stolika psią smycz. I ruszył do drzwi.

- Kit! - wrzasnęła, nie będąc w stanie się pohamować.

Zatrzymał się i odwrócił.

- Czy mam... Spotkamy się później? - Cholera. Znów wyświechtana odzywka.

- Chyba tak. - Wzruszył ramionami. - Zdaje się, że Taylor ma jakieś plany.

Patrzyła na niego, czekając na wyjaśnienie, ale nie doczekała się. Wyskoczyła z łóżka.

- Zaczekaj chwilę. Ubiorę się tylko i wychodzę.

Zmarszczył brwi. Nareszcie jakiś ślad emocji.

- Nie musisz.

- Owszem, muszę. Chyba że podasz mi jakiś powód, dla którego miałabym zostać.

- Tak...? - Gapił się teraz na nią, zdezorientowany. Zerknął na ścianę z ironicznym uśmieszkiem. - O czwartej jest „Laboratorium Dextera”.

Prychnęła i zgarnęła z podłogi ubrania.

- Co jest grane, Saro? - Stał przed nią i uniośł palcem jej

podbródek. Żeby się chociaż tak nie uśmiechał... - Dobrze się bawiłaś? Przecież o to głównie chodzi, prawda?

Jakby dostała policzek. Bolesny policzek. Ubrała się z wy-studiowanym spokojem. Włożyła buty i spojrzała mu w oczy.

- Świetnie się bawiłam. Dzięki. Zadzwoń do ciebie, jak znów przyjdzie mi ochota się zabawić.

- Saro, myślę, że robisz błąd.

- Kochasz mnie? - spytała obcesowo.

- Ja... nie zastanawiałem się nad tym - powiedział wolno.

- No to już popełniłam błąd. - Odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi.

- Akceptuję cię! - zawołał za nią z przedpokoju. - Czy to na razie nie wystarczy?

- Nie chcę żadnego „na razie”! - odkrzyknęła, zawieszając na ramieniu torebkę. - I nie chcę ciebie!

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

*Unhappy Girl /dance remix /  
(Nieszczęśliwa dziewczyna /dance remix/)*

- Papierosa? - spytał Taylor, kiedy Martika wsiadła do samochodu.

- Nie, dzięki. - Odsunęła szybę, wystawiając twarz na podmuch świeżego powietrza.

Denerwowała się. Był jej najlepszym przyjacielem, znali się jak łyse konie, a jednak nie miała bladego pojęcia, jak Taylor przyjmie tę nowinę.

- Jak leci? Założę się, że polubisz Artura. On jest pyszny! Taki zabawny! I on polubi ciebie.

- Jesteś pewny? - spytała słabym głosem, wciąż myśląc o rozmowie z matką.

- Jasne. Lepiej, żeby cię polubił. Jak nie, to pakuje manatki.

- Mówisz poważnie...?

- Słonko, znasz mnie. Z kim normalny człowiek chciałby się zestarzeć? Z najlepszym przyjacielem czy z jakąś fantastyczną dupą?

- I za to cię kocham.

- Ha. - Puścił do niej oko. - A ja myślałem, że za...

- Chcę mieć to dziecko.

- Słucham?

- Postanowiłam urodzić to dziecko.

Zapadła cisza. Martika zakryła dłońmi twarz i miała wrażenie, że cała zapada się w fotel. Nie dlatego żeby myślała, że to zła decyzja. Inna już nie wchodziła w grę.

- Rozumiem. - Jakby stracił mowę, co do Taylora było zupełnie niepodobne.

- Myślisz, że to głupi pomysł, co?

Nie odpowiedział. Prowadził, patrząc przed siebie.

- Myślę, że będę wybitną matką.

- Dlatego to robisz? - spytał głosem bez wyrazu.

- Mam tysiąc dobrych powodów, żeby to zrobić. - Wzięła głęboki oddech. - Wiem, że tobie wydaje się to głupie, ale... chodzi o to... Mam tysiąc powodów, żeby tak postąpić. Tysiąc.

- Wymień jeden, Martika.

- Dobrze - powiedziała ostrym tonem i zamilkła.

Bo zawsze chciałam być matką. Nie, żałosne.

Bo nie mogłam sobie wyobrazić, że je stracę. Bo w końcu mam szansę kogoś kochać, nie przejmując się, co o mnie myślą. Bo w końcu jest ktoś, kto może będzie kochał mnie. Bo bez tego dziecka reszta mojego życia nie miałaby sensu.

- Bo tu nie chodzi o mnie - powiedziała łagodnie. - Tym razem chodzi tylko o nią.

Przyjął to ze spokojem i, ku jej zdumieniu, zjechał na bok i zgasił silnik.

- Tego rodzaju wiadomość zasługuje na przyzwoity uścisk.

- Uśmiechnął się i wyciągnął do Martiki ramiona.

- Wiesz, że będziesz jej chrzestnym ojcem.

- Spróbowałabyś wybrać kogoś innego.

Dwa dni później Sara siedziała w dużej księgarni „Barnes & Noble”, wciśnięta w zielono-białą kanapę, jakby chciała zniknąć z tego świata. Martika dała nogę, prawdopodobnie spała u Taylora albo pracowała nad wmeldowaniem się do nowego kochanka. Sara zadzwoniła do „Temps Fugit”, ale jakoś zniesmaczała ją myśl o pracy już w tym tygodniu - zwłaszcza gdyby próbowali ją wysłać z powrotem do biura Jeremy'ego. I nie rozmawiała dotąd z Kitem...

Nie. Nie zamierzała nawet myśleć o tym idiotyzmie. Z ponurą miną sączyła kawę.

A więc znów w punkcie wyjścia. Bez współlokatorki, bez pieniędzy na opłacenie rachunków, żadnych widoków na przyzwoitą pracę. Przyjaciół tyle, co kot napłakał. Żadnego pieprzonego pomysłu na życie.

Zerknęła na książki, które zdjęła z półek. Nie chciała żadnej z nich, poza tym powinna dwa razy obejrzeć każdego centa, zanim go wyda.

Niedobrze, cholera.

- Sara?

Podniosła głowę. Wiele by dała, żeby to nie był głos Benjamina.

- Benjamin! Nie zauważyłam cię.

- Domyślam się. Wyglądasz... Co się dzieje, skarbie?

O, nie, daruj sobie! Uśmiechnęła się doskonale obojętnym, pogardliwym uśmiechem w stylu Martiki.

- Wszystko w porządku. Po prostu jestem zmęczona.

- Jak ci się układa ze współlokatorką?

- Bez zarzutu.

- A praca? Wciąż masz posadę u Peersona?

- Och, wciąż się rozglądam i rozważam różne opcje.

- A... w sprawach osobistych też się rozglądasz, czy wciąż jesteś z tym ostrym facetem z klubu?

- Jeremy jest jednym z wielu. Nie lubię być skrępowana.

- Więc dlaczego wyglądasz tak... - usiadł koło niej i zniżył głos - ...jakby cały pieprzony świat zawalił ci się na głowę? Nigdy nie umiałś kłamać, Saro. To jedna z rzeczy, za które cię ceniłem. Więc nie okłamuj mnie i teraz. Martwię się...

- Martwisz się, że potrafię obejść się bez twojej szacownej osoby i dobrze się bawić? Martwisz się, że może zainteresować się mną jakiś facet?

- Martwię się, bo wygląda na to, że trafiłaś w samobójczy kanał.

- Jak widzisz... mam się dobrze - powiedziała po chwili, kiedy doszła trochę do siebie.

- Widzę, że jesteś w dołku. Tęskniłem za tobą, Saro.

- Pocałuj mnie gdzieś.

- No, no - zaśmiał się. - Co to miasto z tobą zrobiło... Byłaś taką nieśmiałą, zacukaną biedulą, a teraz... potrafisz się postawić. Podoba mi się to, naprawdę.

- Mam to w nosie. - Próbowała odwrócić się do niego plecami, ale przytrzymał jej rękę.

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić. Chcę tylko powiedzieć, że bardzo za tobą tęsknię. Tworzyliśmy świetny tandem.

Spojrzała na niego. Szczeniaki nie mają tak smutnie proszących oczu.

- Pamiętasz... Kiedy byłem w szkole biznesu, a ty jeszcze w college'u, przepisywałaś dla mnie różne rzeczy.

Kiwnęła głową. Nie miała nic przeciwko temu - żai było patrzeć, jak wolno mu to szło.

- Albo jak gotowałaś dla mnie, kiedy miałem egzaminy końcowe?

- Próbujesz mi przypomnieć, jaką byłąm kretyką?

- Nie! Pomagałaś mi, a teraz ja chciałbym pomóc tobie.

- Coś takiego... - Skrzywiła się.

- Saro, chciałbym, żebyś do mnie wróciła.

- Okej. - Podniosła się. - Koniec pogawędki. - Ignorując karzące spojrzenia ludzi starających się skupić na lekturze, wymaszerowała do holu, ale zanim dotarła do ruchomych schodów, Benjamin ją zatrzymał.

- Proszę, wysłuchaj mnie.

- Po co? Jessica nie wystarcza ci do słuchania?

- Zerwałem z nią. Ona była taka up... Trudno to wytłumaczyć.

Po prostu nie była tobą. Siedziała i gapiła się na mnie tymi wielkimi krowimi oczami. W tobie jest więcej ognia, Saro. Ty zawsze miałaś jakieś pomysły. Brakuje mi tego, bardziej niż kiedykolwiek.

- Dlaczego?

- Chcę zmienić pracę. Wrócić na północ - powiedział rozgorączkowanym głosem. - Żadne z nas nie jest stworzone do życia w L.A. To miasto to kloaka.

- Ja się przyzwyczyłam.

- Nie powiesz mi, że nie wolałabyś wrócić. A te wszystkie rzeczy, o których rozmawialiśmy? Dzieci, dom w ładnym miejscu? Możesz mi uczciwie powiedzieć, że wyobrażasz sobie na dłuższą metę takie życie jak tutaj?

Nie odpowiedziała.

- A nasze plany, Saro? - Zniżył głos, prowadząc ją do kawiarnianego stolika, jak najdalej od tłumu. - Naprawdę przypuszczałaś, że sprawy w twoim życiu przybiorą taki obrót? Sama, bez pracy... i do tego kłopoty z utrzymaniem mieszkania. To jest to, co cię tutaj trzyma?

Zagryzła wargę. Potem spytała najspokojniejszym głosem, na jaki mogła się zdobyć:

- Więc co mi proponujesz? Szansę bycia blisko ciebie, gdzieś na prowincji w północnej Kalifornii? Szansę na czekanie, aż ty ułożysz sobie życie? Bez pracy, bez...

- Nie. Chciałbym, żeby twoje życie było łatwiejsze. Pomogłaś mi, pamiętasz? - Uraczył ją słonecznym uśmiechem. - Nie musiałybyś pracować. Nie musiałybyś nic robić. Żyłabyś ze mną. - Wziął głęboki oddech. - Wyjdź za mnie, Saro.

- Co?

- Wyjdź za mnie. - Ujął jej rękę, a ona była zbyt oszołomiona, żeby je wyrwać. - Wiem, że to nie brzmi romantycznie, ale jestem już spakowany i wkrótce wyjeżdżam. Postanowiłem wrócić do północnej Kalifornii i zacząć wszystko od nowa. Chciałem do ciebie zadzwonić. I kiedy cię tu zobaczyłem... może to banalne, ale myślę, że to był znak.

- Chcesz się ze mną ożenić? Tak po prostu?

- Najszybciej, jak to możliwe. Nie popełniam dwa razy tego samego błędu.

To spadło na nią tak nagle. No, może nie aż tak nagle - byli zaręczeni od lat, zanim...

Zaraz. Czy ja poważnie rozważam taką możliwość?

- Dlaczego miałabym to zrobić? - Cofnęła rękę, krzyżując je na piersi i patrząc na niego okiem inkwizytora. - Podaj mi chociaż jeden dobry powód.

Milczał, ważąc odpowiedź. W końcu przywołał na twarz wyzywający uśmiech.

- Saro, kocham cię i chcę się o ciebie troszczyć. Mogłabyś zacząć wszystko od nowa. Co masz do stracenia?

Zastanawiała się. Straciłam współlokatorkę, pracę, perspektywę, nadzieję, i teraz... zjawia się facet, który mówi, że mnie kocha i chce mi pomóc.

- Niezbyt dobry powód - powiedziała wreszcie, pozwalając mu się objąć, chociaż wciąż miała mętlik w głowie.

Kiedy zadzwonił telefon, Judith poderwała się z sercem bijącym jak werbel bojowy.

- Judith? Tu Sara.

- Sara. - Nie mogła wybrać lepszej pory! Otworzyła ze złością piecyk, nakłuwając widelcem pieczeń. - O co chodzi?

- Chyba zadzwoniłam nie w porę.



Słusznie, właśnie mam zamiar ujawnić mężowi szczegóły swojego cyberromansu.

- Robię kolację. Co... co u ciebie?

- W porządku. - Jej głos brzmiał dziwnie. - Chciałam cię, eee, na coś zaprosić.

- Ja... - Judith nie była w zbyt towarzyskim nastroju. - To nie jest najlepszy moment... Posłuchaj, mogę do ciebie zadzwonić w przyszłym tygodniu? Wybierzemy się na lunch i pogadamy, dobrze? - Była pewna, że do tego czasu będzie miała o czym.

- Tylko że... widzisz, to jest coś, czego nie mogę odłożyć.

- Ooo.

- W piątek wychodzę za mąż, w Las Vegas. Miałam nadzieję, że zostaniesz moją druhną.

- Wychodzisz za mąż? Za kogo?

- Za Benjamina.

- Co? Dlaczego?

- Bo on mnie kocha - odpowiedziała po chwili. - Bo on... Nie wiem. Jest sensowny.

- Kiedy to się wszystko wydarzyło?

- Tydzień temu i zdecydowaliśmy, że skoro byliśmy pięć lat zaręczeni... Chciałam zrobić to od razu.

- Od razu? - Judith ogarnął smutek ciężki jak ołów. - Bardzo romantycznie.

- To nie jest historia jak z romansu, Judith. Tu chodzi o... Nie wiem. To jest to, czego chciałam. On mnie kocha, troszczy się o mnie i będzie się troszczył.

- I tego właśnie chcesz? - spytała pogardliwym tonem. Potrząsnęłaby Sarą, gdyby przy niej była. - Chcesz się ustakować dla faceta, który się o ciebie zatroszczy?

- On mnie kocha. - Sara mówiła coraz bardziej szorstkim tonem. - Myślałam, że się ucieszysz. To przecież ty mi radziłaś, żebym dała mu drugą szansę.

- To było, zanim... To było kiedyś. Teraz wiem, że robisz błąd.

- Rozumiem, że nie będziesz moją druhną. W każdym razie przyjedź, jeśli będziesz mogła. Byłoby miło, gdybym miała przy sobie kogoś, kogo znam.

Sara wydawała się taka samotna - a cała ta sprawa wyglądała ponuro.

- Naprawdę powinnaś to głęboko przemyśleć. Do szczęścia trzeba czegoś więcej niż bezpieczeństwa i poczucia, że jesteś komuś potrzebna - do odfajkowania punktów na liście rzeczy do zrobienia. Potrzebna jest namiętność. Możesz mi wierzyć!

- Judith, ja naprawdę wiem, co robię - powiedziała z beznamiętym spokojem. - Ślub odbędzie się w „Excaliburze”, w piątek o piątej. Lecimy tam jutro wieczorem. Jeśli przyjedziesz, to dobrze. Jeśli nie, trudno. Zadzwoń do ciebie po powrocie.

- Saro. - Judith wykonała ostatnią rozpaczliwą próbę. - Nie rób tego!

- Pogadamy później. - Odwiesiła słuchawkę.

Nieszczęścia chodzą parami, pomyślała Judith. Nie mogła zająć się kłopotami Sary, kiedy miała aż tyle własnych. Zamyślona, nagle zdała sobie sprawę, że wołowina w piecyku zaczyna niebezpiecznie dymić. Cisnąwszy na blat telefon, wyjęła pieczeń, ratując ją w ostatniej chwili.

- Judith?! - zawołał David z jadalni. - Coś bardzo dobrze pachnie. Kolacja gotowa?

- Prawie. - Dodatki były już na stole, musiała podać tylko główne danie.

- Fantastyczny stek - pochwalił David, gdy zaczęli jeść. - Gdzie kupiłaś mięso?

- Otworzyli nowy sklep, taką prawdziwą jatkę, niedaleko Santa Monica - odpowiedziała, machinalnie nabierając porcję jedzenia na widelec.

- Pyszne. Wiesz, myślałem o zaproszeniu na grilla Hendersona....

- David, ja mam romans.

- Czy oni sprzedają tam żeberka? - mruknął nad talerzem.

- Powiedziałam, że mam romans.

- Przepraszam. - Jego nóż brzęknął o talerz. - Powiedziałaś, że masz romans? - Wydawało się, że przetrawia jednocześnie mięso i tę nowinę. - To ktoś, kogo znam?

- Nie. - Połknęła z trudnością kawałek ziemniaka. - Ktoś, kogo ja też nie znam.

- O czym ty, do diabła, mówisz? Zrobiłaś skok w bok z jakimś nieznanym?

- Nie. Poznałam go w Internecie.  
Zamrugał... i zaczął się śmiać.
- Coraz ciekawiej. Jak długo to trwa?
- Piszemy do siebie od czterech miesięcy.
- Judith... czy wy się spotkaliście?
- Wczoraj.-Wzięła głęboki, uspokajający oddech.-Wczoraj się w końcu spotkaliśmy.
- Więc przespałaś się z nim tylko raz.
- Nie, właściwie nigdy ze sobą nie spaliśmy.
- Więc gdzie tu jest romans?
- Czy ty nie rozumiesz? Rozmawiałam codziennie z tym mężczyzną i... zaczęło mi się wydawać, że bardzo mi na nim zależy.
- A już ci nie zależy?
- No więc... Powiedzmy, że kiedy się z nim spotkałam... wyobrażałam go sobie inaczej.
- Rozumiem. - Uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją.
- Paskudny? Łysiejący? Obłeśnie gruby?
- Milczała. Lepiej niech tak myśli. Łatwiej mu będzie ocalić swoją dumę.
- A co ją obchodzi jego duma? Czy niewystarczająco o nią dbała przez wszystkie te lata?
- Łatwiej będzie ocalić moją własną dumę.
- Rzecz w tym, że to my mamy problemy. Ja i ty. Myślę... zastanawiam się, czy nie powinniśmy pójść do terapeuty.
- Po co? Judith, przecież wiesz, że nie mam na to czasu. Wiesz, jak blisko jestem tego, żeby zostać partnerem kancelarii? Jak długo na to pracowałem?
- Wiem - odburknęła. - Czy nie robię wszystkiego, żeby cię wesprzeć?
- Och, proszę cię. Zejdź z krzyża, ktoś potrzebuje drewna. \*
- Wstał i zaczął krążyć wokół stołu, jak gdyby zwracał się do ławy przysięgłych. - Judith, myślę, że nasz problem jest klasyczny. Uważasz po prostu, że powinienem poświęcać ci więcej uwagi. Przecież wiedziałaś, jak to będzie, kiedy poszed-

\* „Zejdź z krzyża, ktoś potrzebuje drewna” - odniesienie do tytułu albumu grupy Firewater („GettOff The Cross... We Need The Wood For The Fire”).

łem na prawo, i wiesz to teraz - nie zmieniłem się ani trochę. Nie znajdę czasu na to, żeby obsypywać cię różami za każdym razem, kiedy poczujesz się zaniedbywana. Oboje jesteśmy dorośli, prawda?

- Może będziesz jeszcze bardziej protekcyjny?

- Może będziesz jeszcze bardziej nierozsądna? - Pokręcił głową. - Cyberromans! Wiesz, jak żałośnie to brzmi? - Posłał jej ponury uśmiešek. - Gdybyś była żoną kogoś innego, skichałbym się ze śmiechu.

- Cóż, nie jestem żoną kogoś innego, prawda?

Dlaczego sobie ubzdurała, że to dobry pomysł? Bo była nieszczęśliwa. To proste.

Czy naprawdę sądziła, że on się zmieni? Że przejrzy na oczy, kiedy mu o tym powie? Na ile dała się psychicznie wmanipulować w ten chory układ? W czasach Oprah, Ricky'ego... i Jerry'ego Springera. Powinna była mieć więcej rozumu!

- Naprawdę, wierz mi, nie mam na to czasu - powiedział. - Jeśli chcesz kwiatów, przyślę ci kwiaty, ale zastanów się!

Wycofał się do swojego gabinetu, mrużąc pod nosem coś pogardliwego o cyberromansach. Odprowadziła go wzrokiem, potem automatycznie, jak w hipnozie, zaczęła sprzątać ze stołu.

Co jeszcze mogę zrobić? Odejść. I co bym tym osiągnęła? Zmartwiła swoją rodzinę? Zraniła Davida?

Miał rację, to nie była właściwa pora. Mogła poczekać, aż zostanie partnerem. Wtedy będzie zbyt zajęty, żeby nawet zauważyć, że odeszła.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

### *Ship of Fools (Statek szaleńców)*

Następna praca tymczasowa. Inny odcień szarości, takie same boksy. Dzięki Bogu ta praca była łatwa - Sara miała wrażenie, że prezentacje w Powerpointcie mogłaby robić przez sen. Choć w czasach agencji reklamowej już wtedy robiła to jakby przez sen. Wszystko wydawało się takie odległe.

Ślub. Wychodzi za męż... za Benjamina. Ile w tym było szaleństwa?

Gdyby wpadła Martika, mogłaby jej o tym powiedzieć... ale może lepiej nie. Matce Kwoce nie spodobałoby się, że jedna z jej podopiecznych odfruwa, żeby poślubić „wroga” i ułożyć sobie jakoś życie. Nawet dobrze, że zdecydowali się na cichy ślub w Las Vegas. Zupełnie nie wyobrażała sobie na nim własnej matki. Ojcu też by się to nie spodobało, ale przypuszczała, że zaakceptuje Benjamina.

Próbowała skoncentrować się na pracy. Wkleiła do slajdu obrazek, potem wpisała tekst.

A jednak miło byłoby mieć przy sobie kogoś znajomego. Pomyślała o Kicie i natychmiast odrzuciła ten pomysł. Nikomu nie wspomniała o dniu spędzonym z Kitem, zwłaszcza Benjaminowi.

- Jak ci idzie?

Sara zerknęła na mężczyznę, który mierzył ją zniecierpliwionym wzrokiem.

- Prezentacja prawie gotowa.

- Żartujesz? Było tego osiemdziesiąt stron.

- Trochę je ożywiłam. - Z obojętną miną wskazała ekran.

Nie wyglądał na zadowolonego. Po zgryźliwej Becky i chaotycznym Richardzie nic jej już nie wzruszało. Na pewno nie jakiś despotyczny palant, który nie miał wystarczająco wysokiej pozycji, żeby pomiatać kimś innym niż wynajętym „czasownikiem”.

- W piątek może być potrzebna jakaś korekta - powiedział, byle coś powiedzieć.

- Nie będę mogła przyjść w ten piątek.

- To jest zlecenie długoterminowe! - Jakby tylko czekał na to, by ją zbesztać. - Powinnaś być...

- Uprzedziłam agencję... - przerwała mu, podnosząc rękę - że w piątek biorę ślub. Przyjęli to do wiadomości. Poza tym niedługo wyjeżdżam - mam podpisaną umowę tylko do końca miesiąca. Jeżeli to stwarza jakiś problem, możecie wynająć kogoś innego.

Poruszał ustami jak ryba.

- Ona ma rację.

Spojrzała na kobietę, która przyłączyła się do rozmowy. W czerwonym kombinezonie, z ciemnymi włosami obciętymi na psotną chłopczycę wyglądała jak futurystyczna wróżka.

- Jej agencja próbowała się skontaktować z tobą, Bob. O której przyszedłeś do pracy?

- Ja... byłem na czwartym piętrze... Załatwiałem coś w ekspedycji...

Kobieta zignorowała jego bełkot i podeszła do Sary.

- Erika Ross. - Uścisnęła jej rękę. - Jestem dyrektorem tego działu.

- Sara Walker. Miło mi.

Pani dyrektor uśmiechnęła się i zaczęła przeglądać slajdy.

- Dobra robota. To jest coś, co mam zaprezentować w poniedziałek. Prawdę mówiąc, nie wierzyłam, że zrobisz to w jeden dzień.

- Nie miałam z tym żadnego kłopotu. - Sara wzruszyła ramionami.

- Podobasz mi się, Saro. Nie szukasz przypadkiem stałego zajęcia?

Sara poczuła wzbierającą... radość? Podniecenie? I nagle wszystko to wyparowało.

- Raczej nie.
  - Dlaczego? Zapewniamy konkurencyjną płacę i znakomite perspektywy. Poszukuję utalentowanych pracowników. - Posłała szybkie, karcące spojrzenie blademu jak ściana Bobowi.
  - Wkrótce zwolni się kilka stanowisk.
  - Ja... Mój mąż ma dostać pracę w północnej Kalifornii.
  - Urwała. - Poza tym odpowiada mi wolność, którą mam teraz.
  - Rozumiem. - Uśmiech kobiety jakby się wyostrzył. - W każdym razie naprawdę chcielibyśmy cię zatrzymać. Potrzebuję kogoś, kto nie nadskakuje zwierzchnikom, ale jest zainteresowany czymś więcej niż własnym tyłkiem. Gdyby twój mąż zdecydował się zostać, a ty szukałabyś pracy, zgłoś się do mnie.
- Uśmiech Sary był niezobowiązujący, ale w głowie miała chaos. Więc to tak? Nie starała się przypodobać, dobrze wykonała swoje zadanie, spławiła faceta, który próbował ją pomiać... i nagle proponują jej stałą pracę?
- Dziękuję - powiedziała, kompletnie zdezorientowana.
  - Tak zrobię.

Judith czuła, że serce jej wali, jakby była na amfetaminie. Z walizką na kółkach czekała na klatce schodowej kamienicy, w której mieszkała Sara. Miała zapas ubrań na dwa tygodnie, wszystkie swoje kosmetyki, a w służbowej teczce potrzebne papiery i dokumenty. Nawet gdyby musiała koczować na kanapie Sary, nawet gdyby musiała dzielić łazienkę z tą... - jak Sara ją nazywała? królową Amazonek? - nie zmieni zdania. W którymś momencie David zda sobie sprawę, że odeszła.

Może powinna była zostawić list.

Drzwi staromodnej windy otworzyły się i weszła do środka. Może nagrać mu wiadomość. Wątpiła, czy przeczytałby list. Tak czy inaczej, był dzisiaj cały dzień w biurze.

Podeszła do drzwi i usłyszała podniesiony, jadowity głos, który musiał należeć do Amazonki.

- Musisz się tam dostać!!

Judith zapukała kilka razy. W końcu drzwi otworzyły się z hukiem.

- Sara?

Judith zamrugała. Martika, ze zwichrzoną szopą rudych

loków, wyglądała jak... co to był za film? „Firestarter”. Albo jak kapłanka wudu. Trzymała przy uchu telefon komórkowy.

- Yyy, cześć - powiedziała Judith, na co Martika machnęła niecierpliwie ręką.

- Sara odzywała się do ciebie?

- Nie...

- Niech to szlag! - Martika wróciła do salonu, zostawiając otwarte drzwi. Judith wciągnęła do środka walizkę. - Taylor, dosyć tego. Jedziemy do Las Vegas. - Urwała. - Wiem, że tam są tysiące pieprzonych kaplic ślubnych, ale znajdziemy ją. Nie wiem! Wynajmij detektywa, nie wiem!

- Przyszłam nie w porę? - zapytała Judith, a Martika jakby dopiero teraz zauważyła jej obecność.

- Sara zostawiła mi list z informacją, że muszę się stąd wynieść w diabły przed wygaśnięciem umowy, bo ona wychodzi za mąż... za tego patałacha, eks-narzeczonego. Czarno to widzę, a ty?

- Ona... - Judith opadła szczęką. - Chyba tego nie zrobi, co? Myślałam, że skończy się na gadaniu!

- Zaraz, zaraz... Mówiła ci, że chce wyjść za mąż?! - Oczy Martiki zabłyśły jak pochodnie. - Taylor, poczekaj jeszcze chwilę. Zdaje się, że Judith wie, co jest grane. Tak, ta sama.

- Przycisnęła telefon do piersi. - Kiedy z nią rozmawiałeś?

- Kilka dni temu. Spytała, czy pojedę na jej ślub do Las Vegas. Myślałam, że to żart - w każdym razie byłam pewna, że się opamięta.

- Teraz to już nie brzmi jak żart, co? Powiedziała ci, gdzie bierze ten ślub?

- W hotelu przypominającym średniowieczny zamek... „Excalibur”.

- Powiedziała tobie, a mnie nie? - Martika nie kryła, jak bardzo czuje się urażona.

- Chciała... - Uznała nagle, że przyzwoiciej będzie nie wspominać, że Sara poprosiła ją, żeby została pierwszą druhną.

- Chciała, żebym tam była. Pewnie myślała, że lepiej ją zrozumie.

- Więc dlaczego nie pojechałaś?

- Niestety, nie rozegrałam tego najlepiej. - Judith wbiła wzrok w dywan. - Ostatnie tygodnie były dla mnie bardzo



trudne. Miałam własne problemy domowe i... prawie jej nie słuchałam, kiedy zadzwoniła. A potem na nią nawrzeszczałam.

Martika z błyskiem w oku zerknęła na jej walizkę, a potem na lewą dłoń... bez obrączki.

- Rozumiem. - Zdobyła się na elegancko wyrozumiałe spojrzenie, zupełnie do niej niepodobne. - No cóż... A nie wiesz przypadkiem, kiedy ma się odbyć ten ślub?

- W piątek po południu. To chyba jutro?

- Taylor? Słyszałeś? Nie? Jutro w „Excaliburze”. Taylor, nie chrzań! Myślę, że tandetny gust jest teraz najmniejszym z jej problemów!

Nagle Martika zatoczyła się do najbliższego krzesła.

- Hej! - Judith zdążyła ją podtrzymać. - Co ci jest?

- Normalka, lekkie poranne mdłości - mruknęła, zaciskając zęby. - Cholera, nie ma na to czasu. - Sapnęła i podniosła do ucha telefon. - Taylor, skarbie, wszystko w porządku. Ruszamy w drogę. Pakuj się. Cześć.

- Jesteś pewna, że powinnaś podróżować... w twoim stanie?

- Judith spytała surowym głosem, popatrując na jej lekko zaokrąglony brzuch. - Przez sekundę byłaś błada jak ściana.

- Zdarza się, to pierwszy trymestr. Chłopcy będą mnie ubezpieczać. Nie będę tylko w stanie prowadzić. - Wstała i ruszyła do sypialni.

- Dokąd idziesz?

- Spakować się.

- Ale to naprawdę nierozsądne! Zresztą Sara **nawet nie chce** cię... - Judith ugryzła się w język.

- W porządku. Wiem, że nie chce mnie tam widzieć. Jedziemy, żeby ją powstrzymać.

- Powstrzymać? To znaczy... chcecie nie dopuścić do ślubu?

- Właśnie. Taki mamy plan! - zawołała z sypialni, upychając byle jak rzeczy do swojego worka marynarskiego.

- Ale...?

Martika przerwała na chwilę pakowanie, spojrzała na Judith, a potem kiwnęła wymownie na jej walizkę.

- Chcę, żeby jeszcze raz głęboko to przemyślała. On jest zwykłym dupkiem, ale jeśli ona naprawdę tego chce... Zobaczmy. Myślę, że robi to dla wygody, mylnie pojętej, ale w końcu to ja mogę się mylić.

Judith zamyśliła się. Wygoda. Obowiązek. Wybór drogi.

Po co ona, do licha, wyszła za Davida?

I co by zrobiła, gdyby przyjaciele, którzy się o nią troszczyli, zapytali, czy naprawdę wie, w co się pakuje, wychodząc za świeżo upieczzonego absolwenta prawa?

Spojrzała na swoją walizkę i podeszła do otwartych drzwi sypialni Martiki.

- Jadę z wami.

Martika zrobiła wielkie oczy - a potem się uśmiechnęła.

- Fajnie. Prowadzisz pierwsza.

Więc tak wyglądało Las Vegas. Sara była tu tylko raz w życiu, kiedy jeszcze jej rodzice byli małżeństwem. Właściwie mogłoby to być równie dobrze Reno.

W każdym razie było rozświetlone, ekscytujące... doskonałe miejsce na rozpoczęcie jej życia małżeńskiego. Martika byłaby dumna...

Nie, Martika nie byłaby dumna, ale, do diabła, pasowała do Las Vegas jak ulał. Jaskrawa kiczowatość, życie nocne. Zalegalizowana prostytutka, podpowiedział złośliwy wewnętrzny głos. Zignorowała go. Chciałaby, żeby Martika mogła tu przyjechać. Albo Judith. Ktokolwiek.

Jest dobrze, pełnia szczęścia. Przecież właśnie tego chciała. Przeniosą się razem do północnej Kalifornii. Żadnych współlokatorek. Koniec z idiotyczną pracą. Z powrotem wychodzi na prostą. Ma jakiś cel w życiu.

Zameldowali się w hotelu.

- Mam ochotę połączyć po mieście. Kilka kroków dalej jest „Luxor”, zawsze chciałam go zobaczyć.

- Tę piramidę? - Spojrzał na nią krzywo.

- Tak! Mają tam klub taneczny. Nic specjalnego, ale podobno jest zabawnie, moglibyśmy się trochę wyszaleć. Co ty na to?

- No wiesz, miałem nadzieję, że spędzimy wieczór w pokoju, zrelaksujemy się... To był dla mnie piekielny tydzień.

- Pogładził ją po karku. - Jutro przed południem będziemy musieli załatwić wszystkie sprawy. A może pójdziemy na basen?

Nienawidziła pływania i naprawdę czuła, że musi się odprężyć.

- To może wpadniemy do kasyna i trochę pogramy?
- Czy ja wiem...? - mruknął z niechęcią.
- Okej, to może ja pójdę pograć? - Usłyszała impertynencką nutę w swoim głosie i uśmiechnęła się.
- Nie sądzisz chyba, że będziesz włożyła się po Las Vegas beze mnie?
- A co w tym złego? Zwiedzałam gorsze rewiry L.A., sama.
- I masz szczęście, że jeszcze żyjesz - burknął. - Dlaczego nie możemy trochę poleniuchować?

Bo to nudne! Pohamowała się. Była po prostu spięta. Receptą na to byłoby kilka godzin w „Oval” albo „Pointless Party”. Fakt, że na dłuższą metę i to nie pomagało. Może rzeczywiście potrzebowała odpoczynku, pomyślała, kiedy błyskające światła maszyn do gry zniknęły za drzwiami windy. Westchnęła z rezygnacją.

- Więc kiedy ostatecznie się zwalniasz?
- W poniedziałek. To da nam dość czasu na spakowanie manatków. Pomyślałem, że na początku moglibyśmy mieszkać u twojej matki. Dopóki nie znajdę nowej pracy.
- Co? - Rzuciła mu przerażone spojrzenie. - Ty chyba żartujesz?
- Oczywiście. - Objął ją i pocałował w czubek głowy. - Nie rozumiem twojego oburzenia, ale nic na siłę.
- Przepraszam. Mam naprawdę zszarpane nerwy.
- Rozumiem. Obojgu nam było ciężko, ale to się zmieni, wierz mi. Koniec z tą paranoją, wreszcie urządzimy sobie normalne życie. Dom, gromadka dzieci, od czasu do czasu kino, normalny krąg znajomych...

Z niepokojem słuchała, jak będzie wyglądało ich idylliczne życie. Nie była pewna, czy chce mieć już dzieci. W końcu miała dopiero dwadzieścia pięć lat... nie musiała się spieszyć. Ale on też nie zamierzał chyba testować swojej płodności tuż po wymianie obrączek...

- Może byśmy częściej wychodzili z domu - dodała.
- Wiesz, na kolację, gdzieś potańczyć.
- Mógłbym najwyżej patrzeć, jak ty tańczysz - powiedział ze śmiechem. - Wiesz, że nie znoszę tych rzeczy. A kolacje - tego nam nie zabraknie, kochanie. Wiesz, czym się zajmowałem. W mojej pracy to normalka.

Zagryzła wargę. O tak, pamiętała, jak najlepsze jedzenie stawało jej w gardle, kiedy jakiś stary przyk wgapiał się w nią i pytał, czym się zajmuje - „poza tym, że jesteś lepszą połową Benjamina! Cha cha!”

- Wiesz co? Mam ochotę zajrzeć do barku - powiedziała, kiedy Benjamin otworzył wreszcie drzwi.

- W takich miejscach można zbankrutować. - Spojrzał na nią z naganą.

- W porządku. - Utrzymała uśmiech na twarzy. - Ja stawię.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

### *Five To One (Pięć do jednego)*

- Gdzie ona, do diabła, jest?

Martika prowadziła szarżę, Taylor, jego nowy chłopak Arthur i Kit zabezpieczali tyły. Judith prowadziła rozpoznanie w punkcie informacyjnym, podczas gdy Martika wrzeszczała: „Sara! Sara!”

- Przestań. - Judith wróciła do nich pędem. - Wiem, gdzie oni są. W „Rycerskiej Grocie” - udzielają tam cichych, prywatnych ślubów. Kobieta z recepcji powiedziała, że można tam zajrzeć przez okno, i dała mi mapę.

Cała piątka pochyliła się nad czarno-białą fotokopią. Martika zmarszczyła czoło.

- Cholera! Na którym to jest piętrze, pierwszym czy drugim?

- Założę się, że na pierwszym - mruknęła ponuro Judith - ale trudno będzie tam wejść, wpuszczają tylko zaproszonych gości.

- Myślę, że na drugim - sprzeciwił się Taylor, a Arthur lojalnie przytaknął.

- Dobra - sapnęła Martika, patrząc na zegarek. - Ja z Judith sprawdzimy pierwsze piętro, a chłopcy drugie, i tak czy inaczej spróbujemy się tam dostać. Każdy sposób jest dobry, żeby im przeszkodzić. Rozumiecie? Do roboty!

Chłopcy odeszli, a ona złapała za rękę Judith. Nie wolno dopuścić do ślubu. Co to dziecko wymyśliło?

Po pięciu minutach gorączkowych poszukiwań znalazły w końcu wejście do kaplicy. Martika szarpnęła za klamkę.

- Zamknięte!

Usłyszała, jak rozbrzmiały organy - elektroniczna tandeta, pomyślała z bezsilną rozpaczą.

- Otworzyć! - Judith zaczęła walić w drzwi.

- Jakiś problem, drogie panie? - Podeszedł do nich zwalisty ochroniarz.

- Tak - odpowiedziała Martika. - Tam jest moja przyjaciółka! Wychodzi za kompletnego dupka! Muszę zaprotestować. Nie wiem, cholera, jak to się oficjalnie nazywa, ale mam powód, żeby nie dopuścić do tego ślubu. Muszę tam natychmiast wejść!

- Przykro mi, ale to prywatna ceremonia - powiedziała bez cienia żalu w głosie. - Pod żadnym pozorem nie mamy prawa jej zakłócać. Poza tym musimy dbać o reputację.

- Reputację? - Jak gdybym była jakimś śmieciem! Rozwścieczyła ją sama ta myśl. - Posłuchaj, ty mule, albo mnie wpuścisz, albo wyrwę z zawiasów te pieprzone drzwi...

- Chwileczkę. - Judith odezwała się lodowatym, ostrym głosem. - Jestem Judith Anderson, a panna młoda jest moją klientką - ściślej mówiąc, jej rodzice są moimi klientami. Mam powody przypuszczać, że panna młoda jest nieletnia, dlatego muszę to wyjaśnić i sprawdzić jej dokumenty, które są niewątpliwie sfałszowane. Pański hotel, pozwalając na ten ślub, odpowiadałby za współudział w oszustwie.

Mężczyzna wyraźnie się zawahał.

- Wyglądała młodo, nie powiem...

- Właśnie. Ten ślub należy natychmiast przerwać.

Martika nie odrywała od niej oczu. Tej kobiecie nawet nie drgnęła powieka. Sprawiała wrażenie, jakby rozmawiała o golfie. Wygląda na to, że będę musiała zmienić o niej zdanie, pomyślała z wymuszonym podziwem. Zwłaszcza jeśli naprawdę coś wskóra.

- Czy ma pani jakieś papiery... - Mężczyzna był zdenerwowany. - Coś, co by potwierdzało pani słowa?

- Nie. - Zmroziła go wzrokiem. - To pan przedstawi mi jakieś dokumenty. Może powinien pan sprowadzić osobę odpowiedzialną za śluby. I może swojego zwierzchnika.

- Zaraz... - Odszedł na bok i zaczął z kimś rozmawiać przez walkie-talkie. - Hej, nie wiecie, gdzie jest Michele? Mam tu problem ze ślubem, w „Rycerskiej Grocie”. Małolata. Jakieś...

fałszerstwo czy coś. Mówię ci, że jest problem! - Ochroniarz spojrział na nie przeprasząc. - Za minutę ktoś tu przyjdzie. Proszę się nie denerwować. Proszę tu spokojnie czekać.

Martika wpatrywała się w drzwi.

- Mamy pięć, może dziesięć minut - powiedziała trzeźwo Judith, również patrząc na drzwi. - Jak my się tam dostaniemy?

- Znajdź faceta z obsługi technicznej. Przekupimy go. Może powinniśmy spróbować przekupić ochroniarza - ale oni lepiej zarabiają.

Nagle usłyszały hałas. Coś dziwnego, co przebijało się przez zawrośnięcie organów.

- Słyszysz? - spytała Martika.

- Cholera, co to może być?

- Zebraliśmy się tutaj...

Sara czuła, jak poci jej się dłoń, w której ścisnęła bukiet. Nawet nie wiedziała, co to za kwiaty. Goździki, te znała. I róże. Dużo bieli. Miała na sobie białą prostą suknię i wianek z białych kwiatów na głowie.

Benjamin ubrał się w ten swój okropny kremowy garnitur. Lubił go, zresztą w białej koszuli z niebieską muszką wyglądał całkiem dobrze. Spoglądał na Sarę i uśmiechał się. Oprawa była romantyczna - kwiaty, świece. Dobrze, że nie założył kostiumu, który mu proponowali. Gdyby zobaczyła go w kolczudze, chyba by się załamała.

Sara starała się zapanować nad oddechem. Wszystko będzie dobrze, mówiła sobie. Nareszcie robi to, co należy. To była jakaś droga. To był cel. A strach, który czuła, i zdenerwowanie były w takiej sytuacji normalne. Była pewna, że to minie. Lada moment.

Zacisnęła zęby. Wynajęty przez nich człowiek, w typie „sędzia pokoju”, przemawiał, jakby poza nimi dwojgiem byli tam jeszcze inni ludzie. Dalej, dalej... W końcu zwrócił się do Benjamin.

- Benjaminie Bradford, czy bierzesz tę kobietę...

Zajrzała Benjaminowi w oczy. Ani cienia wahania. Wyglądał, jakby... czuł wielką ulgę.

- Tak, biorę - powiedział czystym głosem.

Mężczyzna spojrział na nią.

- Saro Walker, czy bierzesz tego mężczyznę, Benjamin, za męża? - Patrzył na nią wyczekująco. Obaj czekali.

- Ja... - Urwała.

Musiąta zamilknąć na dłuższą chwilę. Mistrz ceremonii dalej czekał z uprzejmą miną, ale Benjamin zaczął wyglądać na zirytowanego. Spróbowała jeszcze raz.

- Ja...

Może potrzebowała wody? Dlaczego w takich miejscach jak to nie mieli wody? Wszyscy publiczni mówcy mają przed sobą dzbanek z wodą...

- Saro? - Głos Benjamin był szorstki. Więcej niż szorstki. Władczy.

Wzięta głęboki oddech i spojrzała mu w oczy.

- Za żadne skarby.

Urzędnik zaśmiał się nerwowo.

- Och, dzieci, dzieci...

- Saro, to nie są żarty.

Skrzywiła się. Nic by z tego nie wyszło. Kiedyś była pewna, że tego właśnie chciała, ale to nie mogło się udać. Nagle usłyszała głośne walenie. Rozejrzała się dookoła, nie mając pewności, skąd ono dobiega.

- No więc? - Sędzia zdawał się niecierpliwić, a Benjamin miał po prostu wściekłość w oczach.

Podniosła głowę i zobaczyła okno, przez które ludzie z drugiego piętra zaglądali do groty. Był tam Kit. W rozchełstanej na piersiach koszuli tłukł pięścią w okno.

- Elaine! - wrzeszczał. - Elaine!

Wybuchnęła śmiechem.

- Kto to jest, do diabła, ta Elaine? - spytał zdezorientowany Benjamin.

- Wygląda na to, że dzisiaj ja nią jestem. - Ruszyła do wyjścia, zatrzymując się tylko po to, żeby zabrać torebkę i podrzeć ich świeżo wydane pozwolenie na ślub.

Benjamin chwycił ją za rękę.

- Bierzemy ślub! - warknął.

- Nie w ten sposób. - Wyrwała się i podniosła dumnie głowę. - Czy możesz uczciwie powiedzieć, że naprawdę tego chcesz? Nie znasz mnie nawet - już nie.

- Teraz? Teraz mi to mówisz? - Miał paskudnie wykrzywioną,



czerwoną twarz. Pokręcił głową, starając się zamaskować złość kupieckim uśmiechem. Bez powodzenia. - Daj spokój, Saro. Wiesz, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Czy te miesiące rozłąki nie udowodniły ci tego?

- Nie, udowodniły to tobie. A ja dopiero zaczynam dochodzić do tego, czego chcę naprawdę. Gdybyś mnie naprawdę kochał, poczekałbyś...

- Nie dawaj mi żadnego pieprzonego ultimatum!

- To już bez znaczenia. Bo ja nie kocham ciebie. - Zdjęła z głowy wianek i poczuła się znacznie lżej. - Przykro mi, Benjaminie. Myślę, że nareszcie wiem, co robię. - Wyszła z kaplicy, prosto w objęcia Martiki.

- Nie mogłam - powiedziała. - Po prostu nie mogłam.

- Skarbie, przepraszam za naszą kłótnię, jestem w ciąży i ta huśtawka nastrojów mnie dobija.

Zanim dotarł do Sary sens tych słów, przyłączyła się do nich Judith - pożegnawszy się z ochroniarzem, który kręcąc głową, odszedł z mężczyzną wyglądającym na jego zwierzchnika.

- A ja powinnam cię wysłuchać - powiedziała swoim zwykłym spokojnym głosem - ale właśnie zbierałam się do porzucenia swojego męża.

- Judith zostaje z nami tak długo, jak tylko zechce - oświadczyła Martika. - Cholera, może rozejrzemy się za większym mieszkaniem. Jeżeli zgodzicie się je dzielić z bachorem - co pewnie dla nas wszystkich oznacza bezsenne noce.

Z kaplicy wypadł Benjamin. Martika zauważyła jego roziskrzone oczy i niemal zasłoniła przyjaciółkę własnym ciałem, ale Sara sama do niego podeszła.

- Benjamin, naprawdę bardzo mi przykro...

- Zostań ze swoimi popapranymi przyjaciółmi. Nie wiem, co sobie wyobrażałem. Ty dalej chcesz się pieprzyć, z kim popadnie, tak jak twoja niewyżyta współlokatorka i ta banda pedałów! Kim ja jestem, żeby...

Nie zauważył zbliżającego się Kita... ani jego pięści. Padł jak długi, bez jednego jęku.

Wszyscy patrzyli przez moment na Kita. Pocierał w skupieniu dłoń.

- Zostawiłaś tam coś, z czym absolutnie nie możesz się rozstać?

- Nie, torebkę mam przy sobie.

- No to spadamy stąd.

Ku własnemu zdziwieniu wyciągnęła do niego rękę. Ścisnął ją i wszyscy, śmiejąc się jak dzieci, wybiegli z hotelu na zalaną skwarą słońcem ulicę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

### *LA. Woman (Kobieta z LA.)*

Zaproszenia zatytułowane „Małe Co Nieco” przypominały bardziej promocję klubową niż zaproszenie na imprezę z prezentami. Jediną różnicą był dopisek „oczekiwane prezenty dla niemowlaka”. Martika ogłosiła wielką nowinę w wielkim stylu. Jej nowy dom pękał w szwach. Przyjaciele Judith naprawdę stanęli na wysokości zadania, znajdując jej takie lokum: dwie sypialnie i domek gościnny, w którym zamieszkała Martika. Brali pod uwagę sytuację, w której czwartym współlokatorem będzie dziecko. Judith, o dziwo, wyczekiwała go z entuzjazmem. Po rozstaniu z Davidem (od którego lada dzień spodziewała się pozwu rozwodowego) przeobrażała się z wdziękiem i opanowaniem Ingrid Bergman. Wzięła nawet kilka dni wolnego. Sara myślała, że matka Judith dostanie ataku serca. W przeciwieństwie do Davida, jej rodzice dzwonili do niej na okrągło.

Matka Martiki też nie pozostała w cieniu wydarzeń i obiecała pomagać przy dziecku i „w razie każdej ewentualnej potrzeby, dziewczęta”. Martika wydawała się albo rozczarowana ofertą pomocy, albo roztkliwiona - czuła się z tym nieswojo i o wszystko obwiniała swoje hormony. Zjawiła się jeszcze dwa razy w swoim domu rodzinnym, ale nie miała zamiaru się tam przemieszczać. Tymczasem do zbliżającego się macierzyństwa podchodziła z taką samą pewnością siebie i opanowaniem jak do wszystkiego innego.

- Okej, kto znalazł winylowe ciuszki? - spytała ze śmiechem, pokazując wszystkim miniaturową sukienkę z winylu.

- My! - Taylor i Arthur podnieśli rękę.

Judith, która siedziała u boku Martiki i zapisywała w przeznaczonym na tę okazję notesie, co kto przyniósł w prezencie, miała zdezorientowaną minę.

- Właściwie jak mam to nazwać?

- Kreacja gotyckiego maleństwa.

Sara uśmiechnęła się i wyszła do kuchni po picie.

Kit stał tam oparty o bufet. Nie rozmawiali ze sobą, tak naprawdę, od powrotu z Las Vegas, chociaż pomógł jej w przeprowadzce. Zastanawiał się, co powiedzieć.

- No i co...? Wygląda na to, że masz swoje gniazdo.

- Tak. Dojazd też nie jest najgorszy.

- Rozumiem, że wzięłaś tę pracę na stałe.

- Na razie. Firma wydaje się przyzwoita. Ale może wrócę do nauki?

- A czego chcesz się uczyć?

- Jeszcze się nie zdecydowałam - odpowiedziała z uśmiechem.

On też się uśmiechnął i podszedł do niej bliżej.

- Cieszę się, że zostałam, Saro.

Poczuła, że serce zabiło jej trochę mocniej i próbowała je uspokoić.

- Ja też się cieszę.

- Zastanawiałem się...

Podniosła rękę.

- Wyjaśnijmy sobie pewną sprawę. Wyleczyłam się z jednego faceta. Nie mam ochoty kolejny raz wpuszczać się w podobny kanał. W końcu znalazłam pracę. Sytuacja mieszkaniowa nie przyprawia mnie już o gęsią skórę...

- Przynajmniej dopóki nie pojawi się dziecko.

- Tak... W każdym razie pozbierałam się jakoś, i mam naprawdę wspianiałych przyjaciół.

- Przyjaciele to rzecz święta.

- Więc... - Patrzyła na niego wyczekująco.

- Co: więc?

- Nie chciałeś mi zadać jakiegoś pytania?

- Nie.

Zakłopotana, poczuła falę gorąca na policzkach.

- Och, przepraszam. Więc nad czym się zastanawiałeś?

Uśmiechnął się, pochylił i pocałował ją. Z zapałem.

- Zastanawiałem się, czy to wszystko wcześniej wymyśliłaś
- powiedział, śmiejąc się z jej osłupiałej miny.

Uśmiechnęła się i pocałowała go z równym oddaniem.

- Fajnie, że sobie coś wyjaśniliśmy - powiedziała drwiąco.

Otoczył ją ramieniem i razem wrócili do zatłoczonego salonu.